Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

NUMER 43 (1387) ROK XXVII 27 PAŹDZIERNIKA 1984 ROKU CENA 15 ZŁ

RYSZARD BINKOWSKI

Zakażenie rury

czytaj str. 13

—Recepta na zdrowie? —Owszem, ale nie ta!

Opublikowany niedawno projekt ustawy o ochronie zdrowia interesuje żywo nas wszystkich, korzystających w razie potrzeby z pomocy lekarza, pielęgniarki, stomatologa, farmaceuty. Wszystkich nas obchodzi, jaka będzie przyszłość służby zdrowia. Na ile, w kształtowaniu tej przyszłości, pomoże projektowana ustawa o ochronie zdrowia. Aby odpowiedzieć na te i wiele innych pytań spotkaliśmy się z grupą pracowników Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego im. Mikołaja Kopernika w Łodzi. W dyskusji udział wzięli:

— doc. dr **PAWEŁ DYKTYŃSKI** — *dyrektor, ordynator oddziału chirurgii.*

— dr **STANISŁAW FAJNDT** — ordynator oddziału radioterapii onkologicznej „A",

— **HALINA KUPHAL** — pielęgniarka dyplomowana, siostra oddziałowa,

— dr **TADEUSZ LEWY** — ordynator oddziału chorób wewnętrznych,

— mgr **EUGENIUSZ ZWIERZCHOWSKI** — farmaceuta, kierownik apteki szpitalnej.

— Obecny stan służby zdrowia budzi powszechne niezadowolenie. Niezadowoleni są zarówno jej pracownicy, jak i pacjenci. Powody tego niezadowolenia są na ogół znane. Rodzi się więc pytanie: czy projektowana ustawa stwarza takie warunki, jakie są niezbędne dla przeprowadzenia koniecznych zmian, aby służba zdrowia mogła pracować lepiej i skuteczniej?

ST. FAJNDT: — Wiele nowego projekt ustawy nie wnosi. Zbiera raczej to, co do tej pory już postanowiono. Tworzy jednak jakiś model socjalistycznej służby zdrowia. Sądzę, że taki model jest potrzebny, choćby dla młodych, którzy po studiach przychodzą do pracy. Inna rzecz, jak założenia tego modelu będą realizowane w praktyce.

5

Foto: Grzegorz Gałasiński

Dyskusja przed decyzją —odpowiedzialność za jej realizację

Rozmowa z członkiem Biura Politycznego KC PZPR, I sekretarzem KŁ PZPR — TADEUSZEM CZECHOWICZEM.

— Odbyły się niedawno — po raz pierwszy w takich rozmiarach — konsultacje na temat wielu różnych spraw naszego życia społecznego, gospodarczego i politycznego. Konsultacje te wywołały sprzeczne ze sobą opinie i komentarze. W partii konsultacje przed IX Zjazdem PZPR i po Zjeździe stały się trwałą metodą postępowania.

— Przed każdym plenarnym posiedzeniem KC odbywają się konsultacje, podczas których zasięga się opinii nie tylko członków KC, ale też i bezpartyjnych specjalistów. Materiały przygotowywane na plenarne posiedzenie KC poddaje się dyskusji w komisjach problemowych. Konsultuje się je w dużych organizacjach partyjnych. Tak było przed IX Plenum KC, przed XIII Plenum, przed wspólnym Plenum KC i NK ZSL, które było poświęcone sprawom rolnictwa. Swego rodzaju konsultacją było XVI plenarne posiedzenie KC, w którym brali również udział bezpartyjni robotnicy.

Pewną formą konsultacji są plenarne posiedzenia wojewódzkich instancji partyjnych, które tematycznie poprzedzają plenarne posiedzenia Komitetu Centralnego. Przykładem tego może być posiedzenie KŁ poświęcone sprawom oświaty i wychowania młodzieży, które poprzedza plenarne posiedzenie KC, mające się zająć sprawami szeroko rozumianej edukacji społeczeństwa.

— Konsultacje nie stanowią tylko wewnętrznej metody postępowania partii. Konsultacji poddaje się również decyzje rządowe. Jakie miejsce i rolę w systemie demokracji socjalistycznej zajmują konsultacje?

— Są formą dialogu władzy ze społeczeństwem, a także wyrazem współuczestnictwa społeczeństwa w przygotowaniu ważnych decyzji. Chcemy, aby była to trwała metoda postępowania, którą trzeba będzie stale doskonalić. Trzeba o tym wyraźnie mówić, bo wokół konsultacji narosło sporo nieporozumień. Przyjmujemy zatem, że konsultacje nie są negocjacjami pomiędzy władzą posiadającą określone dobra a społeczeństwem jako ich odbiorcą. Konsultacje nie są więc przetargiem. Jest to merytoryczny dialog prowadzący do kompromisu między społecznymi potrzebami a możliwościami gospodarki. Jest to dialog, a nie referendum.

— To jest istotne stwierdzenie, gdyż konsultacje nie obejmują wszystkich ludzi, a tylko określone ich kręgi. Ci, którzy o tym nie wiedzą, lub nie chcą wiedzieć, sądzą, że nie ma żadnych konsultacji.

— Na ogół pretensje mają ci, którzy nie biorą udziału w konsultacjach. A przecież konsultacje odbywają się nie tylko w określonych zespołach, ale też na łamach prasy, w radio i telewizji. Wiele tematów jest publicznie dyskutowanych. Przypomnę, że konsultowane były między innymi w taki sposób prawo prasowe czy ordynacja wyborcza. Na łamach prasy, w radio i telewizji toczyła się dyskusja o sposobie przyjmowania na studia wyższe. W najbliższym czasie będziemy dyskutowali ustawę o młodym pokoleniu.

3

Na dnie

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Godlewski poszedł do Poddębic, do bloków. Bekalarczyk i Kujawiak — gdzieś pod Zduńską Wolę. Kubicki też dostał bloki, w Szadku. Pajszczyk... Ale który? Bo tu było trzech Pajszczyków. Jeden jest teraz w Karsznicach, drugi — w Niemysłowie, a trzeci tu zaraz, w Księżej Wólce. Posiła, Jaros, Zawadzki... Wszyscy już dawno się wynieśli. I ci z Łyszkowic, i ci z Siedlątkowa. Dobrowolnie, tak jak kazali. Tylko Świątaszczyk nie chciał i trzeba było siłą. Milicję nawet wzywali. Ale Świątaszczyk podobno ma coś z głową. Dawniej chłop był całkiem do rzeczy. Dopiero jak ten zbiornik zaczęli budować, to tak mu się porobiło. Powiedział, że nie pójdzie i już. Myślał, że wygra. A z budową nie wygra. Żeby nie wiem co. Więc Sobczakowie też mogliby to wreszcie zrozumieć. A oni ciągle swoje... I siedzą. Ze wszystkich stron obłożeni folią. Ostatni. Na dnie.

Czy nic do nich nie dociera?

Co oni sobie w ogóle myślą?

* * *

Gospodarstwo Sobczaków widać już z daleka. W dole — dom, stodoła, obora, kawałek sadu... Wszystko w strasznym stanie, zniszczone, nie naprawiane od lat. Obok — wysokie rozłożyste akacje i — wkoło pustka. Dno.

Za dwa, trzy lata będą tu pływać ryby i żaglówki. Cztery metry wody. Zapora, przystań, wędkarze, niedzielni turyści... Zbiornik retencyjny „Jeziorsko" na Warcie.

Za dwa, trzy lata niełatwo będzie wskazać na wodzie miejsce, gdzie stało domostwo Sobczaków. Już teraz trudno uwierzyć, że był to kiedyś środek wsi. Pekaes jeździł pod oknami, do sklepu dwa kroki, za sklepem mleczarnia, sąsiedzi...

Naprawdę ładnie było, wzdycha Sobczakowa i łza szkli się jej w oku na wspomnienie tamtych lat. Bo dobre to były dla Sobczaków lata. Ślub mieli w pięćdziesiątym pierwszym. Ziemia była, tylko morgę, czy dwie dokupili, a już w pięćdziesiątym szóstym zaczęli się budować. W Siedlątkowie, na jej ojcowiźnie. Technika nie taka, jak dzisiaj, a wszystko w dwa lata było gotowe, od zera pod klucz. Jak się wreszcie przenieśli na swoje, myśleli, że to już tak do końca życia. No bo kto mógł przypuszczać.

Jak pierwszy raz przyjechali geolodzy, to się nawet Sobczakowie ucieszyli. To było w roku... Krysia chodziła jeszcze do szkoły, więc co najmniej ze dwadzieścia lat już będzie. Zatrzymali się właśnie u nich, bo dom był nowy, ładny, duży... Zajęli dwa pokoje i nieraz to po piętnastu ich tam spało. Sobczakowa wszystkim gotowała, a Sobczak to nawet przy pomiarach pomagał, żeby się przewietrzyć od siedzenia, bo za krawca we wsi był. Ludzie jeden przez drugiego przynosili do szycia, uczniów miał... No, dość, że było wtedy wesoło.

A że woda tu kiedyś przyjdzie, powiedzieli im od razu. Wyjaśnili, że zbiornik, że zapora... Ale kiedy? Nie wiadomo. Może za dziesięć, może za dwadzieścia lat, a może... Wcale? Może. Potem też ludzie różnie mówili: będzie, nie będzie, będzie... Tylko nikt nie umiał powiedzieć jasno, gdzie, kiedy i jak. Co rusz to się, widać, te plany zmieniały. Przez lata był w gminie zakaz budowy, bo podobno cały Pęczniew miał iść pod wodę. A później wyszło, że nie pójdzie.

E, nie było co zawczasu sobie głowy nabijać. Zresztą gdyby nawet... Nie, rozpaczać to nie rozpaczali, tylko im trochę żal było. No, ale jak ma być zalew, to widocznie tak trzeba. Przeniosą ich gdzie indziej. Też można żyć. Ludowa władza nie skrzywdzi. Przecież to za nią przelewał Sobczak krew podczas wojny, to jej bronił w czterdziestym piątym i szóstym w milicyjnym mundurze, dla niej wysłuchał swego wyroku śmierci od podziemia. I ta władza miałaby go teraz skrzywdzić? Sobczak by nawet o tym nie pomyślał.

Siedzieli więc cicho i czekali. Żyto nad Pichną rosło, jak dawniej. W obórce kwiczały warchlaki, a szycia, zwłaszcza zimą, jak zwykle nie brakowało. Ruszyło się dopiero... Chyba jak już w Sieradzu zrobili województwo. Były po wsiach zebrania. No, że zbiornik, że będą wysiedlać... Ludzi przygotowywali. To się ruch zrobił i odtąd w Siedlątkowie nie było już spokoju.

W siedemdziesiątym szóstym, pod jesień jakoś przyjechał rzeczoznawca z miasta Łodzi gospodarkę Sobczakom wyceniać. Chodził, chodził, oglądał, co trzeba pomierzył, zapisał... Miły był, to prawda, ale jak mu wyszło za dom dwieście dwa, a za wszystko czterysta sześćdziesiąt

6

Odgłosy

Adres redakcji: 90-438 Łódź, al. Mickiewicza 11.
Telefony: redaktor naczelny i sekretariat redakcji: 36-52-44, zastępca redaktora naczelnego, sekretarz redakcji: 36-80-99.
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas
P.o. sekretarza redakcji: Grażyna Olechnowicz
Kierownik działu literackiego: Igor Sikirycki.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki. Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Karol J Stryjski, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Brvl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Zenon J Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Jerzy Wilmański.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW Prasa — Książka Ruch" 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — kalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajduja się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doreczycieli 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacaja prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacaja prenumeratę wyłacznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granice przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granice poczta zwykła jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecajacych instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granice: — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku nastepnego oraz cały rok nastepny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 3026. E-2.

Odgłosy

Żeby każdy polski gwóźdź...

dawał się wbijać jak należy. Tak można wyrazić myśl, z jaką w sprawie jakości naszych wyrobów wystąpił na spotkaniu Rady Głównej NOT z delegatami na XX Kongres Techników Polskich premier rządu PRL, generał Wojciech Jaruzelski. Pełny cytat tej wypowiedzi brzmi:

„Zanim zaczniemy zdobywać wiek XXI, musimy jakże często pilnować, żeby lekcje XIX wieku odrabiać bez powtórki. Żeby polski gwóźdź można było wbić jak należy, i żeby polska klamka zamykała się, kiedy trzeba."

Lapidarnie to powiedziane, a jakże trafnie. Problem jakości naszych krajowych wyrobów ciągle nie jest przecież rozwiązany. W wielu nowych blokach w licznych miastach i osiedlach drzwi nie domykają się, w oknach są szpary, podłoga jest krzywa, a ściany sprawiają wrażenie, jakby się miały zaraz przewrócić. A problem jakości nie dotyczy przecież tylko budownictwa. I nie jest jedynym z dylematów, jakie stoją przed polskimi inżynierami i technikami.

Łódzkie spotkanie Rady Głównej NOT z delegatami na XX Kongres Techników Polskich poświęcone było realizacji kongresowych uchwał i postulatów. Ogólna opinia była taka, że można być zadowolonym z przebiegu realizacji tych uchwał i wniosków, ale część z nich nadal — niestety — pozostaje na papierze.

Reforma gospodarcza ma wyzwalać inicjatywy, skłaniać do szukania samodzielnych rozwiązań. Reforma nie jest cudotwórcza, wprowadzamy ja w życie od niedawna. To wszystko prawda, ale niepokoić musi fakt, że w dalszym ciągu nasz przemysł, nasza gospodarka — jak to się modnie teraz mówi — są nieczułe na potrzebę innowacyjności, nie potrzebują tej innowacyjności, nie tęsknią za nią. A prawda jest taka, że bez postępu, bez poszukiwań nowych rozwiązań, bez wcielania ich w życie, niczego nie osiągniemy. Cały świat techniki i nauki śmiało kroczy drogą postępu. My drepczemy w miejscu. Kiedy się ockniemy z tego „chocholego tańca" okaże się, że wokół nas tylko bezbrzeżna pustka. A przecież mamy dużo inżynierów i techników. Przeszło 350 tysięcy inżynierów. Co drugi pełni funkcje kierownicze w gospodarce. I druga strona medalu — na 10 inżynierów aż 7 nie ma na swoim koncie żadnego patentu, wynalazku, pomysłu racjonalizatorskiego. Ogromne marnotrawstwo intelektualnego potencjału.

Dylematów jest więcej. Oto następny. Jeśli już musimy modernizować naszą gospodarkę — a musimy — to nie może ten proces zagrażać środowisku. A przecież częstokroć zagraża. W Polsce nie ma już prawie rzek z I klasą czystości wody, a dla prawidłowego rozwoju otaczającej nas przyrody potrzeba, aby połowa rzek miała wodę naiczystszą. Brudne są jeziora, brudne plaże Bałtyku. Rzecz więc już nie tylko w tym, aby odzyskać to, co straciliśmy, ale i nie niszczyć dalej. Trzeba zatem szukać nowych rozwiązań technicznych, ale nie za wszelką cenę. Nie za cenę dewastacji środowiska. Zadanie to dwakroć trudniejsze. Ale jeśli chcemy Polski nowoczesnej i jednocześnie Polski ludzi zdrowych, to alternatywy nie ma.

Inny dylemat. Przemysł woła o ludzi do pracy. Czy rzeczywiście jedyne to rozwiązanie? A automatyzacja procesów produkcyjnych, a postęp techniczny, a wykorzystanie wszelkich rezerw, a porządkowanie stanu zatrudnienia w całej gospodarce? Bez rozwiązania tych problemów nadal będziemy tylko wołali o więcej ludzi. Od samego wołania ludzi nie przybędzie i nie rozstrzygną się dylematy naszej gospodarki. Trzeba więc naruszyć skostniałe struktury, przyzwyczajenia, trzeba uruchomić nowe mechanizmy w gospodarce. Trzeba we własnym sumieniu rozstrzygnąć problem: narażać się, czy mieć święty spokój, być za postępem, walczyć o postęp, czy machnąć na wszystko ręką?

Zebrani w Łodzi delegaci na XX Kongres Techników Polskich i członkowie Rady Głównej NOT opowiedzieli się za walką o postęp, zdając sobie sprawę, że nie będzie ona łatwa, ale jest konieczna. Spotkano się pod hasłem sformułowanym przez Stanisława Staszica: „...być narodowi użytecznym". I hasłu temu postanowiono być wiernym. Nie przyjęto więc projektu uchwały, uznając, że jest zbyt „cukierkowata" i nie wyraża myśli wypowiadanych w czasie spotkania. Zostanie zmieniona zatem i przyjęta przez władze NOT i komisję wnioskową powiększoną o tych uczestników dyskusji, którzy zgłosili do tekstu uchwały najważniejsze i najistotniejsze uwagi. Dobrze to świadczy o delegatach. Nie zapomnieli widać twórczego charakteru obrad podczas XX Kongresu Techników Polskich.

BOGDA MADEJ

Przegląd prasy

Jednym z frapujących dziś tematów — nie tylko w Polsce zresztą — jest teologia wyzwolenia. Publikowaliśmy niedawno w „Odgłosach" artykuł na ten temat, publikować będziemy i następne. Jest to przecież fascynujący temat. Chrześcijańscy filozofowie nie pozostali obojętni na ludzkie cierpienie, na niedostatki, na tragedie. Opowiedzieli się za biednymi, przeciw bogatym. A do analizy stanu rzeczy posłużyli się metodami wziętymi od Karola Marksa. Zaniepokoiło to Świętą Kongregację do spraw Doktryny Wiary.

KAZIMIERZ KĄKOL OMAWIA

na łamach „ARGUMENTÓW" (nr 43 z 21 października 1984 r.) *„Instrukcję w sprawie niektórych aspektów teologii wyzwolenia"*. Interpretuje ją jako odejście od dotychczasowej linii uznania dla innych kierunków działania i poszukiwania, a przede wszystkim dla marksizmu.

„Kategoryczna dezaprobata myśli marksistowskiej — pisze K. Kąkol — *dokonana przez Świętą Kongregację następuje po upływie pięciu lat od momentu, gdy na łamach oficjalnego organu watykańskiego „Osservatore Romano" oddawano sprawiedliwość marksistowskiej ideologii, komunizmowi".*

Kazimierz Kąkol jest zdania, że celem „Instrukcji" jest *„ugodzenie w ostoję ruchu wyzwolenia pracy — kraje budujące socjalizm"*. Jest to — jego zdaniem — rezygnacja z dotychczasowej *„polityki wschodniej"* Watykanu. Skutki tego mogą być bardzo różne, ale w żadnym wypadku pozytywne.

„Wejście Watykanu na szlaki krucjaty antykomunistycznej przyniesie negatywne reperkusje polityczne. Obywatele krajów socjalistycznych są stawiani w obliczu konfliktów sumienia, rodzących się na tle bezceremonialnego szkalowania wartości, które cenią, szanują, kultywują, którymi się szczycą, z którymi wiążą nadzieje pomyślnego rozwoju jednostek i społeczeństw. Natężenie tych negatywnych reperkusji jest i będzie zróżnicowane w zależności od upowszechnienia postaw religijnych, struktury wyznaniowej, intensywności związków z watykańskim centrum politycznej dyspozycji. Spośród wszystkich krajów socjalistycznych w istocie tylko jeden ma powód do szczególnego niepokoju. Tym krajem jest Polska".

Kazimierz Kąkol dostrzega, i przekonuje o tym Czytelnika, wyraźne zbieżności między poczynaniami Świętej Kongregacji, Ronalda Reagana i rewizjonistów w RFN.

MIECZYSŁAW R. OLBROMSKI DEMASKUJE

od pewnego czasu elitę kryzysu. Chodzi po różnych balach, podejrzanych lokalach, bywa w podziemnym świecie naszej gospodarki i wszystko, co widział i słyszał opisuje. Czyni w myśl tej właśnie zasady, że nie każdy czytelnik polskiej prasy tygodniowej bywa w tajnych szulerniach, domach schadzek, wydaje na kolację 50 tysięcy złotych, rozbija się po pijanemu drogimi samochodami i co noc sypia z inną piękną dziewczyną. Ale każdy chciałby to chociaż zobaczyć w kinie albo o tym usłyszeć. Więc Mieczysław R. Olbromski pisze, chodzi, ogląda, podsłuchuje, podpatruje, opisuje. Wszystko z myślą o Czytelniku.

Teraz w „RZECZYWISTOŚCI" (nr 43 z 21 października 1984 r.) rozpoczął druk cyklicznej relacji z sex-party na Mazurach. Początek jest mało interesujący. Autor chodzi i słucha rozmów, a co usłyszy, to zaraz opisze. Dobierające się w tańcu pary udają się na piętro, gdzie robią to, co na sex-party robić należy. W następnym odcinku miejmy nadzieję, że wreszcie coś się wydarzy.

Mnie nurtuje jednak inny problem. Jak to się dzieje, że opisani do tej pory bohaterowie różnych tajnych zgromadzeń towarzyskich, oficjalnych bali i innych nieoficjalnych towarzyskich barowań nie tylko srodze nie rozprawili się z autorem, ale jeszcze nadal go tak chętnie zapraszają? Jest to zapewne tajemnica zawodowa M. R. Olbromskiego. Niektórzy wszakże podejrzewają, że obok tajemnic autor wstrząsających reportaży w „Rzeczywistości" ma też bujną wyobraźnię. Czy to źle?

DYŻURNY ZE „SZPILEK"

poświęcił swój felieton wydanej niedawno książce *„Kto jest kim w Polsce 1984"*. Zajął się hobby, czyli sposobem spędzania wolnego czasu. Zastrzega wszakże, że nie jest to to samo, ale bohaterowie not we wspomnianej książce różnie to potraktowali. Okazuje się, że niektórzy poważni, bądź co bądź ludzie uważają za coś ujemnego mieć... hobby. Oni po prostu spędzają tylko wolny czas. Na przykład, gdy Aleksander Bardini stwierdza, że lubi *„muzykę i lektury"*, to nie jest to żadne hobby, *„to przywyczka!"*. Tylko dwóch: fotografik Jan Gajewski i krytyk Janusz Sławiński przyznało się, że ich hobby.. to seks. Przypomina się mi w tym miejscu stary dowcip. Ciotka pyta siostrzeńca, co dziś robił po południu.

— *A byłem z ładną dziewczyną. Nie wiem, jak się nazywa to, co robiliśmy, ale od dziś będzie to moje hobby.*

Inni felietoniści zajęli się tym, kogo w tej książce pominięto. Też ciekawe zajęcie, ale mniej zabawne od odkrywania tego, kto do jakiego hobby się przyznaje.

LUCJAN BOGUSZ

Minął tydzień

ZAPOWIEDZIANO OBRADY XVII PLENUM KC PZPR

Odbędą się one 26 i 27 października 1984 roku. Główny temat obrad dotyczy spraw związanych z umacnianiem socjalistycznego państwa.

LIST DO MINISTRA ZDROWIA

napisała Maria Leśnikowska i opublikowała w „Kurierze Polskim". W liście tym donosi ministrowi — Tadeuszowi Szelachowskiemu, iż w szpitalach i placówkach służby zdrowia nie ma ani igieł jednorazowego użycia, ani wielokrotnego. Przypomina też, że wiele szpitali powróciło do metody gotowania igieł, ale to wcale nie chroni chorego przed... zarażeniem go żółtaczką. Przypomina też ministrowi, że w Polsce choruje na żółtaczkę tyle ludzi, ile razem choruje w CSRS, NRD i na Węgrzech. Otóż — jak wynika z danych statystycznych — 70 proc. chorujących w Polsce na żółtaczkę zaraża się nią drogą pokarmową, a 30 proc. ma żółtaczkę wszczepioną właśnie w szpitalach i placówkach zdrowia poprzez źle wysterylizowane igły i strzykawki. Można te zachorowania wyeliminować stosując strzykawki czy igły jednorazowego użycia.

„Z ekonomicznego rachunku wynika, że prawdopodobnie mniejszy byłby koszt zaopatrzenia placówek służby zdrowia w drobny sprzęt jednorazowy, niż wydatki związane z długotrwałym leczeniem chorych na żółtaczkę oraz ich rehabilitacją."

Ale u nas takich rachunków na ogół się nie robi.

Ciekawym, co i czy minister Tadeusz Szelachowski odpowie redaktor Marii Leśnikowskiej?

AUTOKARY Z POZAŁÓDZKĄ REJESTRACJĄ

nadal parkują w okolicy „Centralu", „Juventusu", „Uniwersalu". Ludzie ciągną do Łodzi po zakupy, co nas powinno cieszyć, ale niestety to nas martwi. Gdyby towarów było tyle, że każdy mógłby kupić, co mu potrzeba i innym by jeszcze wystarczyło, to nie mielibyśmy nic przeciw najazdowi kupujących do Łodzi. A tak często rozlegały się wołania, aby Łódź uczynić „miastem zamkniętym", to znaczy bez prawa kupowania tu innym ludziom niż mieszkańcy województwa łódzkiego miejskiego. Postulat ten będzie częściowo spełniony. Od grudnia 1984 roku kartki mięsne wydawane w Łodzi będą miały nadruk „Łódź". Inne kartki nie będą tu honorowane. Dla przyjezdnych wyznaczonych będzie tylko kilka sklepów, w których będą mogli realizować kartki mięsne. Smutna to decyzja, ale przy reglamentowaniu mięsa pomiędzy poszczególne województwa, jak widać, konieczna.

MOST DO REMONTU

będzie oddany w Warszawie. Mostem tym będzie most im. Józefa Poniatowskiego. Remont rozpocznie się w połowie przyszłego roku i potrwa do początku 1989 roku. Przez ten czas część ruchu z mostu im. Józefa Poniatowskiego przejmie most drewniany, wysokowodny, który do połowy przyszłego roku mają postawić żołnierze wojsk komunikacyjnych. Ale i ten zastępczy most nie rozwiąże problemów komunikacyjnych. Warszawa w ogóle ma za mało mostów.

I już sam nie wiem, czy to dobrze, że w Łodzi nie ma rzeki i mostów, czy też źle. Bo kłopotów komunikacyjnych wcale przez to nie mamy mniej.

NATURYŚCI SĄ UPARCI

i jak ich wyrzucono z Chałup, to zagnieździli się w Rowach, gdzie wioska i plaża są piękne oraz ludzie życzliwi. Ale naturyści — jak wieść niesie — uparci są nie tylko latem. Oto zebrali się niedawno w podstołecznych Świdrach, gdzie nie bez oporów wybrano Miss Jesieni. Okazała się nią bezapelacyjnie pani Maria, która jedyna odważyła się mimo mżawki i chłodu rozebrać do „stroju organizacyjnego". Naturyści zapowiedzieli, że dokonają też wyboru „Miss Naturę Śniegu". „Sztandar Młodych" z tej okazji radzi paniom już dziś zacząć się hartować. Zimę zapowiadają ostrą.

Naturyści obecnie przenieśli się do sauny i basenu, organizują też wiele różnych kół zainteresowań. Łódzka Wytwórnia Filmów Oświatowych nakręciła film o naturystach. Reżyserem filmu jest Antoni Orwiński.

STUDENCI POLITECHNIKI ŁÓDZKIEJ

— członkowie klubu PTTK PŁ urządzili sobie spływ kajakami Wartą do łuku rzeki w Załęczu Wielkim — Kępowiźnie. Tu, koło starego młyna jest rozerwana tama. Tu też w Centralnej Szkole Instruktorów Harcerskich „Nadwarciański Gród" czekał na nich autokar i koledzy. Studenci wszakże nie zapisali się najlepiej wśród harcerzy. Sporo z nich było... pijanych. Uprawiali też ryzykowne pływanie kajakami poprzez rozerwaną tamę. Uprzedzeni że w ośrodku jest komplet kursantów, nie ma więc możliwości zapewnienia im w niedzielę, 14 października 1984 roku, pełnego wyżywienia, zbytnio się tym nie przejęli i wyżywienie próbowali... kraść z kotłów.

Cały ten nieprzyjemny incydent może skończyć się w przyszłości odmową udzielania gościny dla studentów Politechniki Łódzkiej w Załęczu — Kępowiźnie.

A. B. SEKATOR

Dokończenie ze strony 1

Jeśli chodzi o sprawy łódzkie, to szeroko dyskutujemy problemy związane z planem gospodarczym. Dyskusji między innymi poddajemy problem budownictwa mieszkaniowego. Nie jest tajemnicą, że dużo ludzi czeka na mieszkania. Dla nich sprawą najważniejszą jest budowanie nowych bloków. Ale dla ludzi, którzy mieszkają już w nowych mieszkaniach inne problemy stają się ważniejsze. Ci mieszkańcy — nie bez racji — domagają się budowy szkół, przedszkoli, żłobków, sklepów, lokali usługowych, traktów komunikacyjnych. Logika wskazuje na potrzebę budowania osiedli w sposób kompleksowy, ale hierarchia potrzeb — pomijając kwestię finansowania — według ludzi oczekujących na mieszkania jest zupełnie inna. Wybór wariantów musimy więc poddać społecznej konsultacji, żeby decyzje władzy były zgodne ze społecznymi oczekiwaniami.

Sądzę, że ten przykład wyraźnie pokazuje, iż konsultacja pomaga władzy w podjęciu decyzji, ale nie zdejmuje z tej władzy odpowiedzialności.

— Jak szeroki był zasięg konsultacji w województwie miejskim łódzkim?

— Konsultacjami objęliśmy te załogi, których przedstawiciele byli uczestnikami XVI Plenum KC PZPR, a więc 83 zakłady pracy. Odbyło się w ramach konsultacji 296 zebrań POP i oddziałowych organizacji partyjnych, w których udział wzięło ponad 21 tys. osób. Ponad 70 proc. byli to robotnicy, a jedną trzecią stanowili bezpartyjni. Do tego można dodać 740 osób reprezentujących działaczy rad narodowych, związków zawodowych, środowisk akademickich oraz aktyw organizacji kobiecych i młodzieżowych.

Sądzę, że te dane pokazują nie tylko jaki był zasięg konsultacji, ale również skład konsultujących. Wyniki konsultacji natomiast pokazują, że wiele odpowiedzi na postawione pytania było bardzo zróżnicowanych.

— Zacznijmy może od problemu budzącego wiele sprzecznych opinii — od stosunku do sektora prywatnego naszej gospodarki.

— Pamiętam, jak w 1980 roku na którymś z zebrań ostro zaatakowano mnie, iż nie stwarzamy warunków dla działania ludzi, którzy przejawiają inicjatywę i chcieliby ją spożytkować dla powszechnego dobra. Stworzyliśmy takie możliwości, mając nadzieję, że pomoże to w pełniejszym zaopatrzeniu rynku. Ale nasze nadzieje nie spełniły się całkowicie. Tym niemniej nadal będziemy popierali ludzi, którzy chcą służyć rozwojowi gospodarki swoimi umiejętnościami, doświadczeniem, inicjatywą.

Ale tu trzeba powiedzieć bardzo wyraźnie, że będziemy stwarzać warunki dla działania ludzi, którzy chcą dać społeczeństwu swoją pracę, a nie dorabiać się manipulacjami cenowymi. Władze administracyjne miast i gmin powinny preferować taką produkcję lub usługi, których państwo lub spółdzielczość nie ma możliwości uprawiania, a które ze społecznego punktu widzenia są bardzo potrzebne.

— Potrzebny jest tu też sprawny system podatkowy, który nie pozwalałby na nadmierne bogacenie się.

— Bez wątpienia. Powstały izby skarbowe, ale mimo to nasz system podatkowy jest jeszcze mało skuteczny. W NRD czy na Węgrzech, gdzie wcale nie ma mniej socjalizmu niż w Polsce, a przeciwnie, jest go więcej, sektor prywatny jest bardziej rozbudowany. Tyle że tam sprawniej działa system podatkowy. Musimy i u nas dopracować się tego. Taka jest opinia większości konsultujących to zagadnienie.

Przy okazji chciałbym poruszyć jeszcze dwie sprawy. Pierwsza — *to stosunek większości społeczeństwa — głównie* robotników do powstawania prywatnych zakładów, *a przede wszystkim* sklepów kupno-sprzedaż. Nie mam zamiaru twierdzić, *że w 40-leciu*, mimo niezaprzeczalnych osiągnięć, nie popełniliśmy błędów, nie podejmowaliśmy mało przemyślanych decyzji. Ale mimo tych błędów, mimo niedoskonałości, występujących w naszym modelu *ekonomicznym, większość* społeczeństwa nie zgadza się na powstawanie *dużego prywatnego kapitału*. Społeczna własność środków produkcji — *to już trwała wartość* w świadomości narodu. I nikt nie ma zamiaru z niej zrezygnować.

Sprawa druga — to umiejętność widzenia zła nie tylko na zewnątrz, ale i w swoim środowisku. Rozumiem, że ludzi drażni, denerwuje nieuczciwy sposób dorabiania się niektórych rzemieślników, przedstawicieli prywatnego handlu. Jest to słuszne oburzenie i trzeba takim zjawiskom zdecydowanie przeciwdziałać. Ale przecież również w innych środowiskach występuje wiele ujemnych zjawisk, o których na ogół się nie mówi lub mówi się bardzo *niechętnie*. Co mam na myśli? Na przykład: brakoróbstwo, marnotrawstwo *materiałów*, energii, urządzeń, niewykorzystywanie czasu pracy, *brak dyscypliny* pracy, zły stosunek do petenta i wiele temu podobnych *zjawisk*.

Wiem, że o tym, co jest *złe we własnym środowisku* mówić najtrudniej. Zwykle łatwiej jest widzieć *zło u innych*. Ale nie dokonamy postępu, jeśli nie będziemy umieli również widzieć zła u *siebie*, w swoim najbliższym otoczeniu.

— Umiejętność widzenia zła we własnym otoczeniu powinna być cechą radnego. A to zależy znów od kontaktów radnego z jego wyborcami. Jakie na ten temat były opinie konsultowanych?

— Zdecydowana większość wypowiedziała się przede wszystkim za utrzymaniem dotychczasowych kontaktów, polegających na działaniu radnych wśród swoich wyborców i na pełnieniu stałych dyżurów w zakładach pracy. Również większość wypowiedziała się za okresowymi spotkaniami radnych w zakładach pracy. Natomiast tylko w nielicznych przypadkach wypowiedziano się za kontaktem radnych bezpośrednio z robotnikami przy warsztacie.

— Na XVI plenarnym posiedzeniu KC PZPR — które jak wiadomo odbyło się w Łodzi — opowiedziano się za powołaniem inspekcji robotniczo-chłopskiej. Jakie opinie wyrażano na ten temat?

— Konsultacje wykazały znaczne zróżnicowanie poglądów zarówno co do samej idei, jak i proponowanych rozwiązań. Chciałbym przedstawić różne poglądy, jakie wyraża się na ten temat w różnych środowiskach.

Oto co mówią zwolennicy:

— inspekcja robotniczo-chłopska powinna powstać jako rezultat konsekwentnej realizacji postulatów zgłoszonych w okresie przedzjazdowym, a także na Krajowej Konferencji Delegatów i XVI Plenum KC PZPR;

— kontrola robotniczo-chłopska powinna stanowić formę społecznego nadzoru nad tymi przejawami naszego życia, które godzą w interes ludzi pracy, w ich poczucie sprawiedliwości społecznej;

— dobrze funkcjonująca inspekcja robotniczo-chłopska mogłaby być ważnym instrumentem w rękach ludzi pracy, którzy coraz bardziej stają się gospodarzami na swoim terenie.

A oto poglądy przeciwników inspekcji robotniczo-chłopskiej:

— tworzenie inspekcji robotniczo-chłopskiej wynika z chęci władzy do przerzucenia odpowiedzialności za walkę z patologią społeczną na robotników i chłopów;

— władza, chcąc wzmocnić dyscyplinę społeczną, szuka wsparcia w klasie robotniczej i chłopskiej;

— błędem jest tworzenie nowych organów kontrolnych bez głębszej analizy istniejącego systemu kontroli, który i tak według wielu wypowiadających się — jest nadmiernie rozbudowany, a przy tym mało skuteczny.

Jest także wiele sporów, co do podporządkowania inspekcji robotniczo-chłopskiej i jej uprawnień. Z przeprowadzonych konsultacji wynika, że rysują się dwa warianty:

— pierwszy — usytuowanie inspekcji przy NIK jako społecznego zaplecza tego aparatu kontrolnego;

— drugi — podporządkowanie inspekcji robotniczo-chłopskiej radom narodowym.

Chociaż już we wstępnej fazie konsultacji sugerowano, że inspekcja robotniczo-chłopska nie powinna być usytuowana przy instytucjach partyjnych, to jednak uważa się, że organizacje partyjne powinny inspirować jej działalność kontrolną i udzielać pomocy w egzekwowaniu wniosków. Warto również podkreślić, że inspekcja robotniczo-chłopska nie może zastępować organów administracji państwowej, sądów i prokuratury — byłoby to sprzeczne z zasadami praworządności w państwie.

Mając na uwadze rozbieżność poglądów na temat inspekcji robotniczo-chłopskiej Sekretariat KC PZPR podjął decyzję o przeprowadzeniu w październiku i listopadzie 1984 roku kontroli doświadczalnej. Przeprowadzona w wybranych województwach taka kontrola pozwoli wyciągnąć praktyczne wnioski co do słuszności postawionych idei.

— Inny problem, który wzbudził wiele namiętnych sporów, co znalazło odbicie w dyskusji na łamach prasy, w radio i telewizji, to preferencje dla dzieci robotników i chłopów przy przyjmowaniu na studia wyższe. Co na ten temat powiedzieli konsultowani?

— Konsultacje wykazały, że środowisko robotnicze jest przeciwne mechanicznym i automatycznym preferencjom. Preferencje rozumie się jako danie przywilejów jednym, a więc odebranie ich innym. Bardzo mi się podobało stwierdzenie — nie pamiętam już czyje — że preferencje młodym daje natura. Są one zakodowane w genach. I to one powinny się przede wszystkim liczyć. Uznano, że jedynym kryterium powinna być wiedza kandydata na wyższe studia i jego zdolności. Bardzo słusznie pytano, co ma decydować: rodzina, w której człowiek się rodzi, czy miejsce, gdzie zdobywa wykształcenie. Na przykład: czym różni się poziom wiedzy dziecka robotnika i urzędnika z PGR gdzieś na Suwalszczyźnie czy na Rzeszowszczyźnie? Uczą się w takich samych warunkach. Ale dzieci robotników i urzędników w Łodzi mają znacznie lepsze warunki zdobywania wiedzy. Podobnie jest w innych miastach wojewódzkich. Trzeba więc pomagać w najbardziej skuteczny sposób tym, którzy mają trudniejszy dostęp do wiedzy i szeroko rozumianej kultury, choćby przez kursy wyrównujące poziom wykształcenia.

Wypowiedziano się poza tym za preferencjami dla dzieci rolników, które wybierają się na studia do szkół rolniczych i chcą później wrócić na wieś.

Proponowano, aby państwo decydowało o zatrudnieniu absolwentów przez 3-5 lat po ukończeniu studiów. Padła też bardzo dyskusyjna, ale interesująca propozycja, aby zakłady pracy, które mając do wyboru zatrudnienie na określone stanowisko technika lub inżyniera, wybierają inżyniera, aby te zakłady pracy płaciły państwu za studia zatrudnionego pracownika. Może to i propozycja zbyt kontrowersyjna, ale pokazuje, iż potrzebna jest umiejętność ekonomicznego myślenia. Gdyby zakłady pracy uświadomiły sobie, ile kosztuje wykształcenie jednego inżyniera czy technika, to by też były bardziej oszczędne w zatrudnianiu absolwentów wyższych uczelni, względnie stawiałyby wyższe wymagania „drogiemu" pracownikowi.

— Chciałbym teraz poruszyć sprawę niezmiernie istotną — sprawę reformy gospodarczej. Opinie są tu niebywale podzielone. Obok entuzjastów, ludzi wyrażających się krytycznie o reformie gospodarczej jest sporo. Jakie zatem wnioski nasuwają wyniki konsultacji?

— Większość wypowiedziała się za konsekwentnym wprowadzaniem reformy i za dalszym jej doskonaleniem. Można tu użyć takiego porównania: gmach reformy jest dobrze ustawiony na fundamentach, ale niezbędne jest nieustanne przesuwanie ścianek działowych wewnątrz tego gmachu, dopasowując je do potrzeb i możliwości.

Oczywiście, są również ludzie reformie przeciwni. Jedni z nich uważają, że reforma jest niepotrzebna, bo gospodarka nie jest zbilansowana, bo występują ciągle napięcia w życiu społecznym i gospodarczym. W takich warunkach nie należy dokonywać reformy, nie doprowadzać do samowoli — tak nazywają zasadę trzech „S" — i przy pomocy twardej ręki realizować przyjęte decyzje.

Inna grupa ludzi — którzy są zwolennikami opozycji i w reformie upatrywali możliwość zmiany założeń ustrojowych — w ogóle przekreśla wszystkie działania reformatorskie. Dla nich reforma jest fikcją, a wszystko, co się w tej dziedzinie robi jest mistyfikacją i mydleniem oczu.

Dla partii reforma jest szansą wyjścia z trudnej sytuacji gospodarczej. Nie chcemy się do niej modlić, ale rzecz nie polega także na opluwaniu, a na doskonaleniu mechanizmów i popularyzowaniu tych zakładów, które poprzez mądre rozwiązania wewnętrzne wzbogacają reformę.

— Zdarzają się opinie skrajne. Trzeba o nich wiedzieć, ale nie można się nimi zbytnio przejmować. Trudno jednak pozostawić na boku szereg wątpliwości, jakie ludzie mają w związku z reformą.

— Przede wszystkim trzeba sobie uświadomić, co nam już dała reforma? Otóż, dała ona nam powolny wzrost produkcji i wzrost dochodu narodowego. Nie jest to taki wzrost, jaki byśmy chcieli i jaki byłby nam potrzebny. Ale zawsze jest. Przedsiębiorstwa coraz lepiej dostosowują się do trudnych warunków gospodarowania, bardziej racjonalnie prognozują swój rozwój i to jest niezaprzeczalny efekt działania reformy.

— Ale są i negatywy. Albo inaczej, czego jeszcze reforma nie spowodowała.

— Owszem. Nie udało się jeszcze osiągnąć kilku celów. Przede wszystkim reforma na obecnym etapie wdrażania wyzwala w większości przypadków tylko proste rezerwy. Występują duże trudności w opanowaniu zależności między wzrostem płac a wzrostem wydajności pracy. Doskonalenie systemów płac następuje powoli przy różnych niekiedy napięciach. Nie udało się także spowodować szacunku dla rachunku kosztów. Powolny jest proces doskonalenia struktur organizacyjnych. Z wielu przykładów, jakie można byłoby tu podać, wybrałem jeden: stosunek wielu przedsiębiorstw do zrzeszeń. Otóż zmieniłby się ten stosunek, gdyby działalność zrzeszeń była finansowana z zysku przedsiębiorstw, a nie wliczana w ich koszty.

Następna sprawa — ciągle jeszcze nie udało się wytworzyć nawyków oszczędzania surowców, energii, urządzeń, materiałów. Chodzi zresztą nie tylko o same nawyki, ale i o mechanizmy, które takie nawyki wyzwalałyby i utrwalały. Uruchomienie takich mechanizmów i wytworzenie takich nawyków jest koniecznością.

I jeszcze jedno. Nie posiadamy dość sprawnego systemu przekładania założeń ustalonych w systemie makro na system nie tylko w skali przedsiębiorstw, ale oddziałów, brygad i poszczególnych warsztatów, czyli do skali mikro. Stosuje się tu najczęściej mierniki średnie, które nie dają właściwego obrazu, jaki powinien występować w skali mikro.

No i wreszcie — nie udało się wymusić postaw aktywnych. Większość zakładów skoncentrowała się na manipulacjach cenami i operacjach księgowo-buchalteryjnych. Nie przywiązuje się zbyt wielkiej wagi do innowacji. Istnieje jednak potrzeba, aby mechanizmy reformy promowały innowacyjność w procesie wytwarzania. Konieczną jest także większa aktywność nowatorska wśród kadry inżynieryjno-technicznej.

— Jakie są przyczyny braku zainteresowania działalnością innowacyjną?

— Przede wszystkim trzeba powiedzieć, że zbyt mało zebrań konsultacyjnych wypowiadało się na ten temat. Jest to niepokojące.

Natomiast ci, którzy wypowiedzieli się na temat zbyt małej innowacyjności naszej gospodarki widzieli takie tego przyczyny:

— niskie wynagrodzenia dla wynalazców i racjonalizatorów,

— brak mechanizmów, które wymuszałyby działalność innowacyjną,

— obawa przed ryzykiem ze strony kierownictw zakładów,

— biurokracja, jaka rozwinęła się w przedsiębiorstwach.

Nie jestem ekonomistą, a doktorem nauk technicznych, ale wydaje mi się, że naszym ekonomistom nie w pełni udało się zdefiniować złożone procesy zarządzania przy pomocy precyzyjnych mierników ekonomicznych. Mamy zastrzeżenia do systemu płac. I słusznie. Ale powinniśmy mieć też zastrzeżenia do poziomu świadomości ekonomicznej społeczeństwa. W tej dziedzinie jest wiele do zrobienia i nie zrobimy tego bez pomocy ekonomistów, którzy powinni wziąć udział w procesie ekonomicznej edukacji społeczeństwa.

Choćby taki przykład. Nasza gospodarka nie może prawidłowo funkcjonować bez udziału Polski w międzynarodowym podziale pracy, co wiąże się z eksportem. Ale u nas nie wszyscy doceniają rangę eksportu. Są i tacy, dla których ten rząd byłby dobry, który nic by nie eksportował, a wszystko, co w kraju zostanie wyprodukowane, przeznaczyłby do wewnętrznego spożytkowania. Niezbyt dobrze świadczy to o poziomie świadomości ekonomicznej społeczeństwa.

— Nie omówiliśmy wszystkich spraw, które były poruszane w trakcie konsultacji. Trzeba byłoby na to poświęcić wiele miejsca. Dotknęliśmy tylko spraw najważniejszych. Ale interesuje mnie, co stanie się z tym całym materiałem, jaki zebrano w trakcie konsultacji? Jak on zostanie spożytkowany?

— Z wynikami konsultacji zapoznała się Egzekutywa KŁ PZPR, co pozwoliło nam na wyciągnięcie wniosków, jakie wykorzystamy w pracy łódzkiej organizacji partyjnej. Na przykład widzimy potrzebę szerszego korzystania z udziału bezpartyjnych w pracach organizacji partyjnych. Konsultowanie różnych spraw w organizacjach partyjnych z udziałem bezpartyjnych musi stać się trwałym elementem pracy naszych instancji i organizacji partyjnych.

— Przeprowadzona konsultacja była więc niejako formą doskonalenia tej metody?

— Stale uczymy się konsultowania. Jest to forma zbierania opinii wśród ludzi. Wyniki konsultacji stanowią materiał do przemyśleń i analiz. Niektórzy uważają, że jak wyrazili swoją opinię w trakcie konsultacji, to trzeba się do nich koniecznie zastosować. Jest to pogląd błędny, pokazujący, że ludzie tak myślący nie rozumieją istoty konsultacji. Powiadają oni często: ja się wypowiedziałem, a oni i tak zrobili po swojemu. A przecież w każdej sprawie wypowiadali się różni ludzie. Trzeba więc wziąć pod uwagę wszystkie opinie, a jak pokazała praktyka często w stosunku do wielu propozycji rozwiązań ilość zwolenników i przeciwników była prawie taka sama.

— Czy nie było zastrzeżeń do samej metody konsultacji?

— Wydaje się, że pora nie byłaby najwłaściwsza. Lato, urlopy, nie wszyscy mogli się wypowiedzieć. Po drugie — pytania nie były najtrafniej i najprecyzyjniej sformułowane. Stąd powstało wiele nieporozumień. Często w trakcie dyskusji, wyjaśniania problemu, ludzie zmieniali swoje stanowisko. Wreszcie wiedza ludzi, którzy brali udział w konsultacjach nie we wszystkich sprawach była dostateczna, aby trafnie odpowiedzieć na postawione pytania. Dotyczy to na przykład spraw związanych z nowelizacją istniejącego ustawodawstwa.

— Jaki będzie los wyników konsultacji?

— Będą one pomocne przy podejmowaniu wielu decyzji. Staną się też materiałem dla studiów nad konsultowanymi zagadnieniami. Byłoby błędem i nieporozumieniem sądzić, że nie zostaną one wzięte pod uwagę. Na przykład uwagi, które padły w dyskusji nad założeniami CPR wpłynęły już na jego modyfikację. Wprowadzono niezbędne korekty. Tak też będzie z wieloma sprawami dyskutowanymi podczas konsultacji. Sądzę, jednak, że do wielu z omawianych w czasie konsultacji spraw trzeba będzie po jakimś czasie ponownie powrócić. Przedtem jednak ludzie muszą otrzymać maksimum niezbędnych informacji, aby mogli sobie na dany temat dokładnie wyrobić właściwe i własne zdanie.

Doświadczenia z przeprowadzonych konsultacji wpłyną niewątpliwie na kształt przygotowanego przez PRON dokumentu o konsultacjach.

Drugi wniosek jaki się nasuwa — to pilna potrzeba ekonomicznej edukacji społeczeństwa.

Dyskusja przed decyzją — odpowiedzialność za jej realizację

Rozmawiał:
LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Październik sprzed 40 lat

JERZY KWIECIŃSKI

(2)

Byłem łapiduchem

Do najmniej chyba znanych wydarzeń okupacyjnych należy to wszystko co działo się w popowstaniowej Warszawie, nie tyle bezpośrednio w dniach po kapitulacji, która nastąpiła 2 października, ile już po opuszczeniu miasta przez wojsko powstańcze i ludność, czyli począwszy od 7 października. W śródmieściu, które nie padło w walkach, lecz zostało Niemcom poddane w akcie kapitulacji pozostało wtedy bodaj nie więcej niż dwa tysiące osób (licząc oczywiście Polaków), chorych i rannych cywilów oraz szpitalnego cywilnego personelu.

Jak w całej rzeczywistości okupacyjnej, tak i tutaj żadna sytuacja oficjalna, żaden fakt zalegalizowany nie odpowiadał do końca stanowi faktycznemu, a więc i pod cywilnym szyldem PCK schroniło się niemało rannych z szeregów powstańczych, ukryły się także pojedyńcze jednostki na fałszywych „aryjskich" papierach, osoby nieraz łatwo rozpoznawalne.

W tych pierwszych dniach po kapitulacji, kiedy można było dość swobodnie krążyć po znacznym obszarze nie zajętego jeszcze przez Niemców śródmieścia zaczęliśmy dopiero ogarniać ogrom zniszczeń, omijając leje od bomb podeszłe wodą i wspinając się na hałdy gruzów. Pamiętam, że stałem przez dłuższy czas w osłupieniu na Kruczej, przed gruzami jakiejś kamienicy o zwalonej przez bombę frontowej ścianie, co jak na dekoracji teatralnej odsłaniało oczom wnętrze mieszkań od strychu do parteru. W jednym z nich na przeciwległej od widza ścianie wisiał jakiś obraz, zdaje się powiększenie ślubnego zdjęcia, a w rogu pokoju, którego podłoga sterczała na zewnątrz poobłamywanymi deskami, stał sobie najspokojniej wysoki, wysmukły stolik pod kwiaty z błyszczącym wazonem. Ile się musiał nakołysać na wszystkie strony od podmuchu i wstrząsów, zanim wrócił do swojej pozycji!

Tam gdzie nie spotykało się ludzi, panowała już martwa cisza, tak obca miejskiej scenerii, a na żadnym z ocalałych drzew nie odezwał się ptak. Wszystkie odleciały z płonącego i dymiącego miasta.

Na zupełnie już pustej ulicy natknąłem się niespodziewanie na przemykającego się wśród gruzów mężczyznę, który zatrzymał się na mój widok. Powiedziałem, że jestem ze szpitala i wskazałem opaskę na ramieniu, dodając: „Możemy pana umieścić wśród chorych". Pokiwał przecząco głową, a kiedy ostrzegłem go, że jest już raczej za późno, żeby zdążył na punkt zborny, bo mija właśnie termin ewakuacji, usłyszałem: „Chyba zdaje pan sobie sprawę, że nie mogę się nikomu tam pokazać ze swoim wyglądem". Nie śmiałem zaprzeczyć, poczułem się głupio i bezradnie. Bąknąłem coś o tym, że na oswobodzenie Warszawy przyjdzie nam jeszcze dość długo poczekać, i że przeżyć nie będzie mu łatwo, ale już nic na to nie odpowiedział, uścisnął mi rękę i przedstawił się: „Nazywam się Bryner, jestem z Katowic, miałem tam przedsiębiorstwo. Jeżeli przeżyjemy, niech mnie pan odwiedzi". Rozeszliśmy się w różne strony.

Nie zdawałem sobie sprawy, że to jeden z dość licznych, jak ich później nazwano, „Robinsonów Warszawskich", którzy w gruzach miasta usiłowali przetrwać na własną rękę nadchodzące zimowe miesiące. Nie odszukiwałem go po wojnie. Dość się wówczas rozplenili ludzie, którzy od ocalałych Żydów oczekiwali namacalnych dowodów wdzięczności, a tymczasem wielu ocalonych chciało zatrzeć raz na zawsze ślady swojej tragicznej przeszłości, jakby w obawie, że złe chwile mogą się jeszcze przytrafić.

Dni i noce pomiędzy 2 a 7 października 1944 roku żyliśmy jakby w zawieszeniu, nie do końca pewni decyzji o ewakuacji naszego szpitala, przemianowanego na PCK-owski, po prostu aż nadto było podstaw, żeby niemieckim zobowiązaniom nie ufać, choć Niemcy mogli przecież mieć interes w tym, żeby w swojej trudnej już sytuacji zademonstrować światu pokazowy humanitaryzm i pozór respektowania międzynarodowych umów i konwencji.

Wieczorami, w świetle karbidówek lub po ciemku rozprawialiśmy namiętnie o przyczynach klęski powstania i o jego wojskowo-politycznym sensie, rozpatrywaliśmy cały już pięcioletni okres wojenny, podniecając się często wizją zemsty na Niemcach za doznane krzywdy. Poznałem pewnego starszego pana, inżyniera pracującego za czasów carskich na kolei mandżurskiej, który w najwyższym podnieceniu oznajmił, że kiedy Niemcy będą z Polski wychodzić, to on stanie wówczas na chodniku i będzie im... „z pogardą patrzeć prosto w twarz". Nie było dane inżynierowi D. w tak straszliwy sposób pomścić się na wrogu.

W tych rozmowach o zemście i o karze często przewijała się sprawa Katynia. Wspominam o tym nie po to, by rozpatrywać tu meritum tzw. sprawy katyńskiej, lecz po to, by dać świadectwo prawdzie, że jak długo trwała niemiecka okupacja, niemal wszyscy Polacy, z którymi o tym rozmawiałem, byli niezachwianie pewni, że jest to zbrodnia hitlerowska i rozgrywana przez hitlerowską propagandę w celach politycznej prowokacji. Opinię tę podtrzymywały audycje polskie zachodnich radiostacji. Kto z Polaków choć w części dawał wiarę niemieckim enuncjacjom w sprawie Katynia, ten narażał się na podejrzenie o kolaborację z Niemcami.

Znamienne, iż ci sami ludzie, którzy w całości odrzucali niemiecką wersję o Katyniu, przyjmowali często zaraz po wojnie (nie mając w sprawie katyńskiej żadnych nowych danych) stanowisko diametralnie odmienne od dotychczasowego. Piszę o tym, jako o swoistym fenomenie polskiej postawy umysłowej w sprawach ideowo-politycznych, która odrzuca intelekt dla dogodzenia emocji. Czy nie jest to największa tragedia naszego narodu?

Kiedy po 7 października Warszawa już całkiem opustoszała, nie licząc kilku naszych wysepek szpitalnych i niemieckich załóg, zaczęły się nocami nieproszone wizyty. Małe, dwu-, trzyosobowe grupki pijanych żołnierzy niemieckich domagały się od nas wódki czy kosztowności, a raz nawet pertraktowaliśmy z agresywnymi osobnikami, którzy upatrzyli sobie z daleka jedną z naszych pielęgniarek i koniecznie chcieli ją zaprowadzić do „chorego kolegi". Spoiliśmy ich wódką, której dziwnym trafem nigdy w ważnym momencie nie zabrakło.

Pojawiali się też za dnia niemieccy oficerowie, którzy kategorycznie oświadczali, że do jutra musimy opuścić Warszawę, a na nasze wyjaśnienia, że nie otrzymaliśmy jeszcze konkretnego polecenia od niemieckiego Czerwonego Krzyża, oznajmiali nam, gdzie mają tę szacowną instytucję, albo dawali do zrozumienia, że jak stracą cierpliwość, to żaden Czerwony Krzyż nas nie obroni. Jak się zorientowaliśmy, byli to oficerowie ze specjalnej komendy podpalającej ocalałe domy, czego byliśmy kilkakrotnie świadkami. Kilkuosobowe grupy wojskowych penetrowały kolejne kamienice, wynosząc nieraz jakieś obrazy i inne, zapewne cenne, przedmioty, a wkrótce potem dom zaczynał płonąć, podpalony jednocześnie w czterech rogach, na dole i górze. Po wojnie ustalono bezspornie, że systematyczna grabież szła w parze z podpalaniem, i jest mało istotne, czy obie kategorie „specjalistów" działały w połączonych czy oddzielnych grupach.

Pewnej nocy zaczęła się nagle palić w kilku miejscach kamienica sąsiadująca z naszym szpitalem, wówczas jeszcze na nieparzystej stronie Wspólnej. Z niedostatku wody i braku odpowiedniego sprzętu nie sposób było uchronić nasz budynek od przerzucenia się ognia. Przenosiliśmy więc w świetle płomieni obłożnie chorych i cały szpitalny dobytek na stronę parzystą, do ocalałych domów, a w kilka nocy później do okazałych nienaruszonych kamienic Żurawia 24, 24a i 26, choć od biedy starczyłby nam tylko środkowy budynek. Na wszelki wypadek wywiesiliśmy jednak flagi z czerwonym krzyżem na obu domach sąsiednich i wystawiliśmy warty. Z tej nowej siedziby podstępne wykurzenie nas było raczej niemożliwe, ponieważ w sąsiedztwie pozostały już tylko same ruiny i zgliszcza. Wspomniane trzy kamienice stoją do dziś, tyle że znalazły się obecnie przy samej, od tego czasu poszerzonej, ulicy Marszałkowskiej.

Mieszkało tam sporo lokatorów zamożnych, nieraz o znanych nazwiskach, m. in. krytyk literacki Jan Lorentowicz, posiadacz przebogatej biblioteki i słynny warszawski szewc, Leszczyński, którego wielopokojowe mieszkanie urządzone było nie tylko bogato, ale i z wielkim smakiem. Część naszego personelu i naszych chorych myszkowała po kątach, wynosząc co cenniejsze rzeczy, w nadziei, że uda się tę zdobycz przenieść cało i bezpiecznie przez nie przewidziane jeszcze kataklizmy, większość jednak, zatroskana zupełnie czym innym, była niedostępna tego rodzaju pokusom.

Kilka szpitalnych ekip krążyło po ocalałych jeszcze domach i po nie zawalonych piwnicach w poszukiwaniu leków, żywności i czegokolwiek, co mogłoby się przydać szpitalowi. Raz penetrowaliśmy we trzech jakąś piwnicę, w której znaleźliśmy trochę konfitur i najprawdziwsze kakao, natknęliśmy się niespodziewanie w przejściu do następnej piwnicy na dwóch niemieckich żołnierzy. Jeden z nich powoli odbezpieczył broń i staliśmy tak naprzeciw siebie w milczeniu może przez kilkanaście sekund, w każdym razie potwornie długo. „Sanitariusze?" — zapytał po chwili jeden z nich wskazując na nasze opaski. I rozeszliśmy się w różne strony. Nie było im wolno plądrować pod karą śmierci, ale uznali, że nas jako ewentualnych świadków oskarżenia nie muszą się obawiać.

Mijał czas, którego rachuba zacierała się tak dalece, że gdyby nie kalendarz nikt chyba nie potrafiłby określić, ile dni przebywamy już w opustoszałej Warszawie i co się którego dnia przydarzyło — przedwczoraj czy tydzień temu. Tym bardziej trudno odtworzyć kolejność zdarzeń z odległej perspektywy dziesięcioleci, choć ten i ów moment zapisał się w pamięci z wielką wyrazistością.

Musiało to już być w drugiej połowie października, kiedy pielęgniarka z mojego oddziału zakomunikowała mi, że mamy teraz pod opieką jakiegoś „ważnego gościa", który otrzymał własny pokój. Zajrzałem do niego, zobaczyłem starszego mężczyznę potężnej postury. Kiedy usłyszałem nazwisko: „Miriam Przesmycki", skojarzyło mi się to z tytułem „Chimery" i nazwiskiem Norwida, bo tyle akurat wkułem w pamięć przed maturą, zapewniłem go, że czuję się zaszczycony i odszedłem w obawie, żeby nie zaczął sprawdzać moich wiadomości z nowszej literatury, choć z pewnością ani mu to było w głowie. Może po dwóch, może po trzech dniach, w czasie których dowiedziałem się od przydzielonej mu pielęgniarki, że „panu Przesmyckiemu rozum się miesza", zajrzałem znów do swego podopiecznego, który był sam, bo pielęgniarka gdzieś się zawieruszyła. Leżał na podłodze na pół rozebrany i bełkotał coś bez związku. Pobiegłem po bardziej fachową pomoc, która już na nic się nie zdała.

Ubraliśmy zmarłego, zwinęliśmy zwłoki w prześcieradło i opuściliśmy je do dołu pod zerwaną płytą chodnikową przed szpitalem. Asystowało w tej uroczystości kilka osób, nie pamiętam, czy ktoś powiedział choć parę słów. Kiedy zaczęliśmy zasypywać dół, niespodziewanie (przynajmniej dla mnie) z okna domu po przeciwległej stronie ulicy, otwartego czy po prostu pozbawionego szyb, zaczęły rozbrzmiewać dźwięki marsza żałobnego Chopina, granego na nieco rozstrojonym fortepianie. W ten sposób, w czerwonym blasku zachodzącego jesiennego słońca żegnała Miriama, miłośnika Chopina, znana pianistka starszego pokolenia. Nadzieja Padlewska, która straciła w powstaniu jedynego syna, Romana, utalentowanego młodego kompozytora, związanego z rówieśną mu grupą niezwykle obiecujących poetów, m. in. z Krzysztofem Baczyńskim, którzy również polegli w walce.

Po pochowaniu Miriama sporządzono w obecności czterech osób akt zgonu, a raczej protokół dotyczący znalezionego przy zmarłym testamentu. Jak jeszcze dziś pamiętam, Zenon Miriam Przesmycki oznaczył na załączonym odręcznym planie domu przy ul. takiej a takiej, piwnicę, gdzie zakopał puszki z nie wydanymi dotąd pismami Norwida, bądź też własnymi komentarzami.

Formalnie oddziałem o kilkunastu lekko chorych, na którym leżał Miriam, kierował dr Alojzy Kaszyn i on jako jedyny lekarz ponosił fachową odpowiedzialność za chorych na oddziale, ale o dr Kaszynie później.

Dlaczego piszę o „testamencie" Miriama-Przesmyckiego?: Otóż kiedy wkrótce po wojnie odpowiedziałem na apel tygodnika „Warszawa" i wskazałem dokładnie miejsce pochówku Miriama, podałem również w liście do autora artykułu Piotra Koczorowskiego, kustosza Biblioteki Narodowej, pozostałe okoliczności sprawy, otrzymałem wówczas list z podziękowaniem za wskazanie grobu Miriama, ale jednocześnie kwestionujący moją informację o istnieniu „testamentu". Na podstawie rozmów z którymś ze świadków, podpisanych na protokóle, mój korespondent poddał w wątpliwość sam fakt wskazania przez Miriama miejsca przechowania „Norwidianów", jak również znalezienia przy zmarłym pewnych walorów, o czym wspominałem w liście.

Publikuję to dopiero teraz, ponieważ wówczas zaniechałem dalszych dochodzeń w tej niemiłej sprawie nie chcąc narażać tamtych osób, dziś już z pewnością nieżyjących, na urzędowe dochodzenia, prowadzone wtedy zazwyczaj ze znaną bezwzględnością.

Działy się też wtedy sprawy pogodniejsze. Wspomniany dr Kaszyn, który także asystował przy pogrzebie Miriama, został moim przełożonym od momentu kapitulacji, czy może nawet o parę dni wcześniej. Był to mężczyzna samotny, bynajmniej nie dlatego, żeby miał być nieczuły na damskie powaby. Pochodził z Inflant, czy może ze Żmudzi, ojciec i dziad też byli lekarzami, on natomiast zaraz po ukończeniu studiów bodaj w Dorpacie zaczął zajmować się sztukami pięknymi, z małą przerwą na 1920 r., kiedy to zgłosił się do służby lekarskiej. Potem znów będąc człowiekiem majętnym podróżował po Europie, oddając się namiętnie głównej pasji swojego życia — fotograficznemu dokumentowaniu dzieł plastycznych na temat Ledy z łabędziem. Tropił tę podniecającą mitologiczną scenkę nawet na portalach słynnych świątyń, wplecioną przez frywolnych artystów pomiędzy sceny Męki Pańskiej, oczywiście dostatecznie wysoko, by nie mogło jej dostrzec nie uzbrojone oko osobistości dokonujących odbioru dzieła.

Obejrzałem w długie popowstaniowe wieczory co najmniej setkę tych reprodukcji, przedstawiających mitologiczną parę kochanków w pozach nieraz wielce wymyślnych, a miała to być podobno zaledwie drobna część całego zestawu, spoczywającego spokojnie w solidnie zamykanych kufrach, co mogło jednak wskazywać, że kryły one ponadto inną, bardziej „objętościową" zawartość. Wiem jednak tylko o zdjęciach, na które dr Kaszyn obiecywał sobie znaleźć gdzieś w świecie wydawcę. Marzył mu się wspaniały kolorowy i wielojęzyczny album.

W tak przedziwny nieraz sposób upływał ludziom czas w oczekiwaniu na odmianę, ale jednocześnie w obawie czy odmiana nie przyniesie jakiejś niespodzianki. Wprawdzie głodno i brudno, żyliśmy jednak w pozornym zdrowiu, wiedliśmy dysputy i plotkowali, a młodzi, wiadomo, kochali się po kątach.

Całkiem niespodziewanie, po południu 20 października 1944 r. naszą kierownictwo powiadomiło wszystkich oficjalnie, że jutro od rana rozpoczniemy się ewakuować z Warszawy. Całą noc wiele osób przeżyło w podnieceniu, nie śpiąc zupełnie. Dzień zapamiętałem jako chłodny i dżdżysty. Nadjechały wojskowe ciężarówki, na które nasi sprawniejsi chorzy wdrapywali się ochoczo sami ze swoim mizernym dobytkiem. Jedynie dr Kaszyn wielkim głosem apelował do rodaków o pomoc w lokowaniu na samochodach kilku kufrów ze skarbami kultury, które okazały się potwornie ciężkie. (Po wojnie dr Kaszyn został kierownikiem Wydziału Kultury w Zakopanem i nie wiem, co dalej z Ledą).

Ruszyliśmy długą kolumną ku dworcowi u wylotu Al. Jerozolimskich i Towarowej, gdzie dzisiejszy Dworzec Główny. Trasy nie potrafię dokładnie odtworzyć, być może dlatego, że dominował widok gruzów i wypalonych domów, upodabniający do siebie tak odmienne przedtem ulice. Rozglądaliśmy się w przygnębieniu, porażeni widokiem umarłego miasta, które teraz, bez nas, pozostawało całkowicie osamotnione. „Tego już się nigdy nie odbuduje" — słyszało się takie głosy. „Nawet trzydzieści lat nie wystarczy, żeby wróciło tu normalne życie"...

Porozkładaliśmy się na kolejowych rampach, na które zwożono też ludzi z innych nie znanych nam szpitali śródmieścia. Wreszcie pod koniec dnia podstawiono ogromnych rozmiarów pociąg, złożony z krytych wagonów towarowych, o tyle przystosowanych do transportu chorych, że zabudowanych piętrowymi pryczami. Nie znałem zresztą wyposażenia innych wagonów, oprócz tych dwóch, nad którymi zlecił mi opiekę dr Kaszyn, sam przenosząc się w przód pociągu, gdzie mieścił się wagon specjalny dla kierownictwa.

Pociąg był strzeżony przez kilku niemieckich uzbrojonych strażników ochrony kolei urzędujących gdzieś na początku i końcu składu. W skład niemieckiej załogi oprócz, jak się zdaje, niemieckiego lekarza wojskowego, wchodzili też wojskowi sanitariusze, którzy, sądząc po „naszym" sanitariuszu, tępawym rezerwiście w średnim wieku, byli raczej mało wykwalifikowanymi „noszowymi", wypełniającymi nieskomplikowane polecenia swoich medycznych zwierzchników, w której to osobliwej roli właśnie się znalazłem.

Nie bardzo, co prawda, wiedziałem, czego od niego wolno mi oczekiwać, choć co chwila ofiarowywał mi się z usłużną gorliwością, ale ponieważ moi chorzy specjalnej pomocy nie wymagali, kończyło się na zdawkowej rozmowie z żołnierzem, który mocno złorzeczył przedłużającej się wojnie. Odbywaliśmy swoją podróż w nieznane w zamkniętych wagonach otwieranych na częstych postojach. Na dobrą sprawę ucieczka z tego transportu nie przedstawiałaby większych trudności, ale, o ile wiem, nikt jej nie próbował. Sądzę, że każdy chciał wreszcie dobić do jakiejś mety i dopiero potem rozejrzeć się — co robić dalej.

Wlekliśmy się tym swoim pociągiem noga za nogą, co na mnie przynajmniej wpływało kojąco i znów, jak zapewne u wielu innych, powracało pragnienie, żeby tylko tak dalej bez jakiejś niespodzianki. Na świecie było zresztą pięknie, niezwykle cicho, jak nam się zdawało, i spokojnie, a drzewa stały w jesiennych kolorach. Trudno wtedy uwierzyć, że gdzieś tam wojna trwa, rozsypują się miasta, a i niedaleko wokół nas giną niewinni ludzie.

Drugiego dnia tej jazdy, na jakimś postoju w polu, w pobliżu Gór Świętokrzyskich, spostrzegłem ze zdumieniem, że nasz żołnierz siedzi na stopniu wagonu z otwartym pismem w ręce, a głowę opiera na ramieniu Nadziei Padlewskiej i oboje płaczą we wzajemnym objęciu. „Zginął mu ostatni brat" — wyjaśniła Padlewska — „a ja go rozumiem, bo straciłam syna".

Nie wszyscy co prawda byli skłonni współczuć osobiście niemieckiemu żołnierzowi w sytuacji, kiedy musiało jeszcze polec niemało niemieckich żołnierzy, żeby świat był wolny, ale ta scena wywarła jednak na wielu z nas silne wrażenie.

Wczesnym przedpołudniem 23 października 1944 r., po blisko dwóch dobach jazdy pociąg wtoczył się na peron stacji Kraków. Zakończył się dla nas pewien etap wojennych przeżyć. Od kapitulacji Warszawy minęły trzy tygodnie, a od wybuchu powstania warszawskiego upłynęło dokładnie 12 tygodni.

Rozpoczął się ostatni już trzymiesięczny okres wojennej rzeczywistości w „Warszawskich Szpitalach Ewakuacyjnych" rozlokowanych przy ul. Kopernika, gdzie przebywaliśmy do wyzwolenia. Okres znów na swój sposób trudny i być może wart opisu...

■

Poprzedni artykuł, odnoszący się do powstania warszawskiego opublikowany był w nr 31 „Odgłosów" z dnia 4 sierpnia br.

—Recepta na zdrowie? —Owszem, ale nie ta!

Dokończenie ze strony 1

OCHRONA ZDROWIA CZY LECZNICTWO?

— Można było spotkać się z zastrzeżeniami, że przedstawiony pod dyskusję projekt jest bardziej ustawą o lecznictwie niż o ochronie zdrowia.

T. LEWY: — Nie mam zamiaru kwestionować potrzeby takiej ustawy. Jest ona na pewno potrzebna, ale jeśli ma to być rzeczywiście dobra ustawa o ochronie zdrowia, to musi ona traktować problemy ochrony zdrowia w sposób kompleksowy. Taka ustawa nie może dotykać spraw związanych z chorym i jego opieką. To jest też potrzebne, ale to jest ledwie wycinek problematyki związanej z ochroną zdrowia. Do problematyki tej wchodzą sprawy związane z ochroną środowiska, ochroną zdrowia psychicznego, organizacji inspekcji sanitarnej, nadzoru aptek, rozwoju przemysłu farmaceutycznego. A te problemy z projektu ustawy wyłączono.

Ale ja bym sprawę postawił zupełnie inaczej. Czy nas teraz stać na taką kompleksową ustawę o ochronie zdrowia? Na ustawę, która byłaby wytyczną dla działania różnych dziedzin gospodarki, z którego to działania wynikałaby ochrona zdrowia w Polsce?

— I jaka może być odpowiedź na to pytanie?

T. LEWY: — Że nas dziś na to nie stać.

— Ustawy uchwala się na ogół z myślą o przyszłości. Ustawa normuje działalność jakiejś dziedziny życia i określa kierunki jej rozwoju. To, że dziś nas na coś nie stać, nie powinno przekreślać przyszłych naszych możliwości. Służba zdrowia nie może przecież zatrzymać się w rozwoju.

E. ZWIERZCHOWSKI: — To nie ulega wątpliwości. Ale my mamy zastrzeżenia dlatego, że projekt ustawy o służbie zdrowia nie stwarza takich właśnie warunków. Przeciwnie, *zatrzymuje sytuację, a przez to cofa ją.*

T. LEWY: — Już dziś w niektórych dziedzinach nasza diagnostyka jest opóźniona w stosunku do możliwości istniejących na świecie o jakieś 30—40 lat.

E. ZWIERZCHOWSKI: — Od dawna zgłaszane są postulaty, aby służbę zdrowia zreorganizować w taki sposób, iżby poszczególne resorty, dysponujące własnymi służbami zdrowia, kierowały się ogólnymi prawami. Na przykład mówiło się, że przemysłowa służba zdrowia powinna zajmować się profilaktyką, a ogólna — lecznictwem. Ale jest to nadal postulat. Mówiło się również, że należałoby skoncentrować wszystkie siły resortowych służb zdrowia — ma je PKP, MSW i inne resorty — do wspólnej walki z chorobami. To też pozostało w sferze postulatów.

Są wszakże w projekcie ustawy pewne niepokojące propozycje. My myślimy i dążymy do stworzenia w Polsce socjalistycznej służby zdrowia, a tymczasem pewne propozycje zmieniają ten charakter służby zdrowia. No, bo mówi się przecież o tym, że pacjent przychodzący do dentysty może skorzystać bezpłatnie z podstawowych materiałów, ale jak już będzie chciał mieć lepsze, to musi za nie zapłacić.

Następna sprawa: projekt mówi, że jeśli chory zostanie wypisany ze szpitala, ale nie wyjdzie w terminie, to musi płacić za pobyt. Nie bardzo rozumiem, jak to sobie autorzy projektu wyobrażają w praktyce. Czy szpitale mają zatrudniać komorników, którzy będą ściągali zadłużenia pacjentów wobec szpitala?

— I to będzie głównie dotyczyło ludzi starych, którymi nie ma się kto zająć.

E. ZWIERZCHOWSKI: — To powinno być jasno sformułowane, bo przecież takimi ludźmi muszą się zająć domy opieki społecznej.

Mnie jednak w projekcie ustawy niepokoi jeszcze co innego. Dopuszcza on możliwość uprawiania prywatnej praktyki, a przecież główną troską socjalistycznej służby zdrowia powinno być stwarzanie możliwości bezpłatnego dostępu wszystkich ludzi do lecznictwa. A praktyka jest odmienna. Mamy już płatne laboratoria rentgenowskie i analityczne. Ta odpłatność w służbie zdrowia niepokojąco się rozszerza.

T. LEWY: — Wrócę jeszcze do myśli, że ustawa powinna tworzyć warunki dla przyszłego rozwoju. To pięknie. Tak być powinno, ale to nie zmieni mego poglądu, że musi nas być na to stać. Mamy na przykład piękny, bodajże najlepszy na świecie, spis leków. I co z tego? Ile leków z tego spisu jest dla nas dostępnych? No, może 40 procent.

E. ZWIERZCHOWSKI: — A teraz jeszcze się mówi o lekach pozaspisowych. Co za tym się kryje? Nikt dokładnie nie wie.

P. DYKTYŃSKI: — Dla mnie ochrona zdrowia jest pojęciem bardzo szerokim. Mieści się w nim również praca ZUS. A czy projekt ustawy coś o tym mówi? Nie. Dlaczego? Przecież to też dotyczy ochrony zdrowia. U nas łatwo „produkuje się" rencistów. Ucięło komuś palec u ręki, został inwalidą, dostał III grupę i... zajął się czymś innym, ale już prywatnie. Przecież jest to człowiek zdolny jeszcze do pracy o określonym charakterze. W moim przekonaniu ustawa o ZUS jest stara i wymaga nowelizacji.

PRAWO CZŁOWIEKA DO REHABILITACJI

ST. FAJNDT: — Sądzę, że taka ustawa powinna mówić nie tylko o prawie człowieka do ochrony zdrowia, ale i też o *prawie do rehabilitacji. To* prawda, że my zbyt łatwo i dużo produkujemy — jeśli tak się można wyrazić — inwalidów i rencistów. Na przykład w Łodzi bardzo powszechny jest rak krtani. W przypadkach zaawansowanej choroby jedynym ratunkiem jest wycięcie krtani. Pacjent wychodzi ze szpitala wyleczony z raka, ale jako inwalida II grupy. Na oddziale nie ma logologa, który by nauczył go ponownie mówić. Nie ma, bo nie mogę go zatrudnić. Jeśli wyleczony pacjent jest rolnikiem, to wraca do swojej pracy i nadal jest czynny zawodowo. Ale jeśli jest nim, dajmy na to, urzędnik lub pracownik fizyczny instytucji państwowej, to już nigdzie nie znajdzie pracy. Nikt nie będzie chciał brać dodatkowego kłopotu na głowę.

— A przecież ciągle słyszy się o braku ludzi do pracy, o potrzebie wykorzystania wszelkich ludzkich umiejętności. Tacy ludzie odpowiednio przygotowani mogliby służyć z pożytkiem innym.

ST. FAJNDT: — Taki powinien być obowiązek nałożony na odpowiednie placówki i zakłady pracy.

T. LEWY: — Tymczasem projekt ustawy powiada, że rada wojewódzka może zobowiązać zakład pracy do stworzenia stanowisk pracy dla inwalidów i zatrudniania osób kierowanych tam przez odpowiednie placówki służby zdrowia.

— Powiedzenie: „może to nie musi" stało się już niemal ludowym porzekadłem.

T. LEWY: — No, właśnie. A tego typu sformułowań w projekcie ustawy jest wiele. Jak ktoś „może", to nie „musi". A chodzi o to, aby ustawa zobowiązywała, nakazywała.

Znam właściwie tylko jeden taki zakład w Polsce, jest to „Cegielski" w Poznaniu, który poważnie zajmuje się swoimi inwalidami. Czyni to z... wyrachowania. I chwała mu za to. Bo na przykład narzędziowca szkoli się 8 lat. Więc opłaca się, żeby dla pracownika, który stracił nogę skonstruować specjalny, ruchomy stołek. Tkaczkę uczy się zawodu 6 tygodni. Jeśli jej przytrafi się wypadek, to który dyrektor zatrudni inwalidkę, skoro ma na jej miejsce zdrową kobietę?

P. DYKTYŃSKI: — To jest druga strona zagadnienia. Wrócę jeszcze do pierwszej. Rzeczywiście zdarzają się tragedie, kiedy ktoś traci zdrowie i pełną sprawność do pracy i trzeba mu pomóc. Ale przecież bywa i inaczej. Nasze prawodawstwo pod tym względem jest dość liberalne i mamy do czynienia ze zjawiskiem wymuszania renty. Jeśli chory się uprze, to nawet mając 35 lat wymusi w końcu rentę i następnie weźmie się do ciężkiej pracy, do której nie wziąłby się jako człowiek zdrowy. Sądzę, że w tej dziedzinie nasza ustawa powinna rzecz tak unormować, aby chronić ludzi naprawdę pokrzywdzonych i zapewniać im możliwość dalszej pracy, ale jednocześnie uniemożliwiać wykorzystywanie państwa przez różnego rodzaju kombinatorów, którym renta potrzebna jest tylko jako zasłona przed prawem.

I jeszcze jedna sprawa. Jeśli już słusznie została podniesiona sprawa kompleksowości systemu ochrony zdrowia, to musi on również objąć PZU. Moje zastrzeżenia do działania tej instytucji idą w tym kierunku, że PZU wypłaca ludziom, którzy stracili na przykład 50 proc. zdrowia jednorazowo jakąś tam sumę i następnie zostawia go sobie samemu.

— Albo innym instytucjom, które z urzędu powinny się nim zająć.

P. DYKTYŃSKI: — Może i powinny, ale przecież ktoś powinien człowiekowi za utratę zdrowia, jeśli to nie było z jego winy, płacić do końca życia. Moim zdaniem powinien to robić PZU. Być może są to sprawy z obrzeża ochrony zdrowia, ale powinny one również znaleźć się w ustawie o ochronie zdrowia, jeśli ta ustawa ma być nie tylko zlepkiem różnych przepisów.

CZY POWRÓCĄ IZBY LEKARSKIE?

— Projekt ustawy zakłada powołanie Izby Medycznej, w skład której wchodziłyby inne izby specjalistyczne: lekarska, farmaceutyczna, pielęgniarek i położnych. Nie jest to wprawdzie nic nowego, kiedyś izby lekarskie funkcjonowały, ale jest to zgodne z postulatami pracowników służby zdrowia.

E. ZWIERZCHOWSKI: — Jest to spełnienie postulatu naszego środowiska, ale znów sprawa ta budzi pewne zastrzeżenia. Rozumiem, że powołanie izb lekarskich, a właściwie izb medycznych, oznacza jednoczesną likwidację komisji kontroli zawodowej. I to jest zrozumiałe. Natomiast nie jest zrozumiałe, dlaczego poza kontrolą izb pozostanie średni personel medyczny — laboranci medyczni, farmaceutyczni, rentgenowscy i tak dalej. Jest to fachowy personel służby zdrowia. Od jego kwalifikacji, sumienności, rzetelności zależy zdrowie i życie ludzkie. Może tam również — wśród średniego personelu medycznego — powstać jakiś błąd, jakieś wykroczenie, naruszenie przepisów. Kto będzie to oceniał? Kto będzie ustalał konsekwencje? Tego projekt ustawy nie precyzuje.

T. LEWY: — Ale to jest tylko część zagadnienia. Przecież dzisiaj do pracy w służbie zdrowia przystępuje wielu specjalistów spoza nauk medycznych. Na przykład są to socjologowie, psycholodzy, elektronicy, programiści komputerowi i tak dalej. Co z nimi? A przecież tego rodzaju specjaliści będą coraz częściej i szerzej przystępowali do pracy w służbie zdrowia. I musi być zapis w tej sprawie w ustawie o ochronie zdrowia.

— A więc jednak ustawa powinna wybiegać w przyszłość i normować rozwój danej dziedziny życia.

T. LEWY: — Ja nie kwestionuję tej zasady, pod warunkiem, że nas na to stać, że mamy do tego odpowiednie warunki, że jest to dobrze przemyślana i skonstruowana ustawa. Przecież my do tej pory pracujemy w oparciu o ustawę z 1924 roku. Powinniśmy być chyba dumni, że społeczeństwo — mimo odmiennych warunków ustrojowych — potrafiło dopracować się takiej ustawy, która służy nam do dziś. Jest lapidarna i jasna. Sprawdziła się w praktyce.

Już zupełnie na marginesie powiem, że z zazdrością czytam, iż w Anglii, w 1982 roku znowelizowano czy zmieniono jakąś ustawę sprzed 300 lat. My natomiast, zaledwie coś uchwalimy, zaraz nowelizujemy lub zmieniamy.

JEDNA PIELĘGNIARKA

HALINA KUPHAL: — Nie mam zamiaru kwestionować postulatu mówiącego o potrzebie kompleksowej ustawy o ochronie zdrowia. Ale chciałabym poddać pod dyskusję postulat mówiący o uchwaleniu ustawy o pielęgniarstwie. Nasza ustawa pochodzi chyba z 1935 roku i wymaga bezwarunkowo zmiany. Zmieniły się bowiem warunki pracy w szpitalach, a pielęgniarki nie mają jasno określonych kompetencji. Mówiąc szczerze — nie bardzo wiemy, co nam wolno, a czego nie.

T. LEWY: — To prawda. Jeśli się zdarzy w szpitalu jakieś nieszczęście, to natychmiast przychodzą zarządzenia ograniczające zakres czynności pielęgniarek. Nastąpiło zbyt duże ograniczenie kompetencji pielęgniarek. Na przykład, w myśl zarządzenia ministra zdrowia, pielęgniarkom na sali reanimacyjnej nic nie wolno zrobić bez zgody lekarza. Inaczej jest w innych krajach. Dobrze przygotowana pielęgniarka wykonuje wiele zabiegów bez zgody lekarza.

HALINA KUPHAL: — Czasem i tak bywa, że pielęgniarka jest pierwsza na sali i musi ratować chorego nim przybędzie lekarz.

P. DYKTYŃSKI: — To prawda, że dziś pielęgniarka jest dobrze przygotowana, wyszkolona, a możliwości działania ma ograniczone. Ale to jedna strona zagadnienia. Popatrzmy też na drugą.

Proszę wejść do dowolnego szpitala i popatrzeć na zakres pracy pielęgniarki. Na oddziale chorób wewnętrznych są dwie pielęgniarki, a 60 chorych. I jest nocny dyżur. Tu trzeba chorego umyć, tam trzeba coś znów podać. Ledwie jednego umyją, a już trzeba myć drugiego. Inny znów ma jakiś atak... Toż to obłęd.

— Ile powinno być zatem pielęgniarek na nocnym dyżurze?

P. DYKTYŃSKI: — Jedna pielęgniarka powinna być na jednej sali.

— A mógłby pan tyle pielęgniarek zatrudnić?

P. DYKTYŃSKI: — Nie. Nie mam etatów. Mam limity etatów dla pielęgniarek na poszczególne oddziały.

Czy potrzebowałbym ich więcej? Tak. Gdyby mi ktoś dał etaty, albo gdyby zostały zmienione limity, to przyjąłbym chętnie. Przecież chciałbym mieć w szpitalu samych szczęśliwych, bo dobrze pielęgnowanych pacjentów.

HALINA KUPHAL: — Stara ustawa o zawodach medycznych określa normy obsługi chorych przez pielęgniarki. Było to ustalane w zupełnie odmiennych warunkach. Ale sprawa się na tym nie kończy. Aby pielęgniarka mogła dobrze pracować, musi mieć do pomocy niższy personel medyczny. Przede wszystkim salowe. A tych wiadomo — po prostu — nie ma. Więc pielęgniarka musi często zastępować salową.

P. DYKTYŃSKI: — Trzeba chyba powiedzieć wszystko do końca, choć to temat dziś niepopularny. Chodzi o płace. Personel pomocniczy w szpitalu musi pracować za 8—10 tysięcy. To jest utopia. A przecież szpital bez tego personelu funkcjonować nie może. Jeśli nie zmienią się stawki, nie zmieni się sytuacja.

Różnego rodzaju kontrole karzą nas za takie czy inne uchybienia. I słusznie — przynajmniej z ich punktu widzenia. Ich nie interesuje, że szpital nie może kupić 100 kg farby, aby wymalować jeden oddział. Ich nie interesuje, że często nie ma kto sprzątnąć tego czy innego oddziału. I to nie dlatego, że komuś się nie chce. Nie. Po prostu dlatego, że te kobiety nie mają już sił, bo ich możliwości są ograniczone.

HALINA KUPHAL: — Przecież pielęgniarki pracują na trzy zmiany, również w niedzielę wolne soboty i święta.

P. DYKTYŃSKI: — A to są kobiety, mają swoje życie, rodziny, dzieci. Proszę sobie wyobrazić, że jeśli rodzina chorego — na przykład po operacji — chce mu zapewnić dodatkową opiekę i zapłacić pielęgniarce za noc spędzoną przy chorym, to najczęściej nie ma chętnych. Nie dlatego, że te kobiety nie chcą zarobić, ale dlatego, że brak im już sił.

HALINA KUPHAL: — Trzeba szukać rozwiązania tej sytuacji. Przecież ciągle nie może tak być, że na pielęgniarkę spada tyle obowiązków. Może by powołać jakieś brygady sprzątające?

P. DYKTYŃSKI: — Mieliśmy taką brygadę. Pracowała przez 3 tygodnie. Później ludzie zwolnili się.

HALINA KUPHAL: — Ja wiem, to jest brudna i trudna praca.

T. LEWY: — I najczęściej do sprzątania ma się szmatę, szczotkę i wiadro wody. I mały odkurzacz — jak w M-2.

— Kiedy mówi się lub słyszy o niedoinwestowaniu służby zdrowia, to rozumie się to przede wszystkim jako brak szpitali, przychodni. Mniej już się myśli o aparaturze, sprzęcie medycznym i innym wyposażeniu w szpitalach i przychodniach. Ale chciałabym zadać inne pytanie: czy jest nadzieja na to, że model służby zdrowia opierać się będzie na lekarzu rejonowym?

IDEAŁ CZYLI LEKARZ NA REJONIE

T. LEWY: — Projekt ustawy nie stwarza takiej nadziei, nie ma takiego zapisu, który mówiłby, że kluczową pozycję w systemie ochrony zdrowia zajmuje lekarz podstawowej opieki.

P. DYKTYŃSKI: — Niegdyś, jeżeli człowiek nie chiał iść do lekarza, bo nie wszyscy przecież chcą się leczyć, to szedł do apteki i pytał magistra farmacji, co by mu dał na taką czy inną dolegliwość — i dostawał na ogół właściwe lekarstwo. Gdzie dziś są tacy magistrzy farmacji?

— Nawet gdyby byli, to trzeba byłoby postać najpierw w kolejce do nich, a później dowiedzieć się, że takiego lekarstwa nie ma, albo że jest, ale bez recepty lekarza nie wydaje się. To są już tylko odległe wspomnienia.

P. DYKTYŃSKI: — Ale tak było. Ba, opowiadano mi również, że niegdyś ogłaszano konkursy na lekarza ubezpieczalni, wygrywali najlepsi i mieli też za swą pracę wysoką pensję.

ST. FAJNDT: — Współczesny lekarz na rejonie ma na ogół tylko słuchawki oraz długopis.

T. LEWY: — Dobre słuchawki ma wtedy, jeśli sam je sobie kupił, bo te, które otrzymał z przydziału, do niczego się nie nadają.

— Czy dlatego lekarze rejonowi najczęściej kierują pacjenta do specjalisty?

ST. FAJNDT: — Skoro nie ma żadnego wyposażenia medycznego, to dla trafności diagnozy lepiej niech wypowie się specjalista.

P. DYKTYŃSKI: — Mamy w szpitalu sporo pacjentów nie ewidencjonowanych. Jeśli ktoś prosi o poradę, to trudno mu odmówić, a nie ma czasu na wyciąganie karty i całą biurokrację.

— Bo wy macie właśnie to, czego brakuje na rejonie — wyposażenie diagnostyczne. Ktoś, kto może skorzystać z takiej pomocy nie musi tracić mnóstwa czasu i mieć wątpliwości, czy postawiono mu właściwą diagnozę.

T. LEWY: — Zdaję sobie sprawę, że ludzie tęsknią za swoim lekarzem, do którego mieliby pełne zaufanie. Nie wyobrażam sobie dziś powrotu do lekarza takiego, jaki był przed 40 czy 50 laty. Ale sądzę, że lekarzem spełniającym społeczne oczekiwania byłby lekarz o największych umiejętnościach i uzbrojony w dobry sprzęt diagnostyczny.

— Był niegdyś taki eksperyment, że pacjenci mogli wybierać lekarza, do którego mieliby pełne zaufanie. I co się z tym stało?

T. LEWY: — Słyszałem wypowiedź ministra zdrowia w tej sprawie. Eksperyment został oceniony wysoko i pozytywnie, ale nic z tego nie wyszło. A nie wyszło dlatego, że minister nie wiedział, cb zrobić z lekarzami odrzuconymi przez pacjentów.

— Co przeszkadza temu, aby lekarz rejonowy był dobrze przygotowany do swojej pracy?

T. LEWY: — Sądzę, że problem ten rozwiązałby właściwie ustawiony system płac. U młodych nie ma dziś ciągot do tego, aby zostać lekarzem rejonowym. Przeciwnie, wszyscy raczej chcieliby być specjalistami.

P. DYKTYŃSKI: — Muszą być warunki do selekcji jakościowej. Teraz takich warunków nie ma.

E. ZWIERZCHOWSKI: — Ideałem byłoby, gdyby lekarz rejonowy był koordynatorem badań specjalistycznych. Kiedy on kieruje do specjalisty, to rzeczywiście taka jest potrzeba. Następnie pacjent powinien wrócić z wynikami badań do lekarza rejonowego i on koordynowałby kurację. W ten sposób uniknęłoby się wielokrotnego zapisywania tych samych leków przez różnych specjalistów.

T. LEWY: — Pamiętam, jak niegdyś, jeden z byłych premierów nakazał przejrzeć wysypiska Warszawy i zebrać wyrzucone tam lekarstwa. Zebrane — oszacowano na bodaj 100 tysięcy złotych. Były premier oskarżył lekarzy o marnotrawstwo, ale nikomu nie przyszło do głowy zastanowić się, jakie tego marnotrawstwa były rzeczywiste przyczyny. A między innymi, było to właśnie zapisywanie tych samych lekarstw przez różnych specjalistów.

E. ZWIERZCHOWSKI: — Był też projekt wprowadzenia, zamiast kart rejestracyjnych, książeczek zdrowia, w których byłaby zapisana cała historia choroby i każdy lekarz biorąc do ręki taką książeczkę zdrowia wiedziałby, z jaką chorobą ma do czynienia i jaki tok leczenia był stosowany. Ale sprawa ta pozostała nadal niestety tylko w sferze projektów.

— Z naszej rozmowy wynika, że przyszłość służby zdrowia nie rysuje się w jasnych barwach, a ustawa o ochronie zdrowia, choć niezbędna, też budzi szereg różnych i poważnych zastrzeżeń. Trzeba mieć nadzieję, że krytyczne uwagi, jakie padną w sejmowej dyskusji nad projektem tej ustawy, zostaną wzięte pod uwagę i wpłyną na jej ostateczny kształt.

Musimy również pamiętać, że sprawność służby zdrowia zależy w dużej mierze od sprawności działania całej gospodarki. Choćby, na przykład, od poziomu rozwoju chemii, przemysłu spożywczego, od naszych możliwości eksportowych, które pozwoliłyby na zakup niezbędnych dla medycyny narzędzi, aparatury i leków. Prawidłowy rozwój służby zdrowia stanowi — jak widać — duży kompleks zagadnień, które nie ograniczają się tylko do rozwiązań prawnych, ale zależą też od poziomu i stopnia rozwoju całej gospodarki i innych dziedzin życia społecznego.

T. LEWY: — Gdyby to ode mnie zależało, to dokonałbym teraz niezbędnej nowelizacji przepisów, które stanowiłyby wytyczną dla działania służby zdrowia, a z ustawą poczekałbym jeszcze.

— Na lepsze czasy?

T. LEWY: — Nie tylko, ale rzeczywiście proponowałbym poczekać na taki czas, kiedy wychodzenie z kryzysu będzie bardziej widoczne, a stan gospodarki znacznie lepszy. Poczekałbym też na dokładne rozeznanie się w organizacji i działaniu służby zdrowia w innych krajach. Niechby tym zajęli się eksperci i to nie tylko ze służby zdrowia. I dopiero wówczas można byłoby ponownie wystąpić z nowym, już dobrze dopracowanym, projektem ustawy o ochronie zdrowia w Polsce. Powinna to być — w moim przekonaniu — taka ustawa, która mogłaby nam służyć przez długie lata, której nie trzeba byłoby nowelizować po roku czy dwóch.

Dyskusję prowadziła i opracowała: BOGDA MADEJ

Obcy wśród Polaków

JOANNA SŁAWIŃSKA

Często słyszy się opinie, że Polacy to naród gościnny, serdeczny i życzliwy dla przybyszów. Gościnność już ponoć była zaletą kołodzieja Piasta, który w nagrodę za przyjęcie w swym domu obcych przybyszów wypędzonych przez Popiela, został księciem Polski. W czasach, gdy w Europie prześladowano innowierców, Polska stała otworem dla wszystkich cudzoziemców, niezależnie od ich przekonań czy mentalności. Twierdzi się więc, że gościnność to nasza cecha narodowa. Czy rzeczywiście?

PRZYJEŻDŻAJĄ Z DALEKA

Do Łodzi, gdzie funkcjonuje studium Języka Polskiego dla Obcokrajowców przy UŁ, od ponad 30 lat przyjeżdżają młodzi ludzie ze wszystkich kontynentów. Tu rozpoczynają swoją edukację obejmującą oprócz nauki języka polskiego również wiedzę z innych przedmiotów. Dalszym etapem są studia na uczelniach całego kraju. W Polsce studiuje obecnie około 6 tysięcy obcokrajowców, w Łodzi około tysiąca. Pochodzą ze wszystkich kontynentów z wyjątkiem Australii. Są to przedstawiciele najróżniejszych kultur i ras. Afrykanie, Arabowie, Latynosi, Wietnamczycy, i oczywiście Europejczycy.

Polacy w swej historii nie mieli nigdy podobnej okazji do zetknięcia się z takim nagromadzeniem egzotyki we własnym kraju. Rasizm, konflikty odmiennych kultur — to nie były nasze problemy. Dla nas była to niemalże abstrakcja, coś, o czym uczyliśmy się w szkole. U nas głoszono przyjaźń wobec „Czarnego Brata", potępienie rasizmu w każdej jego postaci.

Skąd więc nagle w tak gościnnym kraju, w jednym z jego większych miast, wytykanie palcami Murzynów i Arabów, obrzucanie ich obelżywymi określeniami (Czarnuch, Brudas, Asfalt itp.)? Skąd zaczepki i brutalne pobicia na ulicy najczęściej w godzinach wieczornych? Z reguły kilku napada na jednego „Czarnucha". Zaczyna się od wyzwisk, a kończy bijatyką. Dlaczego na osiedlu studenckim dziewczyna idąc z chłopakiem, którego kolor skóry zdradza nieeuropejskie pochodzenie, musi wysłuchiwać epitetów: „kurwa", „dziwka"?

Mówi Basia, dziewczyna Murzyna:

— *Często gdy wyjdę z moim chłopakiem na ulicę czy osiedle studenckie, słyszę, że jestem dziwką, kurwą. Przeważnie siedzimy w akademiku, nigdy nie idziemy razem do lokalu, czy na dyskotekę, żeby nie czuć się obserwowanymi. Jeżeli chcemy się pobawić, to chodzimy na specjalnie organizowane imprezy w Studium Języka Polskiego. Dlaczego z tego powodu, że mój chłopak jest Murzynem, muszę znosić obelgi? Na początku płakałam i bardzo to przeżywałam. Teraz przymuję to spokojniej, staram się nie zwracać uwagi, ale zawsze jednak się denerwuję.*

Mówi Arab, (5 lat w Polsce, który ma dziewczynę Polkę i zamierza ożenić się z nią):

— *Nie lubię wychodzić do miasta. Często jestem zaczepiany. Kiedyś na przykład w kawiarni, gdy siedziałem spokojnie przy stoliku, dostałem w pewnej chwili w twarz kulką papieru i usłyszałem: ty Arabie i różne obraźliwe słowa. Takie sytuacje są częste, wolę więc siedzieć w pokoju, w akademiku.*

Dziwnie to jakoś brzmi. I dziwnie nie pasuje do tradycyjnej polskiej tolerancji i gościnności.

Aby przyjrzeć się sprawie bliżej, zwróciłam się do około dwudziestu studentów — obcokrajowców przebywających w Polsce, przeważnie w Łodzi, od kilku lat z prośbą, by opowiedzieli o swoich doświadczeniach w naszym kraju, o swoich wrażeniach z kontaktów z Polakami. Z jakimi reakcjami w stosunku do siebie spotykają się najczęściej? Czy ich zdaniem Polacy są gościnni? Czy są życzliwi, otwarci? Jak czują się w naszym kraju? Czy dobrze zaadaptowali się w społeczeństwie i w środowisku studenckim?

„ZOBACZ TEGO MURZYNA"

Pytałam o to głównie Murzynów i Arabów. Rozmawiałam z Latynosem i Greczynkami. Oto najczęściej powtarzane spostrzeżenia:

John, Murzyn (drugi rok w Polsce, ukończył studium w Łodzi, obecnie studiuje we Wrocławiu, ma także obserwacje z innych miast).

— *Polacy są bardzo prymitywni w swoim doświadczeniu z cudzoziemcami. Wytykają palcami, mówią głośno: O, Bambo! Co to znaczy „Bambo"? Nawet mój kolega z akademika, gdy mnie spotka na ulicy, pokazuje mnie palcem. Mówi do swojego kolegi: O, zobacz tego Murzyna. Zachowuje się tak jakby mnie nie znał.*

Jean, Murzyn, czwarty rok w Polsce:

— *Na ulicy nieraz ktoś podejdzie i nagle spyta: skąd pan jest? Nie powie, przepraszam, czy mogę spytać, tylko od razu: skąd?*

Mamusia z dzieckiem podchodzi do Murzyna i pokazuje go palcem:

— *Popatrz, córeczko jaki Murzynek-brudasek!*

A Murzynek-brudasek — to doktorant na PŁ.

Starsza pani pociera palcem dłoń Murzyna i dziwi się, że nic jej na palcu brudu nie zostało.

„CZY WIDZIAŁEŚ HIPOPOTAMA?"

Wielu z obcokrajowców zwróciło też uwagę na fakt, że Polacy i to zarówno przechodnie na ulicy, jak i studenci, zadają im dziwne pytania.

— *Nikt mnie nigdy nie pytał o ustrój mojego kraju, o gospodarkę* — powiedział John. — *Ja bardzo chętnie bym o tym opowiedział. Studenci pytali mnie na przykład „Czy wy macie czerwoną krew?".*

— *Studenci w ogóle mało rozmawiają ze mną* — stwierdził Jean. — *Ale czasem pytają czy widziałem żyrafę, hipopotama.*

— *Pewien asystent z uczelni* — opowiadał mi student z Iraku — *gdy byłem u niego w domu, spytał mnie: „Czy wy macie specjalne garaże dla wielbłądów?". Nie interesowały go sprawy polityczne naszego kraju. Studenci też się tym nie interesują. Raz tylko, gdy mnie i kolegów zaproszono do szkoły, uczniowie przygotowali sobie pytania o warunki życia, obyczajowość. To był jedyny przypadek w ciągu całego mojego pobytu w Polsce. Ale też w końcu ktoś spytał: „Skąd pan ma takie ładne buty?".*

Zdumiewa brak poszanowania godności ludzkiej w reakcjach na ulicy, które tłumaczyć chyba należy nie tyle brakiem doświadczeń w obcowaniu z obcokrajowcami, co brakiem kultury osobistej. Razi bowiem nie zainteresowanie jako takie, lecz obcesowość w jego wyrażaniu. Również te dziwne pytania, na które zwróciło uwagę wielu obcokrajowców są często świadectwem niskiej kultury i braku wiedzy. Aby bowiem pytać z sensem, trzeba już coś wiedzieć, myśleć i chcieć się dowiedzieć czegoś więcej. Najbardziej zdumiewające jest, że te infantylne pytania zadają studenci. A także i to, że właśnie oni, zdawałoby się ludzie o szerszych niż przeciętne horyzontach i zainteresowaniach, głodni wiedzy — nie korzystają z niebywałej wręcz okazji zdobycia wiadomości z pierwszej ręki, od studentów z Iraku i Iranu, Libanu, od Palestyńczyków, od Murzynów z krajów pokolonialnych, z RPA. Wielu obcokrajowców chętnie opowiedziałoby o swoich krajach.

CZY JESTEŚMY ZAMKNIĘCI DLA INNYCH

To społeczeństwo — mówi John o nas — *jest jakieś zamknięte.*

Studenci, którzy byli na Zachodzie mówią, że ta rezerwa, chłód to specyfika polskich stosunków.

— *Gdy byłem we Francji i RFN* — opowiadał — Jean — *studenci zapraszali mnie na party. W Polsce nigdy. Dzięki koledze, który mnie zaprosił, mogłem poznać innych. Studenci mają tam bardziej bezpośredni sposób bycia. Na party od razu podchodzili do mnie, zaczynali rozmowę, chcieli jak najwięcej dowiedzieć się, dyskutowali ze mną o polityce.*

Bob, Murzyn, który w Polsce jest już 6 lat uważa, że studenci polscy stwarzają w stosunku do Murzynów bariery. Ci mają do wyboru, albo przełamywać te bariery, albo żyć w izolacji. Inicjatywa nawiązania kontaktów nie wychodzi bowiem od Polaków. Nawiązywanie kontaktów na siłę jest dla obcokrajowców wobec widocznej niechęci poniżające, ale niektórzy mimo to tak robią. Narzucają się po prostu Polakom. Inni po nieudanych próbach i przykrych doświadczeniach, w końcu rezygnują.

— *Gdy przyjechałem tu przed sześcioma laty* — mówi Bob — *chciałem znaleźć przyjaciół wśród Polaków. Ale gdy zapraszałem do siebie kogoś, to najczęściej wykręcał się. Chodziłem na dyskotekę pod „Siódemki", ale tam dziewczyny bardzo niechętnie tańczą z cudzoziemcami. Na ogół odmawiają. A jeśli dziewczyna tańczy z Murzynem, to Polacy cały czas ich obserwują (...).*

Polacy często mają pretensję, że jesteśmy łagodniej oceniani na uczelni. Na moim kierunku jest to raczej niemożliwe, bo egzaminy są w większości testowe. Na roku jestem izolowany. Wyczuwam niechęć. Widać to po spojrzeniach, wyrazie twarzy, po tym, że wszyscy między sobą rozmawiają, a mnie traktują jak intruza. Teraz już nie próbuję nikogo zapraszać. Nie chcę się narzucać. Przeważnie siedzę w akademiku. Człowiek czuje się tu bardzo obco. Nie czujemy się częścią społeczności studenckiej. Ja myślę tylko o tym, żeby skończyć studia i jak najszybciej wyjechać. Mimo wszystko, jestem wdzięczny rządowi polskiemu, że mogę tu studiować.

Tu należy się czytelnikowi mała dygresja: Bob należy do grupy trzystu obcokrajowców, którzy korzystają ze stypendium rządu polskiego. W przypadku reszty spośród 6 tys. cudzoziemców studia są opłacane w wysokości około 3 tys. dolarów rocznie, a ponad 4 tys. w przypadku studiów medycznych przez rodziców lub rząd kraju, z którego student pochodzi. Te trzysta stypendiów rocznie, które nasz kraj proponuje krajom Trzeciego Świata, jest realizowanych na zasadzie „wymiany studentów" lub umów gospodarczych (otrzymujemy np. w zamian surowce). Wszyscy studenci — obcokrajowcy otrzymują 5163 zł stypendium miesięcznie. Są zwolnieni z opłaty za akademik. Części z nich suma ta musi wystarczyć na miesięczne utrzymanie. Wielu jest jednak wspomaganych bądź przez swoje ambasady, bądź też przez rodziców.

„DLACZEGO SĄ NIELUBIANI?"

Czy istotnie stosunek studentów Polaków do Arabów i Murzynów jest taki niechętny? A jeśli tak, to jakie są tej niechęci przyczyny?

Studenci polscy podzielili się ze mną nie tylko własnymi odczuciami, ale także obserwacjami na temat atmosfery, jaka panuje wokół Arabów i Murzynów w osiedlu studenckim im. Lumumby. Arabowie i Murzyni są nielubiani. Rzadko kto wchodzi z nimi w bliższe układy towarzyskie czy przyjacielskie. Obcokrajowcy stanowią istotnie jakby organizm w organizmie. Zresztą oni też nie tworzą jednej grupy. Są podzieleni chociażby z przyczyn politycznych: trudno np. by polubili się Irakijczyk z Irańczykiem.

Wśród Polaków dominuje postawa: a co ja się będę nimi zajmował, mam swoje sprawy i swoich znajomych, „nie mam czasu, ani ochoty się z nimi zadawać". Często też można się spotkać z niechęcią, a nawet nienawiścią i pogardą wobec „kolorowych", zwłaszcza Arabów i Murzynów.

Jakie są tego powody?

Oto lista „pretensji", najczęściej wymienianych powodów antypatii do obcokrajowców.

Po pierwsze — pieniądze.

Niechęć części studentów polskich wywołuje fakt posiadania przez niektórych Arabów i Murzynów, czasem też Latynosów, dużej ilości

pieniędzy. Nastąpił proces identyfikacji: Arab lub Murzyn to nadziany facet. Jak powiedział pewien absolwent politechniki:

— *Człowieka denerwuje, gdy ktoś coś ma, a ja nie. Oni mają samochody, wynajmują mieszkania, mają forsę, a ja co?*

Istotnie niektórzy, szczególnie Arabowie, dostają z domu po kilka tysięcy dolarów rocznie. Ale nie dotyczy to wszystkich.

Po drugie — przywileje.

Często spotykałam się z przekonaniem, że obcokrajowcy „kupują" egzaminy i zaliczenia, a także możliwość nauki w Studium Języka Polskiego dla Obcokrajowców przez kilka lat, zamiast przewidzianego jednego roku.

Czy to prawda? Tego nikt nie udowodnił. Są to więc tylko pogłoski... Ale te pogłoski mają swoje znaczenie dla stosunku polskich studentów do obcokrajowców. Niektórzy Polacy twierdzą, że podobno za „dodatkową" opłatę w obcej walucie obcokrajowcy uzyskują lepsze dwuosobowe pokoje w akademikach. Pokoje mają na ogół dwuosobowe, podczas gdy Polacy najczęściej trzyosobowe.

Obcokrajowcy tłumaczą to tym, że są daleko od swojego kraju i tutaj muszą sobie stworzyć drugi dom. Potrzeba im więcej „metrów kwadratowych" na osobę, bo gromadzą więcej sprzętów i rzeczy niż Polacy, którzy często na sobotę i niedzielę „wyskakują" do domu. A poza tym, jak powiedział jeden ze studentów, Murzyn:

— *Jeśli płacimy po 3 tys. dolarów za studia, to chyba mamy prawo do takiego „luksusu", jak dwuosobowy pokój o powierzchni około 10 metrów kwadratowych.*

Niektóre kraje określają zresztą w umowie standard pokoju i strona polska musi się z tego wywiązać.

Po trzecie — sposób bycia. Jedna z mieszkanek osiedla im. Lumumby w Łodzi, bywalczyni dyskotek na osiedlu powiedziała:

— *Arabowie są bezczelni. Wydaje im się, że każda dziewczyna jest dziwką. Kiedyś jeden z nich podszedł do mnie i powiedział, żebym poszła do niego. Gdy odmówiłam, był bardzo zdumiony.*

— *Dlaczego? — pytał. Widocznie uważał, że każda jest na jego zawołanie, tylko wybierać.*

— *Podobno uważają, że Polki są „łatwe"* — powiedziała mi inna dziewczyna.

Arabowie są pewni siebie, a Murzyni dumni. Polacy tego nie lubią. Wietnamczycy natomiast zachowują się skromnie, więc są lepiej traktowani.

Rzeczywiście, jest pewna grupa obcokrajowców, którym po przyjeździe do Polski „woda sodowa" uderzyła do głowy. Tu poczuli, że nagle stali się zamożni. Powodem tego jest wartość dolara w Polsce. Pieniądze, samochody i prostytutki na każde zawołanie robią z wielu niegdyś skromnych chłopców, wychowanych w surowej obyczajowości muzułmańskiej, rozwydrzonych, zdemoralizowanych playboyów, którym wydaje się, że wszystko im wolno. Wszystko to, co w ich kraju było im surowo zakazane, tu jest im nader łatwo dostępne.

(Wszystkie imiona i inicjały zostały zmienione). ■

Na dnie

Dokończenie ze strony 1

tysięcy z groszami, to się Sobczak aż za głowę złapał. Dom murowany, przecież nowy i — dwieście dwa tysiące!? A sad? a stodoła? obora? a studnia? Toż prawie jakby darmo oddał, choć złotówka wtedy więcej kosztowała. Najspokojniejszego by ruszyło.

Pojechał się Sobczak upomnieć o swoje. Pierwszy raz pojechał, ale nie ostatni. Powiedział, że miało być sprawiedliwie, a nie po złodziejsku. I czarno na białym — po jakich cenach, ile za co, bo w protokole nie ma. To on takiej wyceny nie przyjmuje.

Dobrze. Przysłali drugiego rzeczoznawcę. Chodził, chodził, oglądał... Wyszło mu jeszcze mniej — o trzydzieści tysięcy. Zniszczone, mówi, zaniedbane, dach na stodole trzeba by naprawić... Z dnia na dzień coraz gorzej, to i cena spada.

Ano, mówi Sobczak, zniszczone. W mieszkaniu nie malowane. Pewnie, że się psuje. Ale jak to malować, łatać, reperować, kiedy już dawno wiadomo, że do rozbiórki? Pieniądze w wodę mam wyrzucać? Nie po gospodarsku to przecież.

I tak chłop swoje, urzędnik swoje. Chłop, że trza na rozum, urzędnik — że przepisy... Albo to on je wymyślił? Nie jego wina. To do kogo Sobczak ma pretensje? A wykupić i tak wykupią, czy chce, czy nie chce.

No i wykupili. Oficjalnie — pod koniec maja osiemdziesiątego, ale z robotą weszli już wcześniej, bez jednego słowa. A pieniądze wpłacili na książeczki. Poszli Sobczakowi na rękę — wzięli pierwszą wycenę. Czterysta sześćdziesiąt jeden tysięcy z groszami — za dom, budynki gospodarcze, sad i ziemię. Bo zabrali hektar trzydzieści jeden, a dali gdzie indziej zero dziewięćdziesiąt osiem, to musieli dopłacić. Jest na to kwit. Może zobaczyć, kto nie wierzy.

Tych kwitów, zaświadczeń, protokołów zebrała się przez ostatnie lata Sobczakowi cała teczka. Ładnych parę kilo papieru. Tylko żeby się w tym wszystkim rozeznać i głowy nie stracić, musiałby Sobczak zatrudnić sobie sekretarkę. Na cały etat, a roboty by jej nie brakło, bo i podania pisać, i listy, odpowiadać na pisma, do urzędów jeździć — a to do gminy, a to do Sieradza... I najlepiej, żeby pyskata była, to by jej spławić nie było łatwo. Może wtedy miałby Sobczak czas i w pole wyjść, kiedy trzeba, i uszyć na termin to, co poprzyjmował. Zdrowia i nerwów wiecznie by nie tracił, a i ten dom pod lasem stałby już może gotowy.

Bo umyślił Sobczak dom nowy zbudować. Gdzie mu było na starość szczęścia w świecie szukać. Tu się z żoną rodzili, to i tu zostaną. Córka też, choć już miastowa, ciągnie stale w rodzinne strony. Ładniejszych, mówi, nigdzie nie ma. I wnuczki do dziadków chętnie przyjeżdżają. Dobrze mają w Zgierzu, prawda, ale powietrza jak nad Wartą i Pichną tam już nie masz. Same smrody, że szkoda gadać.

Więc jak z Siedlątkowa iść precz im już trzeba, najlepiej gdzie blisko, uradzili. Kawałek ziemi się weźmie, dom na niej się postawi, elegancki, piętrowy... Żeby i dla młodych już było, kiedy na wieś przyjdą. No bo jak za parę lat zrobią zalew i tę rekreację, to mikrobiolog na miejscu na pewno im się przyda. Zięć też tu przecie robotę jaką dostanie. Fachowiec jest, inżynier mechanik, to sobie poradzi. Chyba i zarobi lepiej, niż w tej swojej fabryce. No co, nie będzie im tu dobrze?

Pewnie, że budować się, niełatwa teraz sprawa. Pieniędzy to kosztuje, że hej. Ale jak stare wykupią, materiał przyznają i kredyty, co je wysiedlonym obiecali, a jeszcze swojego też się przecież dołoży... Nie ma co dłużej medytować, tylko — od razu do roboty, bo czasu szkoda.

Działkę kupili jeszcze w siedemdziesiątym siódmym, w Księżej Wólce, pod lasem. Kilometr, może półtora od starego domu. Tak sobie wybrali, bo miejsce dobre pod dom. Ale nie im o tym decydować. Jakby tak każdy chciał budować gdzie mu się podoba, to by dopiero było! Krajobraz zeszpecić, nie sztuka. Pozwolenie trzeba mieć. I podanie najpierw złożyć. Rozpatrzymy, załatwimy...

No to złożył Sobczak podanie i czeka. Majstra zgodził, całe oszczędności włożył w siporeks i wapno — czeka. Pierwszych sąsiadów wysiedlają — czeka. Dno zbiornika niwelują, zaporę usypują — czeka i już mu bokiem zaczyna wychodzić to czekanie.

Na kawałku, co miał być zatopiony, żyto posiał, bo przecież prawnie ziemia jeszcze jego, odłogiem leżeć nie może, a tu jak raz Pichnę przegrodzili i w polu wody po kolana, jakby ryż był, a nie żyto. Napisał więc do dyrekcji budowy o odszkodowanie i — znowu czeka. Korespondencja się rozwija. Dyrekcja że to nie oni, żeby do pezetu. Pezetu, że skądże, niech płaci dyrekcja. Myśleli, myśleli, w końcu zapłacili, ale — po półtora roku i po starych cenach skupu zboża. A co pan myślał panie Sobczak? Zalaliśmy przed podwyżką, tak? Tak. No to jest tak, jakbyśmy przed podwyżką też zapłacili. Gra? Nie gra, ale machnął ręką.

A pozwolenia na budowę ciągle jakoś nie było. Podobno przez tę drogę, co to nie wiadomo jeszcze, jak ma być wytyczona. Bo co nagle, to po diable. Na wszystko przyjdzie kiedyś czas.

Najeździł się Sobczak za tym pozwoleniem, oj, najeździł. Do gminy i do województwa, do województwa i do gminy, jak chłopak na posyłki. Wreszcie w osiemdziesiątym roku nie wytrzymał i do samego głównego wojewody w kolejce na czerwiec się zapisał. Już mają wchodzić z żoną do gabinetu, już drzwi się otwierają, a tu, patrzą, jest już ten od gospodarki przestrzennej, co ich tyle razy odsyłał, i wojewodzie w głowie mąci, że tego, że owego... Znam sprawę — na to wojewoda, bo dobry był chłop. I mówi: ma być załatwione! I było. W ciągu tygodnia. Po trzech latach czekania na... Bóg jeden wie, na co.

Ucieszył się Sobczak, że już za nim kłopoty, że jak teraz ruszy... Ale ruszyć nie może. Bo tak: cegła jest, wapno jest, majster zgodzony, pozwolenie w kieszeni, cement... Będzie w przyszłym kwartale. Jak przyjdzie, dostaniecie, powiedzieli w gminie. A teraz — radzą — gdzie pożyczyć, choćby i z budowy. Toż mają go na tony.

Niby racja, tylko że łatwiej radzić, niż rzecz przeprowadzić, bo dom prywatny, budowa państwowa i każdy by tak chciał. Niby racja, myśli znowu Sobczak, ale czy to ja budowę wysiedlam? Jak tak, to im spieszno, a jak co do czego — nie ma! Alboż to nie pisał: *„Szanowna Dyrekcjo, zwracam się do Was z gorącą prośbą, uprzejmie prosząc „pomóżcie mi" — w czym tylko możecie, abym mógł jak najszybciej pobudować i opuścić teren Wam potrzebny, gdyż mieszkam przy zaporze, leży to tak w interesie*

Ludzie nieznanych imion. Ludzie bezdomni. Kloszardzi, włóczędzy, pasożyci? Ludzie z dogmatwanymi życiorysami, świadomi i nieświadomi swego losu, charakteropaci. Nie są w stanie, nie potrafią stawić czoła przeciwnościom. Mieli swoje domy, ale z jakichś powodów odeszli z nich, porzucili. Wybrali życie z dnia na dzień, życie na krawędzi samounicestwienie z własnej woli.

Nie skarżą się na niedostatki, jakie są ich codziennym udziałem. Nie czynią nic, co może ten byt polepszyć. Biernie ulegają okolicznościom losu. Ale mają też swoiste poczucie wolności, godności, niezależności. Bywa że nawet własny moralny kodeks albo namiastkę kodeksu. Dlatego odrzucają pomoc z przymusu, uciekają z domów opieki społecznej, noclegowni, szpitali. Wracają na dworzec, na wysypisko śmieci, do walącej się rudery, do odludnego miejsca, gdzie nie muszą podlegać rygorom, gdzie nie muszą się do nich przyzwyczajać, nie muszą wypełniać poleceń.

Żyją tak od lat kilku, kilkunastu — niektórzy nawet od 30 lat. Wywodzą się z bardzo różnych środowisk. Są wśród nich inteligenci, ludzie w przeszłości piastujący znaczące stanowiska, artyści, lekarze, kombatanci, robotnicy, a także postacie urodzone i wyrosłe na społecznym marginesie. Tutaj nie ma reguł, nie ma szablonu. Są karykaturalne twory o twarzach pokrytych bliznami, obłąkańczych spojrzeniach, zachrypłych głosach, zawszonych włosach, obrzmiałych, owrzodzonych ciałach, o dłoniach z ropiejącymi strupami, w lepkich od brudu i potu ubraniach, które trudno ubraniami nazwać. Ale są też postacie, rzec by normalne, przeciętne, ginące w tłumie. A jednak do tego tłumu nie należące.

Egzystują w atmosferze stałej nieufności — do ludzi, do otaczającego ich świata. Rzadko kiedy bywają agresywni. Bronią się tą swoją innością — albo przeciętnością. Ci pierwsi odstraszają ubiorem, wyglądem zewnętrznym, brudem. Ta inność, ten brud mają osłaniać ich przed interwencją wrogiego świata. Ci drudzy wtapiają się w bezbarwny tłum, prowadzą grę pozorów, bo potrzebują milczącej akceptacji. Unikają represji.

O byt walczą minimalnym nakładem sił. O biologiczne przetrwanie. Najczęściej żywią się odpadkami, resztkami z cudzych talerzy. Żebrzą, zbierają butelki, makulaturę, szmaty; kradną. Wielu z nich sięga po alkohol. Alkohol daje zapomnienie, przyśpiesza czas teraźniejszy, oddala czas miniony; pozwala łatwiej żyć. Ale ten sam alkohol odradza czynny bunt, uczucie poniżenia — rodzi agresję. Staczają się na samo dno.

Widujemy ich niemal codziennie. W dużych samoobsługowych barach, gdzie czyhają na ochłapy; na dworcach, gdzie szukają schronienia, śpią; na ulicach, w parkach, tramwajach. Zwracają naszą uwagę, lecz zarazem budzą niepokój, wstręt, a w końcu i pytanie: dlaczego? Przecież nikt nie rodzi się kloszardem. Ale może nim się stać. Dlaczego? W takich razach chciałoby się uprościć sprawę, odtrącić wszelkie wątpliwości, stwierdzić: „włóczędzy", „pasożyci", „nieudacznicy". Potem łatwo już dać jakąś prostą, skuteczną recepturę na to by ich nie było. Lecz oni są. Dlaczego?

POWIEDZMY: ALOSZA

Jest czujny niczym dzikie zwierzę. Płochliwy. Nie patrzy w talerz. Chce widzieć wszystkich i każdego z osobna. Rozbieganymi oczyma kontroluje całą salę. Gdy ktoś wstaje od stolika, on pręży się — gotów do skoku, do ucieczki. Nie siada. Chwyta naczynie z niedojedzoną strawą i tyłem wycofuje się w bezpieczny kąt. Je szybko. Palcami. Połyka pokarm bez gryzienia, bez patrzenia na ręce miażdżące ostygłego ziemniaka.

— Trzeba jeść. Trzeba jeść, jeść. Przyjdzie mróz i wielki ogień. Nie będzie chleba, nie będzie. Zapomnicie smak chleba. Będziecie płakać za chlebem. Trzeba jeść, jeść...

Chyłkiem dopada odstawionego talerza, zabiera ogryzione żeberko. Zawija je w wymięty papier. Uśmiecha się. Chciałby mieć skrawek kotleta ze stolika pod oknem. Ale waha się — obok siedzą ludzie, patrzą na niego. Nie, nie weźmie. Kiwają palcem. Podsuwają kanapkę z kiełbasą. *„Chodź, weź — to dla ciebie".*

— Nie chcę, nie chcę. Trucizna. To trucizna. Wiewiórka. Jadłeś kiedy wiewiórkę? A ja jadłem wiewiórkę. Styczeń, faszyści, nie było jedzenia. Zwierzaki grzebią w ziemi. My też grzebali. Wiewiórka. Płaszczem ją nakrył. Zadeptał — na śmierć! Mięso...

Teraz jest syty. W kieszeniach ma ogryzione żeberka. Dotyka brzucha. Przyjemnie być sytym. Poklepuje wypchane kieszenie. Nikt nie wstaje, można iść na ulicę. Staje w drzwiach, cofa się.

— Kto jesteś? Pokaż kennkartę! — uspokaja się. *— Idź przodem, będę osłaniać. Ty idź przodem, ja mam pełny brzuch — nie mogę. Postrzał. Postrzał w bebechy i koniec. No, idź, osłaniam...*

Przebiega ulicę. Kryje się w bramie. Ulicą jedzie ciężarówka, przepełniony tramwaj, dwaj rowerzyści.

— Zatrzymaj ich! Tam łapanka. Budy jadą na łapankę. Wyjrzyj. Nie ma patrolu? A granatowi? To dobrze, to dobrze. A może ty kłamiesz? Może jesteś zdrajcą? Przyznaj się, że jesteś zdrajcą! Co mówisz? W porządku, możesz zostać. Zobacz czy przejechali. Skaczemy!

Przemyka do parku. Co kilka kroków odwraca się gwałtownie. Ciężko opada na ławkę. To serce — coraz słabsze, coraz mniej pozwala. Oddycha z trudem. Twarz pociemniała, wykrzywiona grymasem bólu. Głębokie zmarszczki na policzkach, na brodzie, pod oczami. Brudne, posklejane włosy. Drżące ręce.

— Mam 26 lat. Nie wierzysz? Oni mi nie wierzą. Mam 26 lat. Co tak kiwasz głową? Osiemnasty rocznik. Hej, hej, komendancie wodzu kochany — nuci. *— Pójdziem razem do zwycięstwa do zwycięstwa, poprzez trud i znój, poprzez trud i znój. Hej hej, komendancie miły wodzu mój. Damy Polsce wieczną wolność, wieczną wolność i wolne stany i wolne stany. Hej, hej, komendancie wodzu kochany —* kaszle. *— Tu, odłamek —* rozchyla poplamioną koszulę, ma na piersiach trzy ciemne blizny. *— Piasek w oczy. Taki gorący piasek i nic nie słychać. —* nabiera sił *— Poczekaj! Trzeba schować żarcie. Uważaj!*

Rozgrzebuje ziemię pod niskim świerkiem.

— Oni tu byli! Znają kryjówkę. Zabrali...

Został tylko podarty kawałek papieru. Wyraźnie widać ślady pazurów. Psy musiały poczuć mięso. Dokopały się do ukrytych ochłapów. Ale dla niego kryjówkę odkryli „oni". „Oni" są wszędzie. Na pewno depczą mu po piętach. Jest osaczony, lecz nigdy nie podda się. Chyba że serce...

— Kocioł! Pryskamy za tory. Przebić się, wyjść!

Obok nasypu kolejowego są zarośla. To jego punkt obserwacyjny. Stąd zbiera informacje o ruchu transportów. Zadanie jest bardzo niebezpieczne. Dywersja na tyłach wroga. Gdyby „oni" dostali go w swoje ręce...

— Widzisz słup? On był tak jak ten słup. Nie spodziewał się, skurczybyk. Kurzył. Przymierzyłem i trrrach! Tu dostał między oczy — pokazuje gdzie tamten dostał. *— Rozwaliło łeb. Hełm mu tak latał —* pokazuje jak tamtemu latał hełm. *— Na miazgę! Krwia pryskała i mózg. Na miazgę! Ścierwo! Zegarka nie miał. Tylko automat i to —* wyjmuje coś ze skórzanego woreczka. *— Biały taki, to go było widać —* na dłoni leży pożółkły ząb. *— Reszta na miazgę!*

N.N.

Przerywa. Kładzie się na mokrej ziemi, przykłada do niej ucho. Słucha. Teraz drugim uchem.

— Jest! Ciężki skurczybyk. W powietrze skurczybyka! Niedoczekanie wasze, wy... — grzmoci pięścią w mokrą ziemię.

Przejeżdża towarowy. Ciągnie skład z cementem. Umorusane wagony bez drzwi, z tekturowymi przegrodami. Ziemia drży.

— Jutro. Jutro go wykończymy. Nie wierzysz? Nie wierzysz mi? Zapytaj chłopców. Wszycy ci powiedzą, że Alosza jest spec od bum-bum. Alosza gołymi łapami wysadzi skurczybyka. Jak nie tak, to tak. Nie ma cwaniaka na Aloszę. Rozkręcimy tam, za winklem — to dobre miejsce. Dostaniesz buty od Aloszy. Sam sobie weźmiesz. Całkiem nowe buty. Oni dostają nowe buty na front. Ściągniesz sobie...

Idzie na szkolne boisko. Mali chłopcy kopią piłkę. Staje za drzewem. Uśmiecha się. Piłka wpada na trawnik. Alosza nie wytrzymuje. Kopie z całych sił i traci równowagę. Chłopcy śmieją się, pomagają wstać.

— Alosza, jak to było z tymi mrówkami? Powiedz Alosza, powiedz.

— Z mrówkami... Ano było tak — lubi kiedy słuchają go. *— Wkopali my go — tego żandarma ma się rozumieć — prawie w mrowisko. Duże czerwone mrówki. Prał gębę na cały las, ale nic mu nie pomogło. Żarły go na gębie i całego też żarły. Najsampierw wykuły mu ślepia i wpieprzyły nos. Wlazły do łba i żarły mu środek. Ryczał jak jaka krowa. I te na śmierć go zeżarły. Do gołej czachy.*

— A mówiłeś, żeście go dobili.

— To nie tego. Innego my dobili.

— Eee, bujasz Alosza.

— Co, ja, że bujam?! Gnojki!

Twarz Aloszy staje się purpurowa. Z kącików ust płynie ślina. *— Wojna, wojna, zeżarły go!...*

— Alosza, śnieg był do pasa, a ty żyto kosiłeś — pokpiwają chłopcy. Uciekają na bezpieczną odległość.

Alosza ciska kamieniami.

Za rogiem ulicy jest uliczny zdrój. Tam Alosza pije wodę. Nadstawia złączone dłonie pod zimny strumień. Pije z dłoni. Woda kapie po brodzie, moczy brązową koszulę.

Jedzie samochód z kogutem. To wóz energetycznego pogotowia. Dla Aloszy każdy taki samochód, to „oni". Nie zdążył wytrzeć twarzy. Uskoczył w bok, na podwórze, na śmietnik, potem na dach komórki. Ucieczka. „Oni" są wszędzie. „Oni" chcą go zamknąć, uwięzić, torturować. Kiedyś „oni" zabrali go do samochodu z kogutem. Nie uskoczył, a może nie zauważył „ich". Boi się. Bo Alosza był w izbie wytrzeźwień. Zabrali go zwyczajnie, z ulicy. Myśleli, że pijak — taki brudny, zarośnięty. Ale Alosza nie pije. Alosza lubi śpiewać, lecz śpiewa ot tak sobie — nie po wódce. W izbie wykąpali Aloszę, ogolili, uczesali. Dali mu jeść. Nie jadł. Bał się, że chcą go otruć. Po raz pierwszy od wielu dni zasnął głodny. Rano chcieli, żeby zapłacił rachunek. Tylko że Alosza nie ma pieniędzy. Nie są mu potrzebne. Telefonowali do schroniska, do urzędów, ale nikt nie wiedział co z nim zrobić. Nikt go nie chciał. Poszedł sobie...

Wrócił do siebie. Do betonowego kręgu. Tutaj ma swój dom, swoje legowisko zrobione ze słomianych mat i strzępów styropianu. Tutaj śpi.

— Możesz zostać. Będziesz stać na warcie. Nie śpij! To rozkaz! Alosza rozkazuje stać na warcie!

Budzi się o świcie. Odrzuca wyleniałe maty. Idzie jeść.

— Trzeba jeść. Trzeba jeść, jeść. Przyjdzie mróz i wielki ogień. Nie będzie chleba, nie będzie. Zapomnicie smak chleba. Będziecie płakać za chlebem. Trzeba jeść, jeść...

OJCIEC I SYN

W dworcowym barze jest ruch i ludziom śpieszno i prawie nikt nie dostrzega tych dwóch postaci. Mogą uchodzić za statystycznych podróżnych — ciemne, z lekka wymięte ubrania, zmęczone oblicza, rekwizyt tu najistotniejszy: brązowa walizka jakich wiele.

W dworcowym barze nie siedzi się godzinami nad filiżanką kawy czy kieliszkiem koniaku. Nie czas i nie miejsce, by rejestrować detale. Ojciec i Syn muszą to wiedzieć. Tak, na pewno to wiedzą, bo tylko oni nie mają powodu by się śpieszyć, lecz mają powód żeby wtopić się w tło. Wtedy tylko nie ma ich, nie istnieją, nie drażnią.

Ojciec i Syn. Ojciec szpakowaty jegomość w rogowych okularach, szarym garniturze, flanelowej koszuli pod krawat. Syn: zamyślony pan w prochowcu. Walizka.

Są punktualni. Codziennie. Wchodzą w tej samej kolejności: Ojciec, za nim Syn. Mają swój stolik — trzeci od lewej. Tam siada Syn. Czeka aż Ojciec przyniesie jedzenie. Dziś będą ziemniaki, fasolka, buraczki. Ojciec zebrał cztery talerze. Na dwóch były nietknięte buraczki. Przełożył na jeden. Fasolki nie zjadło kapryśne dziecko. Przełożył. Jeszcze ziemniaki. Tutaj ktoś nie wypił kompotu, tam została oranżada — prawie pełna butelka. Nie, brudnych widelców nie weźmie. Przyniesie czyste — prosto z bufetu. I serwetki. Syn już je. Ojciec zgarnia na swój talerz: bigos, chleb, cynaderki. Sztućce z bufetu.

W lokalu decyduje Ojciec: co brać, skąd brać, po kim brać. Syn ma siedzieć i czekać. Nic więcej. Kiedyś było inaczej. Jadali w barze, parę kroków stąd. Dobry to bar: ruchliwy, gwarny. Działali na własną rękę, każdy sobie. Rok prawie jadali w tym barze. Ale pewnego dnia Syn popełnił błąd. Jakiś gość ledwie tknął danie, a już je odstawił. Tak przynajmniej sądził Syn. A danie było przednie — mięsne. Wziął. Atoli po chwili gość wrócił. Przyniósł sól, bo właśnie chciał... No i wybuchła awantura. Wyrzucono ich obu: Ojca i Syna. Było dużo krzyku, obelgi, szyderstwa. Już nigdy tam nie pójdą. Nigdy, przenigdy!

Kończą posiłek. Milczą. Butelki. Ojciec odnosi do baru żeby dostać zwrot kaucji. Wychodzą. Idą przez miasto zgodnym, równym krokiem. Idą do muzeum. Ojciec kupuje dwa bilety. Bileterka:

Znam tych dwóch. Ostatnio przychodzą tu codziennie — piąty czy szósty raz. Poznaję ich, bo ten starszy chowa pieniądze w bucie. Jak kupuje bilety, to zdejmuje buty i wytrząsa drobniaki. Oni tu oglądają wszystko po kolei — tak dokładnie, że nikt tak nie ogląda. Ale niczego nie mówią...

Po wyjściu z muzeum wracają na dworzec. Punktualnie zjawiają się w „swoim" barze. Jedzą. Potem, zależnie od pogody, idą na długi spacer albo do kina. Bileterka z kina:

Tych dwóch? Tak, przychodzą czasem. Po czym poznaję? Po tym bucie. W zeszłym tygodniu płacił takim zbuwiałym banknotem wyciągniętym z buta. Wstrętny!...

Wieczorem znowu idą na dworzec, ale nie do baru. Ojciec kupuje dwa kolejowe bilety — najtańsze, do najbliższej stacji. Taki bilet jest lepszy niż peronówka. Taki bilet to azyl, to gwarancja spokojnej nocy. Żaden dworcowy patrol nie wyprosi stąd człowieka z biletem. Trzeba mówić, że czekają na pociąg, że są zmęczeni podróżą i dlatego zasnęli. Sprawdzona metoda. No i ta walizka — jakże ona pomaga, jak rozwiewa wszelkie wątpliwości. Śpią więc jak podróżni. Śpią na ławkach, śpią snem spokojnym, bo azyl mają w kieszeni, a cały swój skarb głęboko na dnie buta.

W piątek rano myją się w parku przy fontannie. Zmieniają koszule. Brudną odzież chowają do walizki i niosą do pralni. Pani z pralni:

— Tych panów mam w spisie. Tylko że oni są jacyś tacy dziwni. No bo chyba mają tylko po dwie koszule i jeszcze takie zniszczone, poprzecierane, że aż wstyd. Pieniądze chowają w butach. Nie mam pojęcia co to za jedni...

W piątek, po obiedzie w dworcowym barze, wsiadają do niebieskiego autobusu. Wracają w poniedziałek. Zaraz też idą do „swojego" baru. Potem jest spacer, kino, bar...

Nikt nie wie, skąd przybyli, ani też od jak dawna tutaj są. Nikt ich nie zna. Nikomu się nie kłaniają.

ROMAN KUBIAK

Szanownej Dyrekcji, jak również i moim — dla dobra inwestycji..."? Pisał! I co? I nic! Odebrał cement z gminy, już już mrozy chwytały, no to zalał fundamenty dopiero na wiosnę następnego roku.

W ciężkich czasach zaczęli się Sobczakowie drugi raz budować, to i ciężko im szło. Jak cholera! Majster, co go już dawno zgodzili za sześćdziesiąt tysięcy zażądał nagle sto dziesięć. A jak nie, innego niech szukają. Wszystko podrożało, mówi, u państwa, to i u mnie teraz cena nowa. Znaleźli drugiego.

Cementu z pierwszego przydziału też na długo nie starczyło, a następny... Jak przyjdzie, to będzie. Przecież wam nie urodzę, Sobczak. Trzeba czekać.

Pieniądze za wykup raz dwa materiały zjadły, majstrowie i robotnicy wzięli do kieszeni, że jeszcze brakło, a resztę oszczędności musiał dołożyć. Tak książeczki wyczyścił, że ledwo parę groszy zostało. Usiadł więc znów do pisania i do banku podanie o kredyty złożył, no bo jak tu budować, kiedy nie ma już za co? Dom dopiero co widać z ziemi wyłazi, a gdzie budynki gospodarcze, gdzie studnia? Rzecz całą wyłożył. Tak, jak jest, po prawdzie. No, ale w banku kształcone teraz ludzie, to lepiej wiedzą co gospodarzom trzeba i mówią, że owszem, kredyt dać musowo, pomóc człowiekowi, tylko że umiaru u Sobczaka to żadnego nie ma. Najpierw niech dom wykończy, i na to mu teraz dają, a dopiero potem — za resztę się bierze. Albo jak chce, może na oborę. Ale żeby naraz?...

I tak ze wszystkim. Proś, pisz podania, błagaj, mało w rękę nie całuj, jak niewolnik jakiś, albo i co gorszego, że już i żyć się odechciewa. A o swoje się upomnij, to ci jeszcze na złość zrobią, bo mówią, na skargę jeździ do instancji, jakby się na miejscu nie szło jakoś dogadać; trudny jest konfliktowy. To przecież krew nagła może zalać na takie porządki. Dno. Po prostu — dno!

• • •

Gotuje Sobczakowa kluski na obiad, ale co sobie pomyśli, wszystko jej z rąk leci. Drugi już dzień siedzą o świeczce, bo z budowy światło odłączyli. Nie pierwszy raz zresztą i pewno nie ostatni. Mąż szycie rzucił, tylko po urzędach jeździ i załatwia. Motor już zajeździł. Na nowy nie mają. Nawet rower tylko aby się trzyma, a do pekaesu — nie to, co dawniej — bite trzy kilometry. Tak samo i do sklepu, choć mieli za domem. Dobrze przynajmniej, że wozak, co po mleko przyjeżdża, codziennie bochenek chleba przywiezie. I tak, że mu się chce, bo do Sobczaków to już żadnej drogi. Tyle tylko co spych przejazd zrobił i to też musieli jeszcze poprosić. A woda tam — powyżej kostek, a glina jaka...

Płacze Sobczakowa nad tymi kluskami, bo życie już jej zbrzydło. Tu, na starym, wszystko się wali, psuje, mieszkają jak nędzarze, a nowy dom jeszcze het, w polu. Kredytu nie chcą dać, ile potrzeba, budynki gospodarcze nie zaczęte, nawet studni nie ma.

No bo weźmy tylko taką studnię. Za starą (a jaka ona stara, jak z pięćdziesiątego szóstego?) dali przy wykupie słownie pięć tysięcy. Nową kopać — ponad sto. I to jest sprawiedliwe? W życiu! Oszustwo, zwykłe oszustwo!

A nie dosyć na tym, że sami oszukują, to jeszcze ludzi uczą. Bo tak: dadzą ten kredyt, dobrze, ale z kredytu majstrowi tylko dwa tysiące dać wolno. I ani grosza więcej. A kto za taką dniówkę przyjdzie dziś pracować? Sami by chyba za tyle nie kopali. No to jak się kwitu nie sfałszuje, można sobie tym kredytem... I tak dalej. To jak ma być dobrze? Komu — co uczciwie pracuje?

A najbardziej Sobczaków boli to pismo, co im w sierpniu przysłali: *„Okręgowa Dyrekcja Gospodarki Wodnej w Poznaniu powiadamia Obywatela o konieczności opuszczenia zajmowanych obecnie zabudowań, które stanowią własność Skarbu Państwa. Konieczność ta wynika z potrzeby dokończenia robót w tym rejonie przed spiętrzeniem zbiornika. Okręgowa Dyrekcja prosi obywatela o opuszczenie zabudowań najpóźniej do końca października 1984 r. Po tym terminie Okręgowa Dyrekcja podejmie działania zmierzające do przeniesienia Obywatela w miejsce wskazane przez naczelnika gminy w Pęczniewie".* I komentarz do tego, że wyrzucą gorzej niż Świątaszczyka.

To już naprawdę trudno nawet nazwać. Traktują człowieka jak psa. Wyrzucają z domu na zimę. A wiedzą, że nie ma dokąd iść — z dobytkiem, z inwentarzem. Wiedzą, o wszystkim dobrze wiedzą!

Wykupili za czterysta sześćdziesiąt tysięcy. Zapłacili dopiero w osiemdziesiątym roku, bo wtedy im się nie spieszyło. Dopiero teraz — na łeb, na szyję. Kosztorys nowego domu też widzieli — trzy miliony sześćset. Tak wszystko podrożało. Dlaczego im nie wyrównają? Dlaczego nie pomogli jak był czas? Dlaczego teraz grożą?!

Do kogo już Sobczak nie pisał o swej krzywdzie? Do dyrekcji, naczelnika, pierwszego sekretarza, wojewody, nawet do ministra od ochrony środowiska. I nic — cisza. To teraz pozostało mu już chyba tylko do Jaruzelskiego. No, ale jak premier miałby osobiście interweniować w sprawach Sobczaków, to kto będzie rządził krajem?

• • •

Wieś Księża Wólka. Gmina Pęczniew. Województwo sieradzkie. To tu buduje się ten Sobczak z Siedlątkowa, co go siłą spod zapory chcą wyrzucić. Buduje się już czwarty rok i wybudować nie może. A dom nawet ładny, tylko jeszcze surowy. Aby ściany, dach i okna. Ani podłóg nie ma, to i mieszkać jeszcze nie idzie. Ale tam już mieszka jeden. Rybarczyk mu. Zbigniew. Też rodak z Siedlątkowa. Samotny.

Kiedyś mieszkał w mieście Łodzi, ale już z osiem lat, jak wrócił na ojcowiznę. Rodzice i dziadki w tym czasie mu pomarli, jedne zaraz po drugich, że i najgorszemu wrogowi nie życzyć, a chałupę po nich — budowa wykupiła. Tylko co z tego ma Rybarczyk Zbigniew, jak cała forsa leży gdzieś w depozycie, bo on aktu własności na ziemię i dom nie posiadał? Procesuje się teraz o te pieniądze. Ale czy wygra? Trudna sprawa. Mówi, że nie stać go na dobrego adwokata, bo tyle prawie ma, co na sobie i ten hektar gruntu, który obrabia. Bezdomny był, to go Sobczakowie przygarnęli i teraz u nich w piwnicy na nowym mieszka — bez wody, światła, ogrzewania, podłogi. Ściany sobie tylko pobielił. Twardy jest, to mówi, że zimę przetrzyma. Też myśli się kiedyś budować, ale skromnie, więc każdy grosz odkłada, a na razie trzyma z Sobczakami, bo tak jak oni, pewnego dnia znalazł się na dnie.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

DARIUSZ OSIŃSKI

Perspektywa

1. Spotkanie za miastem

Szarego nużył wielkomiejski zgiełk, dlatego z Klawiakiem poszli na peryferie. Tu mogli się znaleźć na moment jakby w innym świecie, zielonym, by potem znów wrócić do własnych spraw, do pracy.

Klawiak nagle powiedział zdziwiony:

— Patrz kto idzie...

— Czy mnie oko nie myli — zawołał Szary. — Nasz mistrz od pędzla i palety!

Podszedł do nich człowiek w staromodnym, wyszarzałym płaszczu w jodełkę. Broda błyszczała mu rudawym, ostrym zarostem.

— Co wy tu robicie? — spytał, po czym ponuro mruknął: — Z pracy wracam.

— Tędy z pracy? — zdziwił się Klawiak.

— Mniejsza o to — odezwał się Szary i zagadnął: — Malujesz jeszcze?

— Pewnie. Bez tego by mi czegoś brakowało. Ostatnio dla odprężenia maluję strumienie i drogi leśne. Ach, co za perspektywa, jakie światłocienie... Mówię wam.

Szary popatrzył na niego z zadowoleniem. A Klawiak udawał tylko, że słucha.

— Powiedzcie — odezwał się niespodziewanie — czy mało to malarzy nie chodziło do szkół? A i tak byli słynni. Więc co decyduje o sławie, talent czy szkoła?

Klawiak zdumiał się, aż rozdziawił usta.

— Wygląda na to, że talent — mruknął Szary.

— No widzicie, sami widzicie — ucieszył się.

Zapanowała cisza.

— Przypominacie sobie, jak zdawałem do plastycznej? — podjął znów. — W rysunku mi się nie powiodło, to fakt, bo byłem podenerwowany, ale za to akwarela mi wyszła, aż wszyscy się dziwili. I przyszedł ten czarny dzień, w którym się dowiedziałem, że mnie odrzucili. Mimo to profesor od malarstwa gorąco zachęcał, żebym na następny rok zdawał. Nie posłuchałem go; największy błąd mego życia!

Pokiwali głowami. Znów zapadła cisza.

Klawiak nie wytrzymał. Już chciał Szaremu powiedzieć, że przecież tamten przez rysunek nie zdał, ale powstrzymał się.

— Pójdziecie ze mną do kuzyna? — zaproponował malarz. — Wypijemy coś.

Szary się zawahał.

— Takie spotkanie! Po piętnastu latach! — zachęcał malarz.

2. Wizyta u kuzyna.

W drewnianym domu, sczerniałym od deszczów mieszkał kuzyn. W mig zorganizował dwie butelki z czerwoną kartką.

— Wy nie pamiętacie przecież — wspominał malarz — jak poznałem „swoją przyszłą". Starsza ode mnie, to fakt. A było to w tym czarnym dla mnie roku, kiedy nie zdałem. Ty Klawiak, byłeś wtedy w kleszczach u wuja. Cały dzień siedziałeś u niego w sklepie, żeby praktykować na złotnika. A ty, Szary, rżnąłeś deski w tartaku u ojca. I tak straciliśmy kontakt. A „moja przyszła" od razu zaczęła mnie ustawiać — wszystko planować. Ale z roku na rok nie opuszczała mnie nadzieja, że będę znów zdawał, aż wpadłem w szczęście zwane małżeństwem — i wszystko się skończyło! Niech to cholera! — niespodziewanie wyrżnął pięścią w stół.

Klawiak z Szarym wybałuszyli na niego oczy, a kuzyn się uśmiechnął.

— My tu gadu, gadu, panowie, a wódka stygnie — powiedział.

Pospiesznie rozlał wódkę do szklanek.

— Jak widzicie, żona wyszła, więc możemy... — i zatarł ręce. — A za szafą mam jeszcze dwie butelki.

— To wszystko, co człowiek robi, nic nie jest warte... — malarz wrócił do wspomnień.

Szary i Klawiak popatrzyli na niego i czekali na ciąg dalszy.

— Pomyślcie o jakiejś pracy dla mnie — niespodziewanie zawołał malarz — ty Klawiak, albo ty Szary! Naprawdę pomyślcie! — I wodził po ich twarzach uważnymi, brązowymi oczami.

— Pomyślimy — odpowiedział Klawiak z godnością.

Wtedy on:

— Nie mogę sobie darować dnia, w którym pierwszy raz się spiłem. To było nazajutrz po egzaminie, którego nie zdałem... — głowa zsuwała mu się coraz niżej, ale opanował się, podniósł ją i wyrzucił z siebie: — Ale nie było innej rady...

Napotkał przyjazny wzrok Szarego.

— Tu u nas teraz nie ma tej soczystej trawy — zmienił nagle temat. — Ale na wiosnę... Nie masz pojęcia, jaki od niej blask bije, jaki kolor w słońcu, żebyś widział...

Zamilkł.

— Mnie to już czasami powietrza brakuje... — próbował jeszcze wrócić do swoich żali.

Ale nagle się zbuntował. Wypiął klatkę piersiową, aż zdawało się, że się rozedmie. Zrobił się na twarzy czerwony i zaczął bić się w piersi, aż szło echo.

— No, kto ma taką klatę? — patrzył na każdego z osobna. — No, mierzymy klatki, kto ma większą?

Wziął ceratowy centymetr od kuzyna, uniósł koszulę i szybko przyłożył centymetr: — Sto czterdzieści jeden.

Następny mierzył kuzyn. Kiedy podciągnął koszulę, ukazało się bardzo dużo żeber.

— Tylko nie oszukuj!

Wyszło siedemdziesiąt centymetrów.

Klawiak i Szary zrezygnowali.

— Nie chcieli mierzyć, bo by przegrali — ucieszył się malarz.

— Zakąsimy — kuzyn zapraszającym gestem wskazał na stół.

Wzięli po ogórku, a gospodarz ujął w dwa palce chleb ze szprotką. Potem podniósł się, poruszając się dość niezgrabnie ze względu na swój wzrost, zbliżył do drzwi. Palcem wskazał w górę.

— Mam dla wszystkich niespodziankę — oznajmił.

— Idziemy do gołębnika — malarz zarechotał z zadowoleniem.

Po wąskich i zdartych schodach wolno weszli na strych.

— Wcale gruchania nie słychać — zauważył Klawiak.

Kuzyn uśmiechnął się wyrozumiale.

— Co ty, przecież śpią o tej porze — burknął malarz.

W nikłym świetle latarki goście zobaczyli drabinę, powiązaną partacko zardzewiałymi drutami z jakąś inną, tak że sięgała dachu. Wydostali się przez klapę na dach i poczuli ostry, zimny powiew. W przysadzistej klatce za siatką, rysowały się w ciemności sylwetki gołębi. W górze ostro pobłyskiwały gwiazdy.

— Panowie, tylko nie za głośno — ostrzegał gospodarz.

— Trzeba je rozruszać, bo tak to martwa natura — klaszcząc w dłonie wołał malarz: — Pocztowe! Winery! Same okazy!

— Co ty? — próbował uciszyć go gospodarz.

— Schodzimy z tego czarnego tarasu — rzekł uspokajająco Szary.

W izbie entuzjazm nie opuszczał malarza:

— Ale ma okazy, co?

— Pewnie — przytaknął Klawiak.

Przez głowę kuzyna przemknęła jakaś myśl. Szybkim spojrzeniem omiótł szklanki po wódce, spodek po szprotach, trzy kawałki chleba, które zdążyły się już zeschnąć. Zaczął się wiercić na stołku. W końcu się zdecydował:

— Panowie, wpadliśmy w godziny nadliczbowe!...

— Co ty powiesz... — zaskoczyło to malarza.

Szary z Klawiakiem podnieśli się.

Noc była czarna i zimna. Wiatr potrząsał starą furtką. Szary, jakby zniecierpliwiony, popatrzył na drewniany dom, z którego wyszli i rzekł:

— Malarz został.

— Został, to został — mruknął Klawiak i dodał z sarkazmem. — Trzeba uważać, bo jeszcze błyśnie. Taki talent.

— Co my możemy przewidzieć — powiedział Szary. — W malarstwie nigdy nic nie wiadomo.

3. Malarz szuka pracy.

Po kilku dniach Szary zdecydował się odwiedzić malarza.

— Dobrze, że przyszedłeś — ucieszył się tamten i dalej froterował podłogę.

— Nie spodziewałem się, zupełnie się nie spodziewałem.

Szarego ucieszyło serdeczne powitanie.

— Przyszedłem ci pomóc, bo potrzebujesz pracy.

— A to dobrze, to dobrze. Tylko jeszcze chwilę, bo mi się zupa przypali — i pobiegł za zasłonę.

Przez chwilę mieszał w garnku.

— Moja, rozumiesz, odpracowuje dodatkowe godziny...

W końcu wyszedł zza zasłony. Obfity, kroplisty pot świecił się mu na czole.

— Niech diabli wezmą te gary!

— Masz rację, niech diabli... — powtórzył Szary.

Przysunął sobie krzesło i podał gościowi.

— No to co byś miał dla mnie?

— Mam dla ciebie miejsce magazyniera opakowań w warzywnictwie.

— W warzywnictwie? A ile tam płacą?

— Coś koło dziesięciu.

— Mało.

— Jak to, mało?

— Mało — powtórzył malarz.

— Lepiej coś robić, jak tak w ogóle... Na początek powinno jakoś... — próbował Szary.

— A pięcioro dzieci, to myślisz, nie kosztuje?

— A gdzie one są?

— Gdzie mają być, w przedszkolu i szkole. Zobaczę może Klawiak ma coś lepszego...

— Jak chcesz — Szary podniósł się i pożegnał.

Następnego dnia portier dwa razy fatygował się po Klawiaka oznajmiając, że z pilnym interesem czeka malarz. Ale Klawiak za każdym razem mówił, że jest zajęty. W końcu pomyślał rozgoryczony, że Klawiak wyraźnie się wymyka. Ale to nic — pocieszał się — jeszcze trochę poczekam. Portier widząc jego rozdrażnienie powiedział:

— Przejdź się pan na jakie piwo, albo co, bo pan Klawiak dopiero wychodzi o trzeciej.

Nie ruszał się z portierni. Gdy zbliżyła się trzecia, nagle wstał i zaczął niecierpliwymi krokami spacerować.

Wreszcie nadszedł Klawiak.

— No co, co?... — przywitał go chłodno. — Dziś nie mam czasu, przyjdź, kochany, za tydzień.

Szybko wyszedł z portierni i zniknął wśród tłumu robotników.

— A niech to piorun!

Stanął przez chwilę przed portiernią zrezygnowany. W końcu, zezłoszczony, zdarł czapkę z głowy i z całej siły rzucił nią o żwirowaną powierzchnię drogi. Gdy ochłonął pośpiesznie popatrzył na boki, czy mu się kto nie przygląda i podniósł ją z ziemi. Portier tak się tym zainteresował, że aż wyszedł przed bramę. Niestety, zapomniał okularów.

Kiedy dokładnie za tydzień stawił się w zakładzie u Klawiaka, portier badawczo popatrzył na niego znad okularów i rzekł:

— Już następnego dnia pan Klawiak wyjechał i kazał powiedzieć, jak pan przyjdzie...

— Że co?

— Że go przez dwa kwartały nie będzie.

Wzruszył ramionami i wyszedł nie powiedziawszy do widzenia.

Długo nie mógł zasnąć i zwierzył się żonie:

— Kolega, niby figura, a taki... — i więcej nic nie powiedział, żeby nie budzić dzieci.

A ona pomyślała: Znów coś koloryzuje — i przewróciła się na drugi bok.

Gdy Szary otworzył drzwi, malarz zaczął starannie wycierać w słomiankę obuwie i powiedział:

— Przyszedłem.

— Właśnie widzę — powiedział Szary.

Wszedł do pokoju i usiadł. Na stole położył czapkę.

— Co dobrego? — spytał Szary.

Nic nie odpowiedział.

— Bez zmian? — zauważył od niechcenia Szary.

— Nic z tej pracy, którą Klawiak mi obiecał.

— To co?

— Wezmę, co jest — rzucił czym prędzej, jakby się bał.

— Poczekaj — rzekł Szary i podszedł do telefonu.

— Słuchaj — zaczął rozmowę — nie wakuje u was etat?

— Wakuje — powiedział do malarza, wysłuchawszy przedtem odpowiedzi. — W dziale dystrybucji.

Malarz odetchnął z ulgą.

Nie upłynęło jednak wiele czasu, gdy kolega z ogrodnictwa doniósł Szaremu, że malarzowi nie odpowiadała praca.

Klawiak powrócił i gdy spotkał się znów z Szarym, zaproponował:

— Co? Jedziemy za miasto?

— Możemy — podchwycił skwapliwie Szary.

Kiedy już dochodzili do przystanku, Klawiak powiedział:

— Ale nie w tę stronę.

— Dlaczego? — zdziwił się Szary.

— Bo w tym kierunku możemy znów spotkać malarza.

Wolno przeszli na drugą stronę. ■

Z półki recenzenta

RZECZ O JANIE PARANDOWSKIM

Nieczęsto się zdarza, by sylwetka pisarza we wspomnieniach jego żony pozostała nieskażona uwielbieniem, krytycyzmem lub nienawiścią. Czytając „Dzień Jana" pióra Ireny Parandowskiej widzimy autora „Alchemii słowa" jako człowieka zwyczajnego, przepełnionego pracą, przyzwyczajeniami, upodobaniami, drobnymi słabostkami. Nie ma tu Jana Parandowskiego w aureoli wielkości, wyniesionego nad innych. Nie jest to także kalendarium jego życia literackiego, jest natomiast sugestywny opis dnia codziennego nieprzeciętnego przecież człowieka i tych wszystkich imponderabiliów, które tak doskonale uzupełniają portret każdego twórcy.

Irena Parandowska: Dzień Jana. Iskry 1984 r. Str. 204. Cena 120 zł.

CUDZOZIEMKA

W serii „Koliber" ukazało się kolejne wydanie jednej z głośniejszych książek Marii Kuncewiczowej pt. „Cudzoziemka". Ta, wydana w 1936 r., powieść wytrzymała próbę czasu, choć sprawy w niej opisane jakby nieco zwietrzały, przesunęły się w przeszłość. Nie straciły na aktualności natomiast celność i mistrzostwo w opisie ludzkich charakterów, psychiki i motywów postępowania. Maria Kuncewiczowa jest pisarką wybitną, a jej książki należą do lektury pasjonującej wzbudzając zaciekawienie czytelników zarówno pięknem języka, jak i mądrością zawartą na ich kartach.

Maria Kuncewiczowa: Cudzoziemka. KiW 1984, Str. 334. Cena 80 zł.

TRYPTYK WARSZAWSKI

„Każdego mieszkańca należy zabić. Nie wolno brać żadnych jeńców Warszawa ma być zrównana z ziemią i w ten sposób ma być stworzony zastraszający przykład dla całej Europy" — taki rozkaz otrzymały od Hitlera oddziały wysłane przez Himmlera w celu zdławienia Powstania Warszawskiego.

Rozkaz wykonano. Miasto obrócono w gruzy, ćwierć miliona oddało życie, milion wypędzono. I o tych ostatnich opowiada tryptyk Edwarda Kołodziejczyka. Jest tu opis wypędzenia z płonącego miasta, pobyt w przerażającym Dulagu 121, relacja z niewiarygodnej tułaczki. A jednocześnie jest to opowieść o woli przetrwania, o nie gasnącej nadziei na powrót, o wierze w zwycięstwo.

Edward Kołodziejczyk: Tryptyk warszawski. MON 1984. Str. 274. Cena 130 zł.

POWSTANIE WARSZAWSKIE

Na tę książkę polski czytelnik czekał trzynaście lat. Wydana po raz pierwszy w 1971 r. w Londynie wzbudziła tyleż pochwał co kontrowersji. Mówię o „Powstaniu Warszawskim" Jana M. Ciechanowskiego, który z bezstronnością historyka spojrzał na kolejny polski zryw zbrojny. Jest to jednocześnie książka analizująca motywy owej tragicznej w skutkach decyzji, w wyniku której Warszawa została zrównana z ziemią, a ludność cywilna przeszła swoistą drogę krzyżową.

„Powstanie Warszawskie" Jana M. Ciechanowskiego jest publikacją niezwykle ważną, rzetelnie opracowaną, opartą na nieznanych w kraju dokumentach, popartą relacjami tych, którzy stali na czele powstania lub byli jego inspiratorami.

Jan M. Ciechanowski: Powstanie Warszawskie. PIW 1984. S. 534. Cena 500 zł.

„PAMIĘTNIK" BRONIEWSKIEGO

No i mamy kolejny bestseller! Ta książka na czarnym rynku osiągnęła już zawrotną cenę 1.500 zł!

Czas zamknięty w pamiętniku, to lata 1918—1922. Władysław Broniewski, późniejszy znakomity poeta, początkowo usiłuje studiować na uniwersytecie, wkrótce jednak trafia do wojska i walczy na froncie w czasie wojny polsko-radzieckiej, a po jej zakończeniu wraca na przerwane studia i do aktywnego udziału w życiu społeczno-politycznym.

„Pamiętnik" jest zapisem owego gorącego, niespokojnego okresu, w czasie którego zaczyna się kształtować świadomość polityczna autora przyszłej „Komuny paryskiej". Należy wszakże żałować, że są to „rozszerzone zapisy" istniejącego „Pamiętnika", a nie jego całość, która pozostaje w posiadaniu żony poety.

Walor książki podnoszą rzadkie fotografie z owych czasów.

Władysław Broniewski: Pamiętnik 1918—1922. PIW 1984. Str. 352. Cena 200 zł.

PAN FREDRO

Postać autora „Zemsty" ciągle ukrywa się w cieniu niedomówień. Nadal egzystuje w ustnych przekazach legenda starego Fredry, co to w „książkach grzebie, a mu młodzież żonę..." itp. Egzystuje też Fredro swawolnik piszący pieprzne i nieprzyzwoite wierszowane poematy.

Jakim był naprawdę?

Odpowiada na to pytanie — może nie całkowicie wyczerpująco — książka Wojciecha Natansona „Sekrety Fredrowskie". Jest to dość obszerne curriculum vitae autora „Pana Jowialskiego", ale bez tych wszystkich „grzesznych" figlików tworzących legendę. Całość została bogato uzupełniona sporą porcją ilustracji.

Wojciech Natanson: Sekrety Fredrowskie. LSW 1984. Str. 182. Cena 150 zł.

Wirydarz poetycki

Dorota Sobierajska

Pokój spokoju

cichnie blask lampy
zasłonka wzdyma się
tylko od niechcenia
fusy na dnie szklanki
milczą napuchnięte ciszą
tylko czasem słyszysz
krzyk za oknem
wrzask przeciwległych kamienic
którego nie możesz wymazać z pamięci

☆ ★ ☆

miasto w którym nie możesz zrobić nic
pięknego
bo wszystkie kwiaty więdną pod spojrzeniem
ludzi
a głowa na ramieniu czyimś tyle znaczy
co złapanie faceta na noc albo dłużej
wchodzisz w stukot ulicy dołączając własny
do stuku długich szpilek i innych obcasów
i musisz grać w orkiestrze choćby ci melodia
była obca i głucha i płynąć w strumieniu
miasta z którym cię łączy cały mrok pogardy
i kawiarnie czekają na pożarcie gestów
by każdy uśmiech zmienić w wyrafinowany
grymas każde skinienie odczytać dwuznacznie
miasto w którym nie możesz być ładną
dziewczyną
z cichym czułym uśmiechem i się właśnie
stajesz
tą za którą od dawna mają cię już wszyscy
miasto w którym nie możesz zrobić nic pięknego
a przecież łączy
chociaż inaczej.
zdziwiona tym, co się stało,
odgaduję,
że taki musiał być początek świata.

Irena Galicka

Początek świata

Jak po długim płaczu
leżę bez tchu
przyciskając palcami strzęp serca,
który jeszcze trochę krwawi.
w zasięgu ręki
rozrzucone ozdoby,
zwiędłe kwiaty
paciorki,
pierścionek, z którego wypadło oczko.
Niepotrzebna aureola
potoczyła się jak obręcz,
którą zgubiła odjeżdżająca kareta.
Obojętna już na jego głos,
na spojrzenie, dotknięcie ręki,
zamknięta —
jakby poczęcie odgradzało mnie od niego,

Czas przeszły dokonany

Chciałabym
iść tą drogą
wysypaną żużlem,
gdzie rosną stare drzewa
o czarnych popękanych pniach,
przejść przez mostek
z wypróchniałą poręczą
na wydeptaną dróżkę,
stanąć przed domem,
którego czerwony dach spłowiał,
a drzwi pękły nad klamką
naciskaną tysiące razy
przez tysiące rąk
tych, którzy tu przychodzili i odchodzili,
wejść do domu,
usiąść przy stole,
czekać, aż przyjdzie matka
i poda kolację —
chciałabym zapomnieć,
że nigdzie już nie ma
ani tej drogi, ani domu, ani matki.

Anna Świrszczyńska

Ostatnie lata miłośników literatury nie rozpieszczają. Odchodzą artyści, którym sztuka polska XX wieku zawdzięcza swe podstawowe kanony. 30 września 1984 roku zmarła jedna z największych poetek polskich, Anna Świrszczyńska.

W czasach zdecydowanie nie sprzyjających recepcji poezji, Świrszczyńska potrafiła zjednać sobie zadeklarowanych wielbicieli i entuzjastów. Nie zamykała się w wieży z kości słoniowej, nie wymagała od swych czytelników szczególnej wiedzy filologicznej czy historiozoficznej, nie utrudniała poprzez stosowanie skomplikowanych figur stylistycznych odbioru swych utworów.

Jak chyba nikt już dzisiaj, wierzyła w siłę sprawczą i moc poezji. Pamiętam, jak na którymś z Łódzkich Festiwali Poezji przedstawiła swoją wizję upowszechniania współczesnej sztuki. Marzyło się Pani Annie, iżby co celniejsze strofy dzisiejszych poetów udostępniać ogółowi poprzez drukowanie ich na papeteriach, kartkach pocztowych, eleganckich bibułkach do pakowania. Ten pomysł, jak pokazują dzieje kultury, nie był specjalnie odkrywczy. Już przecież futuryści usiłowali zapoznawać masy ze swymi odkryciami poprzez przyklejanie wierszy np. do ciężarówek. Ani futurystom się nie powiodło, ani Świrszczyńskiej. Okazało się, iż, jeśli chodzi o politykę kulturalną, trudno być prorokiem we własnym kraju. Zaproponowane przez Poetkę szerokie rozreklamowanie twórczości współczesnej nie było możliwe z powodu braku papieru, mocy przerobowych (były to „syte" lata siedemdziesiąte) i, naturalnie, z powodu braku dobrych chęci u ludzi za kulturę odpowiedzialnych.

Wypowiedź Świrszczyńskiej stosowne czynniki potrakowały jako dziwaczenie starszej pani, choć już wówczas było wiadomo, że mająca „fumy" Pani Anna zrobiła dla poezji polskiej równie wiele, co jej znakomite poprzedniczki: Zawistowska, Ostrowska, Wolska, Iłłakowiczówna, Pawlikowska, Obertyńska.

Czytelników i krytyków twórczość Świrszczyńskiej fascynowała już od 1936 r., kiedy to zadebiutowała tomem *„Wiersze i proza"*. Po wojnie największą popularność przyniósł jej zbiór *„Jestem baba"* (Kraków 1972). Książka ta stanowiła propozycję rozbijającą dotychczasowy model „poezji kobiecej". Świrszczyńska wykreowała nowy model bohaterki lirycznej — świadomej swego zdeterminowania przez biologię i na dodatek, jako, że czasy wcale nie są po temu, zupełnie nie będącej grande dame.

Propozycja Poetki, ów stworzony przez nią model „szarej kobiety" spodobał się odbiorcom tak bardzo, iż jej książka, co tomikom poetyckim zdarza się nader rzadko, doczekała się kilku wznowień.

Z Panią Anną nie łączyła mnie osobista przyjaźń, taka choćby jak z przedwcześnie zmarłym wybitnym poetą, Bogdanem Ostromęckim, towarzyszem wielorocznych bukowińskich wakacji, podczas których górkami i dolinami wędrowało się szlakami Wielkich Zmarłych i grywało w brydża z całkiem taką samą u objga indolencją.

Nie łączyła mnie z Panią Anną ani przyjaźń, ani zażyłość, lubiłyśmy się jednak bardzo. Poetka po wielekroć dawała mi dowody swej życzliwości. Oto jeden z przykładów. Ja — nieomal debiutantka i Ona, autorka sławnej „Baby" mamy wspólne spotkanie autorskie. Sala nabita, głowa przy głowie. A ja mam naturalnie całkowitą (i słuszną) pewność, że zgromadzono się tutaj wcale nie po to, aby wysłuchiwać mnie. Pani Anna przygotowywała właśnie do druku głośny tom *„Budowałam barykadę"*, obok więc „starych" czytała i teksty nowe. Słuchacze byli oczarowani. Poetka, zdając sobie sprawę, iż siedząc tak cichutko w kąciku przeżywam srogie katusze, zręcznie i taktownie zwróciła uwagę swych wielbicieli i na mnie. Zrobiła to tak dyskretnie, że dopiero po latach zrozumiałam, iż powodzenie, jakie i mnie przypadło w udziale, zawdzięczałam Wielkiej Poetce, będącej jednocześnie dobrą i wrażliwą kobietą.

Wraz ze śmiercią Świrszczyńskiej bolesną stratę ponieśli nie tylko dorośli czytelnicy. Była bowiem także interesującą autorką wierszy, bajek, piosenek dla dzieci. Moja córka i moi bratankowie z satysfakcją i dużą radością śpiewają o tajemniczych i śmiesznych różowych słoniach, co to mają kokardki na ogonach. Fascynując dojrzałych odbiorców, potrafiła oczarować i dzieci. To się udaje tylko największym.

DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

A jeśli do kina, to na co?

„WIĘZIEŃ BRUBAKER"

prod. amerykańska
Reżyseria — Stuart Rosenberg
W roli głównej — Robert Redford

„Więzień Brubaker" należy do tzw. nurtu filmów rozrachunkowych. Tym razem tematem filmu Rosenberga jest system więziennictwa w Stanach Zjednoczonych w najgorszym wydaniu. W jednym z więzień stosuje się okrutne metody resocjalizacji (bicie i znęcanie się nad osadzonymi więźniami należy do porządku dziennego).

Do tego właśnie więzienia dostaje się w charakterze więźnia niejaki Brubaker. Bacznie obserwuje metody traktowania więźniów. Okazuje się on być nowym naczelnikiem więzienia. Zaczyna stopniowo wprowadzać reformy mające za zadanie poprawić los skazańców. Swoim postępowaniem naraża się Brubaker radzie nadzorczej więzienia, której niektórzy członkowie czerpali korzyści materialne, wykorzystując więźniów do prac fizycznych, bądź biorąc łapówki za zlecenie robót na terenie więzienia. Rozpoczyna się walka Brubakera o kontynuowanie linii reform.

„Więzień Brubaker" charakteryzuje się dużą dozą brutalnych scen, szczególnie w pierwszej partii filmu. Doskonale Rosenberg oddaje atmosferę i stosunki panujące na terenie więzienia, swoisty kodeks zachowań zbiorowości mężczyzn skazanych na wieloletnie przebywanie w zakładzie karnym, którzy poddani nieustannej „obróbce" pomału zaczynają upodabniać się do zaszczutych zwierząt. Dopiero pojawienie się Brubakera wyzwala w notorycznych przestępcach ludzkie odruchy.

Z dwóch filmów, aktualnie goszczących na ekranach, o tematyce więziennej, czyli „Ucieczki z Alcatraz" i „Brubakera" zdecydowanie poleciłbym ten drugi.

„BŁĘKITNY GROM"

prod. amerykańska.
Reż.: John Badham
W rolach głównych: Roy Scheider, Waren Oates, Malcolm McDowell.

Temat inwigilacji na wielką skalę nie jest niczym nowym w kinie amerykańskim, a on właśnie stanowi treść filmu Badhama. Nie tak dawno nasza TV zaprezentowała nam „Rozmowę" F.F. Coppoli, która także traktowała o metodach inwigilacji.

Nowum „Błękitnego Gromu" polega na tym, że tym razem mamy do czynienia z supernowoczesnym helikopterem, na którego pokładzie znajduje się cały arsenał środków służących do szpiegowania. Helikopter o nazwie Błękitny Grom ma stać się narzędziem w ręku kliki policyjno-wojskowej, chcącej roztoczyć swoistą „opiekę" nad współobywatelami. W tym celu wyprodukowano właśnie tak nowoczesny helikopter.

„Błękitny Grom" przypomina swoją konstrukcją nieomal klasyczny western z podziałem na czarny i biały charakter. Zgodnie z prawidłami westernu mamy w „Gromie" do czynienia z samotnym bohaterem, walczącym w obronie prawa i ładu, z tą tylko różnicą, że z raczego rumaka przesiadł się on na superszybki i nowoczesny helikopter. Postać policjanta Franka Murphiego odtwarza jak zwykle silny i niezmiernie męski Roy Scheider.

Do niezmiernie atrakcyjnych wizualnie scen w filmie należy pojedynek pomiędzy dowodzącym Gromem Frankiem a płk. Cochranem. Jak zwykle w tego typu sytuacjach dobro zatriumfuje.

Sprawnie zawiązana intryga, dynamiczna fabuła i bardzo dobre zdjęcia lotnicze zapewniają niewątpliwie temu sensacyjnemu filmowi wysoką frekwencję.

„KATASTROFA W GIBRALTARZE"

prod. polska
Reż.: Bohdan Poręba
W rolach głównych: Jerzy Molga, Arkadiusz Bazak, Emil Karewicz i inni.

Kolejny już raz Bohdan Poręba sięga w swojej twórczości do przełomowych momentów polskiej historii. Uprzednio czynił to chociażby w „Hubalu" rekonstruującym losy pierwszego partyzanta na terenie Polski w czasie drugiej wojny światowej — majora Henryka Dobrzańskiego (pseudonim Hubal) czy w „Polonii Restituta" przedstawiającej rodzenie się polskiej państwowości w 1918 roku, po ponad stuletnim okresie rozbiorów.

„Katastrofa w Gibraltarze" podobnie jak „Polonia" powstała w oparciu o scenariusz profesora Włodzimierza T. Kowalskiego. Poprzedni film tej pary, jakim była właśnie „Polonia" okazał się być fiaskiem przede wszystkim finansowym. Nie należy raczej sądzić, aby także „Katastrofa" przyciągnęła duże ilości widzów do kin. Raczej będzie to film dla generacji widzów pamiętających okres wojny z autopsji lub dla znawców epoki, ewentualnie dla młodzieży szkolnej, dla której będzie stanowił ilustrację strasznie zresztą skomplikowaną do podręcznika historii.

„Katastrofa" reprezentuje typ filmu opartego na rekonstrukcji wydarzeń historycznych, a więc nie jest fikcją historyczną, tylko wiernym potraktowaniem epoki w oparciu o materiały historyczne, wygrzebane najprawdopodobniej głównie z archiwów zagranicznych.

Tematem „Katastrofy" są losy generała Władysława Sikorskiego od momentu wybuchu II wojny światowej aż do tragicznej katastrofy lotniczej w dniu 4 lipca 1943 r.

Należy stwierdzić rzecz następującą. Film Poręby jest doprowadzeniem właśnie do momentu nastąpienia tragicznego wypadku, a nie przedstawieniem tego, co ewentualnie mogło się dziać bezpośrednio po samej katastrofie, czyli szukania jej przyczyn. Po dzień dzisiejszy okoliczności śmierci generała Sikorskiego są owiane mgłą tajemnicy. Film Poręby nie wyklucza bezpośrednio możliwości zorganizowania spisku na życie generała, choć nie daje także jasnej odpowiedzi czy rzeczywiście takowy spisek miał miejsce. Autorzy zmierzali raczej w kierunku sygnalizowania zbliżającego się niebezpieczeństwa w postaci zakulisowych rozgrywek politycznych, których być może jeszcze przez wiele lat nie będzie można ujawnić ze względu na brak dokumentacji. No, ale cóż, wiadomo, że większość tzw. wielkiej polityki odbywa się właśnie za kulisami i musi upłynąć dużo wody zanim fakty wyjdą na światło dzienne, o ile miały one rzeczywiście miejsce i zaistnieją okoliczności sprzyjające ich wyjaśnieniu.

Po obejrzeniu „Gibraltaru" nasuwa się jeden wniosek. Jest to film wybitnie gabinetowy. Przeważają w nim rozmowy i jeszcze raz rozmowy. Przewijają się przez ekran dziesiątki przeróżnych postaci których nie można rozpoznać. Trzeba być rzeczywiście znawcą epoki, aby połapać się we wszystkich postaciach. Dla przeciętnego odbiorcy jest to rzecz niemożliwa! W tej powodzi rozmów na najwyższych szczeblach: Sikorski — Stalin, Churchill — Sikorski, czy Roosevelt — Sikorski gubi się postać samego generała, który zachowuje się ciągle constans, mimo że rozmowy te miały różny ciężar gatunkowy także dla Sikorskiego, chociaż zawsze w nich przyświecał mu jeden cel nadrzędny. Były nim sprawy suwerennej, silnej ojczyzny, z którą sojusznicy będą musieli się po zakończeniu wojny liczyć.

Poręba stał przed niezmiernie trudnym zadaniem, aby przez nieomal trzy godziny trwania filmu opartego na siedzeniu za stołami i prowadzeniu rozmów, po prostu nie zanudzić widza na śmierć. Czy mu się ta rzecz udała? I tak, i nie. Otóż niektóre rozmowy jakby uciekają i nie bardzo wiadomo, który moment, czy fragment danego dialogu będzie ważny dla dalszej akcji. Ale są też rozmowy nacechowane olbrzymią dramaturgią wewnętrzną, jak chociażby spotkania Sikorskiego z Andersem. A swoją drogą w filmie to właśnie Anders, którego bardzo dobrze gra Arkadiusz Bazak nacechowany został o wiele większą siłą oddziaływania na odbiorcę niż chyba sam Sikorski, którego z kolei kreuje Jerzy Molga (rola generała Sikorskiego była pierwszą ważną jego rolą w całej karierze aktorskiej), choć nie należy odmówić podobieństwa fizycznego aktora w stosunku do autentycznej postaci generała Sikorskiego. Czyżby stąd wypływał wniosek, że to właśnie Anders miał większe predyspozycje psychiczne do wzięcia na swoje barki losów kraju?

„Katastrofa", jak już wspomniałem jest rekonstrukcją historyczną minionych wydarzeń, co pociąga za sobą ściśle określony sposób ich prezentowania na ekranie. Wiąże się to z natłokiem faktów, wydarzeń, spotkań, historycznych niuansów. Brak w tym wszystkim trochę filmowego życia, które sprawiłoby, że chciałoby się obdarzyć postać Sikorskiego zwykłym ludzkim uczuciem, gdyż w filmie przypomina on zaprogramowany robot do przeprowadzania politycznych rozmów na najwyższych szczeblach. Rzetelność w potraktowaniu tematu w tym przypadku jakby trochę zawodziła.

Niewątpliwie należy docenić wysiłki Poręby podejmowane w kierunku penetrowania niezmiernie trudnych i skomplikowanych obszarów naszej historii i o ile nie są one całkowitymi „wpadkami", tak jak miało to miejsce w przypadku „Polonii", to już jest nieźle, mimo całej gamy zastrzeżeń, jakie w stosunku do „Katastrofy" się pojawia.

WALDEMAR BĘDZIŃSKI

Polacy w Petersburgu

Niemal od chwili, gdy Petersburg stał się stolicą imperium carów (1712), widzimy tam Polaków. Pierwsi to są oficjalni posłowie, przedstawiciele upadającej Rzeczypospolitej i ich większe lub mniejsze orszaki. Po pierwszym rozbiorze napłyną „nowi poddani" w różnym zresztą charakterze, znajdą się tam także więźniowie polityczni, którzy poznają nie tyle miasto z jego uciechami, co Twierdzę Pietropawłowską i inne miejsca odosobnienia. (Kościuszko, Niemcewicz, Kiliński i inni).

Po trzecim rozbiorze można już mówić o „polskiej kolonii". Napływają magnaci, by błyszczeć przy dworze lub uległością ratować zagrożone majątki; ludzie intelektu i sztuki, by korzystnie sprzedawać swe umiejętności (np. malarze Aleksander Orłowski, Józef Oleszkiewicz). Później zjawią się ludzie interesu, pomnożyciele majątków, rzemieślnicy, studenci i naukowcy. Chyba do najpóźniejszej grupy należą robotnicy, którzy wnoszą bezsporny wkład w rozwój przemysłu i rękodzieła. Wszystkie te grupy odnajdziemy w fascynująco napisanej, ostatniej monografii profesora Uniwersytetu Warszawskiego Ludwika Bazylowa pt. „Polacy w Petersburgu".

W historię rozwoju miasta Autor wplata sylwetki Polaków i kreśli ślad, jaki pozostawili po sobie. Nie jest to książka o kolonii polskiej w Petersburgu, ale raczej o różnorodnej działalności naszych rodaków nad Newą. Nie stroni Bazylow od kreślenia życia intymnego, dziwactw, utracjuszostwa, jak i wkładu pracy i indywidualnych talentów w życie miasta.

Kogo interesują np. związki stolnika litewskiego Stanisława Augusta z żoną następcy tronu, późniejszą carową Katarzyną II, znajdzie szczegóły w omawianej pracy, tak samo jak i działalność mistyka i dziwaka Oleszkiewicza, a również i petersburskie perypetie Adama Mickiewicza. Bohaterowie Bazylowa nie są ludźmi ze spiżu, ale przez opis różnorodnych przywar i rysów pozytywnych stają się bliscy czytelnikowi, który przeżywa ich wzloty i upadki.

Układ monografii jest chronologiczny, a poszczególne okresy wypunktowane w jedenastu rozdziałach. Po krótkim rozdziale wstępnym, dotyczącym powstania miasta, w następnych mamy losy Polaków w osiemnastowiecznym Petersburgu Pawła I i Aleksandra, w stolicy Mikołaja I, w Petersburgu mieszczaństwa i robotników. Zmieniają się czasy, warunki, charakter miasta i struktura społeczna. Rozdział VIII jest poświęcony konspiratorom i rewolucjonistom, by przez następne — przełomu stuleci i okresu I wojny światowej dojść do rozdziału XI „Pożegnanie z Petersburgiem", a właściwie już Piotrogrodem.

Autor kończy swą pasjonującą opowieść słowami:

„W sierpniu 1914 r. przeszła do historii nazwa „Petersburg", z którym splotły się na krótko, na dłużej lub na całe życie losy wielu tysięcy Polaków. Wydarzenia historyczne ułożyły się tak, że właśnie po zmianie nazwy miasta, życie Polonii petersburskiej stało się bardziej intensywne i obfitujące w napięcia niż kiedykolwiek przedtem. Wojna spowodowała napływ uchodźców, nie było kresu cierpieniom, dokonywano imponujących wysiłków, ażeby je zlikwidować lub przynajmniej złagodzić... Masowa repatriacja Polaków, zjawisko konieczne i nieodwracalne, oznaczała pożegnanie z Petersburgiem — Piotrogrodem".

„Tradycje i piękno mają to do siebie, że nigdy nie przemijają i dlatego nadal urzeka i urzekać będzie swym pięknem Leningrad, miasto także polskich tradycji".

Tych, których interesują te tradycje odsyłam do książki prof. Bazylowa. Znajdą w niej zaspokojenie swego zaciekawienia, a także pasjonującą lekturę. Umiejętnością bowiem profesora jest „nie nudzić ucząc" i dawać barwny, a zarazem wierny obraz przeszłości, jak i pełną charakterystykę prezentowanych osób, ich pozytywy i słabostki, wzloty i upadki.

Obszerna bibliografia, indeks nazwisk i spis ilustracji zamykają interesującą całość. Dzieło jest bogato ilustrowane. Wśród tego obszernego serwisu obrazkowego znajdziemy także reprodukcje szyldów i ogłoszeń polskich firm handlowo-przemysłowych. Dowiadujemy się więc, że nad Newą najlepsze wędliny z Litwy i Królestwa były tylko u Aleksandra Maciejewskiego; A Kulczyński polecał swe usługi krawieckie wojskowym i cywilnym, natomiast obuwie damskie, męskie i dziecinne należało kupować tylko w firmie F. Tomaszewskiego.

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

Bazylow Ludwik, Polacy w Petersburgu, Wrocław—Warszawa 1984, ss. 473, cena 400 zł.

Wcześnie w tym roku zaczyna się sezon teatralny w Trójmieście. Już 1 września Teatr Wybrzeże pokazał swoją pierwszą premierę. Było nią widowisko zatytułowane „Gloria victis", w opracowaniu literackim Haliny Słojewskiej i w reżyserii Zbigniewa Bogdańskiego. Jest to rodzaj teatru faktu, rejestrującego siedem dni majora Henryka Sucharskiego i jego żołnierzy na Westerplatte we wrześniu 1939 roku.

Premiera tego spektaklu odbyła się w czterdziestą piątą rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej. Miała miejsce w Gdańsku, gdzie rozpoczął się ten kataklizm dziejowy. Dla wielu młodych widzów przedstawienie w Teatrze Wybrzeże jest swoistą lekcją historii, przypominającą wydarzenia sprzed lat.

List z Wybrzeża

Ballada o Westerplatte

Warto tutaj także podkreślić pewien aspekt artystyczny tego przedsięwzięcia — dyrektor Teatru Wybrzeże, Andrzej Kudlik, wprowadzając balladę sceniczną o obronie Westerplatte do repertuaru kierowanej przez siebie placówki, nawiązuje do ważnej tradycji tej instytucji. Otóż, przed laty, w czasach dyrekcji artystycznej Jerzego Golińskiego, Teatr Wybrzeże często prezentował utwory o charakterze publicystycznym. Wtedy właśnie (rok 1965), wystawiono głośną sztukę Janiny Skowrońskiej-Feldmanowej pt. „Westerplatte". Był to znaczący sukces Teatru Wybrzeże.

Po raz pierwszy temat — Westerplatte trafił wtedy na nasze sceny, powodując ważną dyskusję prasową o pierwszych dniach drugiej wojny światowej. Teraz publiczność Wybrzeża może zobaczyć zupełnie inny utwór, w którym na plan pierwszy zostały przesunięte problemy o charakterze psychologicznym. Halina Słojewska próbowała zrekonstruować ów „stan ducha" Henryka Sucharskiego i jego żołnierzy podczas obrony Westerplatte. Wśród załogi było wielu młodych ludzi, którzy po raz pierwszy w swoim życiu znaleźli się w sytuacji zagrożenia. Z pewnością reagowali różnie, nieobcy był im zwykły ludzki strach. Potrafili go jednakże przezwyciężyć. Być może również sam Henryk Sucharski przeżywał momenty wahania, czy nawet zwątpienia...

Nie wiem, nie umiem powiedzieć. Halina Słojewska prezentuje publiczności swoje, własne „widzenie" przeszłości. Nie wszyscy muszą zgadzać się z autorką. Tak samo nie wszyscy widzowie zaakceptują samą rangę literacką „Gloria victis".

Henryk Sucharski był jednym z bohaterów ostatniej wojny. Pamiętać jednakże warto, że był to bohater szczególny, który przez siedem dni mógł stawiać czoła przeważającej sile nieprzyjaciela, dlatego, że w mądry sposób przygotował się do obrony.

Westerplatte od 1 września 1939 roku było atakowane nie tylko przez pancernik „Schleswig-Holstein" z jego 28 działami, lecz także przez siły lądowe. Niemcy skierowali również przeciwko Westerplatte ok. 40 samolotów szturmowych, a od strony morza Wojskowa Składnica Tranzytowa (tak brzmiała nazwa placówki dowodzonej przez Henryka Sucharskiego) była rażona ogniem torpedowców. Przeciwko tej sile militarnej stanęło 182 ludzi, którzy mieli do dyspozycji 43 karabiny maszynowe, 4 moździerze, 17 działek, 2 działka przeciwpancerne, jedną armatę, 160 karabinów i granaty.

Teoretycznie hitlerowcy powinni zmiażdżyć obrońców Westerplatte w ciągu kilku godzin. Nie stało się tak dlatego, że Sucharski zbudował cały system umocnień, które przez długi czas neutralizowały ataki przeciwnika.

Z militarnego punktu widzenia major Henryk Sucharski wykazał wyższość nad niemieckim dowódcą Westerplatte, który w kwietniu 1945 roku skapitulował bez walki, przed oddziałem marynarzy radzieckich i polskiej kompanii desantowej I Samodzielnego Morskiego Batalionu Zapasowego.

Dzisiaj z okazji czterdziestej piątej rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej przypominamy nazwisko Henryka Sucharskiego. Warto o nim pamiętać, nie tylko teraz. Był dzielnym i mądrym człowiekiem, który bronił swojej Ojczyzny w sposób budzący szacunek jego przeciwników.

WIESŁAW NOWICKI

„Postawiłem na jedno..."

Z TADEUSZEM KOPACKIM rozmawia Waldemar Pawłowski

Doczekać jubileuszu 30-lecia pracy artystycznej to rzecz nieczęsta. Jeśli do tego jeszcze dochodzi pełna sprawność zawodowa i jubileusz tyleżlecia istnienia Teatru, z którym się jest tak nierozerwalnie związanym, w którym się odnosiło tyle sukcesów na premierach i przedstawieniach obiegowych — to już wydarzenie unikalne.

Banalnym byłoby pytanie, czy Pan się czuje w tym momencie szczęśliwy. Proszę jednak powiedzieć, czy ten, w pewnym sensie oczekiwany fakt, nastąpił dla Pana „już", „dopiero" czy „nareszcie"?

Nie będę ukrywał swego szczęścia z powodu tego wydarzenia. Śpiewać bowiem przez 30 lat na scenie i to same główne partie pierwszoplanowe to zbiór wieloletnich wysiłków, wyrzeczeń, samozaparcia, utrzymania higieny głosu i dyscypliny zawodowej. A że to „już" nastąpiło, jest to dla mnie pewnym zaskoczeniem. Gdy tak spojrzę do tyłu, u progu swojego jubileuszu, to nie wiem doprawdy jak to się stało, że te 30 lat mojej pracy w Operze Łódzkiej, a później w Teatrze Wielkim, przebiegło w takim szalonym tempie.

Nie bawiąc się w kokietowanie przesadną skromnością, z jakich konkretnych osiągnięć w swojej pracy artystycznej jest Pan szczególnie dumny, zadowolony, szczęśliwy?

Do moich najukochańszych partii, jakie wykonywałem i z których zawsze byłem dumny, zaliczam partie kontuszowe w operach polskich. Uwielbiam Stefana w „Strasznym Dworze", którego klimat i atmosferę porównuję do mickiewiczowskiego „Pana Tadeusza", z jego wspaniałymi, pięknymi obrazami naszego dawnego życia, dawnej historii, które w jakiś sposób przecież rzutują na mentalność każdego Polaka. Z ulubionych, dawniej wykonywanych partii, które najbardziej utkwiły w moich miłych wspomnieniach, to „Cyganeria" i „Faust", po którego premierze otrzymałem roczne stypendium do La Scali, w r. 1961. Z ostatnich pozycji, na pewno partia Eleazara w „Żydówce" i „Don Carlosa", które darzę sympatią innej już natury.

Czy są jakieś partie, które marzą się Panu szczególnie, aby je jeszcze zaśpiewać, a które byłby Pan w stanie wykonać?

Owszem. Marzę o dwóch konkretnych rolach: Kalafie w „Turandot" Pucciniego i Hermanie w „Damie Pikowej" Czajkowskiego. Są to dla mnie niezwykle interesujące partie. Pierwsza, z powodu swojej szalenie efektownej strony wokalnej, którą byłbym w stanie prawdopodobnie bardzo dobrze aktualnie zaśpiewać; Herman zaś — to znakomita postać aktorska, dramatyczna, precyzyjnie nakreślona zarówno przez libretto, jak i muzykę samego kompozytora.

Włosi twierdzą, że każdemu człowiekowi w życiu tylko raz uśmiecha się szczęście, z którego albo się skorzysta, albo nie. Który to był moment w Pana życiu i czy zdążył Pan go uchwycić? A może zaprzepaścił Pan jakąś szansę zawodową, artystyczną?

Tak, Włosi mają rację. Pamiętam doskonale ten jednorazowy „uśmiech szczęścia" na początku mojej kariery, z którego — po latach stwierdzam z żalem — nie skorzystałem. Właśnie po wspomnianym stypendium w La Scali, kiedy to miałem okazję wojażować, wyruszyć w świat. Zbagatelizowałem sobie, źle wykalkulowałem. Okazja ta już się więcej nie powtórzyła.

Był Pan przez te 30 lat wierny łódzkiemu teatrowi, jak pies swojemu ukochanemu panu. Jakiego rodzaju wdzięczności Pana za to spotkały? Czy druga strona potrafiła to docenić?

Zdecydowanie: nie. Z wdzięcznością dyrektorów jest bardzo różnie. Nie wnoszę tu pretensji do żadnego z nich, gdyż każdy dyrektor ma przede wszystkim na uwadze dobro całego teatru, a potem dopiero poszczególnych jednostek. To dobro teatru upoważnia go nieraz do eksploatowania niektórych jednostek w sposób wręcz niemiłosierny. Takie jest jego zadanie. Moim zadaniem natomiast, jest bronić się od tej nadmiernej eksploatacji. Gdy widziałem czy czułem, że czemuś nie podołam, zdarzało się, że z przykrością musiałem odmawiać; wyczuwać się, a nawet robić uniki, gdy bardzo nalegano. W takich właśnie momentach, za moją wierność i oddanie, nie zawsze spotykałem się z wdzięcznością, ze zrozumieniem dyrektorów, których do tej pory „przeżyłem" aż siedmiu.

Pana walory artystyczne i możliwości są na ogół znane. Czy był Pan jednak zawsze trafnie obsadzany? Z jakich partii Pan zrezygnował i dlaczego?

Przeważnie obsadzano mnie właściwie. W swoim czasie musiałem zrezygnować z proponowanych mi dwóch partii. Pierwszą z nich był Don José w „Carmen", która była jedną z czterech planowanych pozycji na otwarcie Teatru Wielkiego. Niestety, byłem zbyt zaangażowany Jontkiem i Stefanem do premier z tej samej okazji. Z „Aidy" natomiast zrezygnowałem z powodu zasadniczego. Po obejrzeniu w tej roli wielu sławnych tenorów, z Mario Del Monaco na czele, których głosy w pełni odpowiadały wymogom kompozytora, nie miałem po prostu zamiaru być „Radamesikiem".

W czasie prób do nowej opery poddaje się Pan z pełnym zaufaniem wszelkim sugestiom reżysera, czy też próbuje Pan go przekonać o swoim własnym, innym punkcie widzenia na dzieło?

Na próbach staram się być bezwzględnie zdyscyplinowanym, zwłaszcza gdy widzę, że reżyser rzeczywiście wie, po co przyszedł i co ma robić. Naturalnie zdarzają się indywidualności wielkie, jak Kazimierz Dejmek, który reżyserował u nas wiele pozycji. Jemu się poddać, to wielka frajda. Lecz taki reżyser jak on tego właśnie nie wymaga, a próbuje jedynie ukierunkować artystę, twierdząc, że aktorstwo musi wypływać z nas, wykonawców. Nie uznaję reżyserów, którzy czepiają się przysłowiowych kroków, nie zwracając uwagi na psycho-fizyczną całość odtwarzanej postaci. Z takimi się nie zgadzam.

Jakie jest Pana zdanie o naszych dyrygentach, czy pomagają śpiewakom w uzewnętrznianiu ich artystycznej osobowości, czy też narzucają swoje własne interpretacje, zapominając, że orkiestra w operze spełnia rolę akompaniatora? Słowem, czy odśpiewując jakąś partię operową może czuć się Pan tak swobodnie, jak na swoim recitalu?

Jest to problem dość złożony. Lecz ogólnie rzecz biorąc, większość dyrygentów, z którymi miałem możność czy nawet radość współpracować, jak choćby Bogdan Wodiczko, dawała zawsze solistom tę możność popisów wokalnych, byle muzycznie uzasadnionych, przystosowując orkiestrę dla wygody i efektu śpiewającego.

Czy interesuje Pana w teatrze tylko scena i orkiestron, czy także spocony robotnik przestawiający dekoracje, starająca się o Pana wygodę garderobiana, usłużna szatniarka?

Podoba mi się to pytanie, które wynika również z Pana w tym względzie wrażliwości. Otóż uczono mnie zawsze umiejętności współżycia z innymi, żyć w społeczności, być miłym, uczciwym, pokornym, koleżeńskim. W takim środowisku, jak teatr, który jest zbiorowiskiem ludzi różnych zawodów, a więc i różnych mentalności, te moje zasady okazały się bardzo przydatne i dały pożądane efekty. Kimże byłbym, gdybym śmiał pogardzać pracą tych uczciwych ludzi, którzy pomagają mi w różny sposób w osiągnięciu moich sukcesów?

Co chciałby Pan ulepszyć w tym teatrze, co należałoby zmienić? Jego wystrój, zwyczaje, atmosferę?

Wystrój teatru pozostawiam dekoratorom wnętrza. Atmosferę i zwyczaje zaś tworzymy my sami. Chciałoby się, aby młodzi artyści przychodzący do teatru, często tak zagubieni, chłonęli tylko te dobre zwyczaje, by brali przykład tylko z tych najlepszych artystów. Cieszyłbym się, gdybym wiedział, że ktoś z młodych kolegów podpatruje mnie z tych moich dobrych stron. My starsi bowiem musimy emanować na zespół, zarażać młodszych szacunkiem do pracy.

Jak działa na Pana konkurencja, mobilizująco czy też wzbudza zazdrość?

Świadomej zazdrości nigdy nie czułem. Może czasem coś podświadomie, na tyle, na ile zazdrość jest w jakimś stopniu cechą każdego charakteru ludzkiego. Konkurencja jednak zawsze mobilizowała mnie do pracy. Chciałem zawsze przynajmniej dorównać konkurentowi, jeśli już go nie mogłem wręcz przewyższyć.

Na scenie jest Pan postacią zawsze żywą, reagującą, przeżywającą — ani na chwilę obojętną czy prywatną. Co Pan właściwie w tym wszystkim najbardziej kocha: swój śpiew, otoczenie sceniczne czy widownię?

Wszystko, proszę Pana. Dosłownie wszystko naraz. Bo bez tego nie ma postaci. Jeżeli by się człowiek ustawił wyłącznie do jednego z tych zagadnień, byłby tylko papierową postacią. W czasie przedstawienia nie istnieją dla mnie takie rzeczy, jak: scena, kulisy, garderoba. Przez te 3 godziny, od chwili wejścia do garderoby, czuję się jedną, aktualnie odtwarzaną postacią, będącą w jednym, wymyślonym przez autorów opery, otoczeniu. To pomaga mi w skupieniu, w naturalnym odtwarzaniu wyimaginowanej postaci operowej.

Śpiewając i grając na scenie, kogo chce Pan bardziej zadowolić: widza czy słuchacza?

Po prostu nie myślę o tym, nie rozdzielam tego. Wiem jednak, że oprócz widza i słuchacza, chcę podobać się współgrającym ze mną koleżankom i kolegom, a także przyglądającym się nam za kulisami pracownikom sceny. Słowem, zależy mi na wszystkich obecnych.

Wiadomo, że w „Cyganerii", „Baronie" czy „Mefistofelesie" Pana niezastąpioną i ulubioną partnerką jest małżonka Delfina Ambroziak. Czy jednak byłby Pan skłonny wymienić swoje inne, z przeszłości lub aktualne, znakomite partnerki lub kolegów, z którymi wyjątkowo dobrze współpracuje się na scenie?

Rzeczywiście, z małżonką współpartneruje nam się doskonale. Jest ona jakby ulepiona z tej samej gliny artystycznej, co ja. Żyjemy aktualnymi postaciami scenicznymi nie tylko na przedstawieniach, ale i w domu. Dyskutujemy na ich temat, omawiamy wspólne sytuacje. Z przeszłości, cudowną partnerką była Weronika Kuźmińska, nadzwyczajną Zosia Rudnicka. To naprawdę niezapomniane dwie partnerki. Z okresu późniejszego, wspaniała Teresa Kubiak, obecnie choćby Teresa May-Czyżowska, czy też tacy koledzy, jak Jerzy Jadczak lub Romuald Tesarowicz, z którymi na scenie można wszystko zrobić, wszystko osiągnąć. Gdy później efekty tej współpracy scenicznej są dostrzegalne na widowni, jest to dla nas artystów jedyna rekompensata za włożony trud.

Czy jest Pan zawsze zadowolony ze swoich występów?

Zadowolenie w człowieku, mającym choć trochę ambicji — to rzecz prawie nieosiągalna. Nigdy nie wychodzę w pełni usatysfakcjonowany po przedstawieniu, nawet, gdy innym się podobało, gdyż nigdy nie jest aż tak dobrze, że nie mogłoby być lepiej.

Czy podziela Pan zdanie Pawłowskiego, że Kopacki jest wciąż jeszcze niezastąpionym amantem tenorowym w tym teatrze?

Choć zabrzmi to nieskromnie: podzielam jak najbardziej i to po raz pierwszy w stu procentach. Po prostu dbam o siebie, starając się dotąd grać role amantów — choć może już nie za długo — dopóki cały zespół moich wokalnych i psycho-fizycznych możliwości mi na to pozwoli. Unikam odtwarzania ról wyraźnie podkreślonych, młodych amantów. Jest to nieszczęściem dla tenorów, że bardzo mało wspaniałych partii na ten rodzaj głosu męskiego jest związanych z wiekiem przynajmniej średnim, jak np. partia Eleazara w „Żydówce", biorąc pod uwagę, że dojrzewa się wokalnie i nabiera pełnej aktorskiej swobody niestety z wiekiem i to dużo przekraczającym wiek młodych kochanków z Werony. Paradoksem w polskim teatrze operowym jest to, że artystów w wieku, powiedziałbym, nieco ponadśrednim, którzy już naprawdę coś potrafią, odsuwa się delikatnie na bok, a obsadza młodych, niedojrzałych ani wokalnie, ani aktorsko. Odwrotnie, jak to bywa w największych, renomowanych teatrach operowych świata.

Ostatnio w Weronie, w antrakcie opery „Carmen", za kulisami „Areny", zadałem José Carrerasowi, będącemu u szczytu sławy, następujące, niegrzeczne pytanie: „Dokąd ma Pan zamiar śpiewać"? Czy Pan usprawiedliwi to moje bezczelne pytanie, zadane w imieniu pewnej grupy ludzi?

Uważam, że jest ono bardzo dobre i na czasie. Sądzę, że przy okazji będzie mógł Pan przekazać moje oświadczenie tym wszystkim którzy może się już niepokoją, czy przypadkiem nie za długo mam zamiar śpiewać. Ponieważ jest Pan sam śpiewakiem-zawodowcem, więc na pewno Pan zrozumie moją intencję. Otóż oświadczam, że nie będę dłużej śpiewał i nie będę dłużej w teatrze, gdy usłyszę, że głos zaczyna mi się chwiać. Myślę, że się dobrze rozumiemy. Tu nie chodzi o tę naturalną wibrację głosu, lecz o tę występującą w późniejszym wieku u śpiewaków, spowodowaną osłabieniem mięśni strun głosowych i mięśni oddechowych, zwłaszcza przepony. Bardzo współczuję dyrektorowi, który nie może się pozbyć takiego śpiewaka lub śpiewaczki z teatru. Gdy usłyszę pierwsze zachwianie w moim głosie, na drugi dzień nie pokażę się już w teatrze.

Od jak dawna jest Pan pedagogiem śpiewu i czy ma Pan i na tym polu jakieś widoczne efekty?

W łódzkiej Akademii Muzycznej prowadzę klasę śpiewu już od 10 lat. Kilku z moich studentów zdobyło w międzyczasie pierwsze i drugie nagrody na polskich i międzynarodowych konkursach, choćby w Hertogenbosch czy Pradze. Przekazywanie wiedzy wokalnej i swoich doświadczeń utalentowanej młodzieży to duża satysfakcja.

Gdzie więc czuje się Pan lepiej: w teatrze na scenie czy w klasie ze studentem?

Chyba jednak na scenie, z którą większą ilość lat jestem związany. Poza tym tutaj mam większe możliwości wykazania swoich indywidualnych cech artystycznych, mogę się stać jakąś postacią, mogę się „zaśpiewać".... Moja działalność pedagogiczna natomiast ogranicza się do kontroli innych, co jest mniej atrakcyjną formą prezentacji siebie samego.

Czy zgodzi się Pan z powszechnie panującą opinią, że artyści śpiewacy w Polsce są niezwykle po macoszemu traktowani, zarówno przez nagrania płytowe, telewizyjne, jak i radiowe? Dysproporcja w nagraniach śpiewu artystycznego, klasycznego a piosenki, niestety coraz bardziej miernej jakości, jest nader rażąca. Nie boli to Pana, że po tylu latach swojej kariery, nie doczekał się Pan jednej swojej płyty, podczas gdy średniej klasy piosenkarz, w dodatku młodszy, szczyci się kilkoma z nich?

Tak, jest to zagadnienie nader bolesne dla nas śpiewaków. Nie wiem czym jest ono spowodowane. Może masowym zapotrzebowaniem? Choć to zapotrzebowanie wynika przecież z narzucanych propozycji przez te właśnie środki masowego przekazu i rejestracji. Jest tyle u nas utalentowanych śpiewaków, których zarówno warunki głosowe, jak i interesujące interpretacje, aż proszą się o utrwalenie. Niestety, są tylko nieliczni szczęśliwcy wśród nas, którym to się udaje. Lansuje się szeroko coraz mniej ciekawe piosenki i piosenkarzy o talentach wręcz antywokalnych. Przykro mi oczywiście, że nie doczekałem się swojej płyty, czego już teraz chyba bym się nie podjął, bo jest to praca mordercza, która winno się dokonać w określonym okresie swojej kariery.

Czy nie żałuje Pan mimo wszystko tego, co zainwestował w swoją sztukę? Czy była zawsze rekompensata?

Niestety, rekompensaty najczęściej nie było, ale ja tego nie żałuję. Sztuka nie znosi kompromisów i tutaj nie da się skorzystać z przysłowia: „Panu Bogu świeczka diabłu — ogarek". Postawiłem na jedno i nie żałuję.

Czy współjubilat — łódzki teatr operowy, z którego rozwojem wzrastała równocześnie Pana kariera artystyczna, wyróżniał Pana za jego zasługi, za wierność?

Choć jestem w posiadaniu Honorowej Odznaki m. Łodzi, Złotego Krzyża Zasługi, Medalu 30-lecia PRL i Odznaki Zasłużonego Działacza Kultury, przykro mi niepomiernie, że żadne uznanie nie spotkało mnie ze strony samego teatru, a przecież jestem przede wszystkim człowiekiem teatru.

Gdy na dzień przed jubileuszem obraz 30-letniej przeszłości będzie spędzać Panu sen z oczu, jak będzie wyglądać ten telegraficzny skrót przebiegu myślowego? Uśmiechnie się Pan do siebie, będzie zmartwiony czy obojętny?

Przerażająco smutno mi będzie, że to wszystko jest już za mną. Choć z drugiej strony, radować się będę wielką ilością cudownych wspomnień, przeżyć, pewnych osiągnięć. Życie jest nieubłagalne, leci do przodu!

W imieniu czytelników „Odgłosów", szerokiej rzeszy melomanów proszę przyjąć życzenia następnych sukcesów w tym teatrze i dużo pomyślności w życiu osobistym.

Polemiki • Listy • Opinie

SPORÓW O „PRELUDIUM" CIĄG DALSZY

Pisząc notatki biograficzne o osobach znanych nam z historii nawet godni najwyższego szacunku naukowcy dodają w nawiasie: (był wrogo nastawiony do ZSRR, był sympatykiem faszyzmu, był nacjonalistą, monarchistą itp.). Tym zwrotem wartościującym, emocjonalnym, ostrzegają nas niczym wywieszką: uwaga zły pies!

Tak uprzedzeni, rozglądamy się nerwowo za psem, zapominając często o celu wizyty.

W polityce nie ma sentymentów, pouczał Stalin, gdy w grę wchodzi interes państwa, narodu osobiste wrogości, przekonania, sympatie, tracą wszelkie znaczenie.

Daleki nam ideowo prezydent Francji Giscard d'Estaing był nam stokroć bliższy od bliskiego nam ideowo Mitteranda. Niestety bardzo często zapominamy o rozdzielności tych pożytków, a przecież co innego nie chcieć komunizmu u siebie, a co innego współpracować z komunistami dla wspólnego dobra.

To, że ktoś kiedyś, gdzieś tam był lewicowcem, niczego jeszcze nie dowodzi, a już w żadnym przypadku, że dobrze nam życzy! Na rodzime przykłady nie będę się powoływał.

Zadziwił mnie więc ogromnie znawca historii tak znakomity, jakim jest bez wątpienia pan red. Olgierd Terlecki, który w „Życiu Literackim" Nr 36. fragment mojego tekstu: „Retinger przyjechał do Polski by zorganizować, rozniecić ducha oporu przeciw Związkowi Radzieckiemu, by krwią Polaków odwrócić bieg wypadków" — opatrzył zwrotem: „Było akurat odwrotnie, za co w Polsce proponowano tu i ówdzie Retingera bądź gdzieś porządnie zamknąć, bądź nawet, jak to się mówi, zaciukać". A zdziwił mnie dlatego, że było akurat odwrotnie!!! A propozycja wyszła z Londynu. Otóż tenże dr Retinger przed odlotem do Polski w liście do Prezydenta RP pisał, że leci do kraju po to, by dać światu świadectwo o tym, co się w Polsce dzieje, by władzom Polski Podziemnej przekazać stanowisko zachodnich Aliantów w najistotniejszych dla Polski sprawach! I co??? Notatki z rozmów jakie wówczas przeprowadził po dziś dzień są zamknięte na cztery spusty i — o ile mi wiadomo — nikt do nich nie dotarł, dzięki temu nawet tak wybitny historyk amerykański jakim jest prof. Zawodny (Polak z pochodzenia) mógł po latach obwinić Rząd Polski w Londynie za to, że nie powiadomił Kraju o stanowisku Aliantów w tej najistotniejszej dla Polski sprawie!

Dr Retinger więc, nie tylko nie zadziwił zachodnich Aliantów wieściami z Polski, ale co karygodne, nie przekazał wiadomości o tym, że nasi przyjaciele z Zachodu nie udzielą nam najmniejszej pomocy w razie powstańczego zrywu, a przecież nikt tak dobrze jak on właśnie, nie wiedział o tej ponurej prawdzie!

Jakże miły mi w czytaniu pan RM Groński w „Polityce" Nr 35 łając mnie pisze: „Anglicy uwierzyli, że Retingera wysyła Mikołajczyk, Mikołajczyk, że Anglicy... zaprzyjaźniony szef SOE zapewnił mu transport..." Otóż, drogi panie Redaktorze, Anglicy niczego nie dają na wiarę, nie ta wiara co u nas, to nie w ich stylu, wiem coś o tym ze studiów. Pamiętam jak dr Jan Ochman...

Ale może najpierw wyjaśnię, że dr Ochman był oficerem kulturalno-oświatowym Polish Air Force. Bywał w domu państwa Zubczewskich, gdzie poznał gen. Sikorskiego, kilkakrotnie proponowano mu stanowisko w rządzie, nieodmiennie stanowczo odmawiał. Mnie zaś powiedział, że czyni tak dlatego, iż po wojnie chce wrócić do kraju, a ci, którzy teraz nami rządzą, nie wrócą. Jak z tego widać był to człowiek trzeźwo myślący, rzadko mylił się w ocenie ludzi i zdarzeń.

Po wojnie rzeczywiście do kraju powrócił i początkowo pracował w komisji planowania, a pod koniec życia był wiceprezydentem Warszawy.

Otóż ów dr Ochman podczas lustrowania ocalałych z pogromu we Francji oddziałów polskich przez gen. Sikorskiego i Churchilla, widząc ponurą minę angielskiego premiera, szepnął do kolegi stojącego obok, szepnął powtarzam: Ten to nam da popalić. Został w niespełna godzinę po paradzie przedstawiony dżentelmenowi w cywilu, który w kółko zadawał pytanie: czy może mi pan wytłumaczyć, co to miało znaczyć? Pełen podziwu dla angielskiego wywiadu dr Ochman wyjaśnił, że jest to zwyczaj indiański, że dać komuś popalić znaczy w jego stronach dobrze komuś życzyć. Dr Ochman urodził się w Stanisławowie.

„Nie myli się zapewne gen. Kukiel (opinię tę cytuje Ciechanowski), iż były doradca Sikorskiego wybrał się do Polski z własnej inicjatywy we własnym imieniu" — pisze RM Groński.

Otóż mam co do tego poważne wątpliwości, przyjaciel Retingera sir Colin Gubbins, szef SOE, zapewnił Retingerowi nie tylko transport, ale również około 200 tys. dolarów i siedem waliz bagażu! Może tak, a może nie, ale myślę, że wątpię, aby to były znaczki przyjaźni polsko-radzieckiej wybite w Londynie na cześć wkraczającej do Warszawy Armii Czerwonej. Byłoby interesujące wiedzieć, od kogo pochodziły te pieniądze, przecież nie od gen. Colin Gubbinsa, nie od Mikołajczyka, nie od Rządu Polskiego, a więc od kogo? Od SOE, a w takim razie wiedząc, że Anglicy nie dają niczego za darmo, należy zadać sobie pytanie, kto i jaki miał w tym interes?

Gdyby Anglicy wysyłali Retingera z misją pokojową, z zadaniem przeciwdziałania wybuchowi powstania, byłoby o tym głośno w prasie, w radio, w Izbie Gmin. Churchill nie przepuściłby takiej okazji, by błysnąć swoją inteligencją.

Niestety, chociaż minęło tyle lat, nadal jesteśmy skazani na domysły, nie wiemy niczego na pewno, chociaż jeśliby przyjąć hipotezę z pogranicza „political fiction", iż Retinger miał za zadanie pomóc w podjęciu decyzji o powstaniu, to jego misja staje się zrozumiała, nabiera sensu. Natomiast nie ma sensu dowodzenie bezinteresowności Retingera. Jeśli ktoś parę tygodni przed odlotem do Polski rezygnuje ze stanowiska w rządzie, z gaży, przechodzi niejako na własny rozrachunek, to musi poza romantycznymi mrzonkami mieć pewność, że w razie czego nie straci źródła utrzymania oraz apartamentu w drogim hotelu. W tym wieku myśli się już o tych rzeczach!

Przyjęcie opinii gen. Kukiela stawia rząd angielski poza wszelkimi podejrzeniami, ale nie wyjaśnia sprawy.

Znamienne są poszukiwania Siemiaszki: „Mając już listę telegramów sporządzonych na podstawie dziennika podawczego wybrałem siedem najważniejszych telegramów, których oryginały chciałem obejrzeć, nie udało się odnaleźć żadnego spośród siedmiu najważniejszych telegramów".

Nie udało się również dotrzeć Siemiaszce do spisu, co zawierały walizy przywiezione do Polski przez dr Retingera. Może to być oczywiście przypadek, że zginęła cała sekwencja najważniejszych telegramów dotyczących misji Retingera, może, ale nie musi.

Nieco wcześniej Siemiaszko pisze, że podczas zbierania materiałów dotyczących wizyty dr Retingera w Polsce zgłosił się do niego Ksiądz, którego odwiedziło kilku oficerów prosząc o radę: „W dalszym ciągu rozmowy Ksiądz podał co następuje, oficerowie ci stwierdzili, że mają możność uprzedzenia pewnych kół w Warszawie o przybyciu Retingera z zamiarem wywołania powstania w Warszawie, co spowodowałoby straszliwą tragedię i nie przyniosłoby żadnego rezultatu".

Czytając ten fragment przypomniał mi się Jasienica, który w „Myślach o dawnej Polsce" pisał: „Wielka Rewolucja Francuska zaraziła umysły europejskie uwielbieniem dla zasady centralizacji. W katastrofalny sposób przyzwyczajono się do utożsamiania kraju z jego stolicą". Otóż Anglicy utożsamiali. Dla nich powstanie powszechne i powstanie w Warszawie znaczyło jedno i to samo. Dla nas były to dwa różne pojęcia, różniące się wagą i treścią. Potwierdza to rozumowanie gen. Sosnkowski w przedmowie do książki gen. Sosabowskiego: „Powstanie w stolicy państwa... jest niczym innym jak powstaniem powszechnym w całym tego słowa znaczeniu".

Wspominam o tym dlatego, że po pierwsze red. Olgierd Terlecki zlekceważył ten po raz pierwszy w historii użyty zwrot „powstanie warszawskie", podobnie jak Siemiaszko, który pośpieszył z tłumaczeniem, że „odnosił się z pewnością do planów powstania powszechnego które gdyby miało miejsce z konieczności skoncentrowałoby się w stolicy". Nie przyjmuję tego tłumaczenia, a jeśli ci oficerowie wiedzieli więcej niż powiedzieli owemu Księdzu? Proszę pomyśleć, powstanie powszechne wobec lawinowego marszu Armii Czerwonej, traciło wszelki sens, na odegranie spektaklu nadawała się już tylko Warszawa-Polska w jednej osobie, tak jak to rozumieli Anglicy.

Nie wytrzymują również krytyki sugestie, że Retinger był przez Anglików lekceważony, czy nie doceniany.

Dr Ochman był oburzony stworzeniem przez Churchila-Edena fait accompli. Nie gen. Sikorski, nie Rząd Polski bowiem, a Forein Office mianowało dr Retingera pierwszym polskim charge d'affaires w ZSRR. Nie mógł wybaczyć Generałowi, że w tak ważnej sprawie przyjął angielski dyktat, co gorsze, że starał się ukryć ten afront. Wspomina o tym również Siemiaszko.

Pan red. Groński pisze we wspomnianym numerze Polityki: „Nie szukałbym odpowiedzi w zakamarkach gabinetu Churchilla" A ja tak! A ja tak! Wystarczy przeczytać relacje Jana Nowaka w „Kurierze Warszawskim" z przyjęcia, jakie zgotowano mu w kancelarii Churchilla, by pozbyć się wielu modnych do dziś u nas złudzeń. Intryga, byłego pracownika wywiadu, mjr Mortona pierwszego sekretarza Wielkiego Premiera, ośmieszająca tę wizytę, nadanie ośmieszeniu odpowiedniego rozgłosu musiało czemuś służyć. Aż dziwne, że Jan Nowak poprzestaje na samym opisie, protestując oczywiście, prostując to i owo, ale nie stara się dociec głębszego sensu intrygi, a przecież nie mogła ona powstać ot tak sobie, dla niczego, nie na tym szczeblu.

Józef Garliński w książce „Poland SOE and the Allies" podnosząc zasługi SOE, wspomina o polskiej sekcji tej wszechwładnej organizacji. Ze sposobu w jaki opisuje kontakty władz Polski Podziemnej z SOE można wnosić, iż nawet najwyżsi rangą oficerowie KG AK byli uzależnieni i podporządkowani dowództwu angielskiemu, czemu zresztą nie należy się dziwić, wobec pokładanej w Anglikach wiary i nadziei, myślących jakoby globalnie, wolnych od naszych drobnopartyjnych sporów, a więc bardziej wiarygodnych. Być może dlatego wielu z nich kategorycznie odmówiło wszelkich wyjaśnień odnośnie wizyty dr Retingera w Warszawie. Przebywał on w Polsce pod ich opieką, był SOE wysłannikiem, a to zobowiązywało i jak widać do dziś zobowiązuje.

AK otrzymała od SOE w okresie od 1941 r. do grudnia 1944 roku około 600 ton materiałów wybuchowych, uzbrojenia itp. Prawie dziesięć razy mniej niż Jugosławia, tyleż razy mniej niż Grecja i dwadzieścia razy mniej niż Francja! Udzielana nam pomoc miała wobec rozmiarów naszego ruchu oporu charakter symboliczny, służyła celom politycznym, podobnie jak dezinformowanie KG AK, polskiej opinii publicznej co do rzeczywistego stosunku zachodnich Aliantów wobec Polski.

Jeśli winą Rządu Rzeczypospolitej Polskiej w Londynie było, jak pisze również Garliński, niepowiadomienie KG AK o rzeczywistym stosunku Aliantów do powstania, jak uporczywie powtarza to wielu, to winą wcale nie mniejszą jest ukrycie tej ponurej prawdy, zatajenie, przemilczenie jej przed władzami Polski Podziemnej przez SOE. Przez doskonale zorientowanego w sytuacji dr Józefa Retingera. Przemilczenie zaś dowodzi wspólnictwa w winie.

KAROL OBIDNIAK

JESZCZE O „MONDO CANE"

W nr 38 „Odgłosów" przeczytałam artykuł pt. „Mondo Cane".

Nie wiem dlaczego wszyscy (prawie) uparli się by „popsioczyć" na psy. Zresztą „Odgłosy" nie są jedynym tego przykładem.

Ale wróćmy do artykułu, wywnioskowałam z niego (może się mylę — oby), że według autora (autorki), za wielu ludzi posiada psy. Wydaje mi się, że właśnie teraz, kiedy człowiek stał się dla człowieka przysłowiowym wilkiem, właśnie posiadanie psa, często jedynego przyjaciela, jest potrzebne. Nie przesadzajmy i nie wyolbrzymiajmy szkód jakie czynią te sympatyczne czworonogi. Autor (autorka) pisze o zakłócaniu przez psy wypoczynku, iż psy warczą, szczekają, czy też w inny sposób zakłócają spokój. Ale zostawmy psy w spokoju i spójrzmy na ludzi (a tych jest więcej niż nieszczęsnych psów). Stoimy w sklepie w kolejce, bo teraz nic nie ma bez kolejki (nawet „Odgłosów") i wtedy dopiero zaczyna się, tym razem ludzkie „warczenie".

Jeden kolejkowicz patrzy na drugiego wilkiem i wtedy „warczy" (o wiele gorzej od psa), że ktoś taki a owaki wpycha się, że ktoś kupuje bez kolejki. Ale najgorsze „warczenie" ogółu słychać kiedy kupują ludzie uprzywilejowani. Wtedy psie warczenie i szczekanie jest słodką muzyką w porównaniu z tym co potrafią ludzie.

Podobnie w środkach lokomocji — jeden „warczy" na drugiego, że się pcha, że nie ustąpił miejsca itp. To samo „warczenie" słychać u lekarza, w aptekach. Wtedy „warczy" się na zbyt powolną obsługę, niektórzy mają pretensję do innego człowieka, że np. ma za dużo recept i tym samym jego obsłużenie trwa dłużej. To tylko kilka z wielu przykładów „warczenia" człowieka na człowieka. Co prawda nie ma osób pogryzionych, ale za to są zgnieceni, podeptani i z oberwanymi guzikami. Za takie szkody, już nie mówiąc o moralnych „warczący" nie zapłaci (nie powie — przepraszam), w przeciwieństwie do szkód, które wyrządzi pies. Bo za te szkody płaci właściciel pupila i jeszcze powie — przepraszam. Ale owe szkody zdarzają się rzadko.

Piesze autor (autorka) również o zakłócaniu ciszy nocnej w czasie wieczornych psich spacerów. Ale proszę porównać to, jeśli można z zakłócaniem ciszy przez pijaków czy też rozwydrzonych chuliganów, którzy potrafią o wiele głośniej niż psy tę ciszę zakłócić. Tego chyba nie da się porównać.

Ja osobiście wolę już psie hałasy niż ordynarne „odzywki" tych niby ludzi.

Tak więc nie miejmy do psa pretensji (ani do jego właściciela, że go ma), a spójrzmy przyjaźniej na biedaka, który musi żyć wśród tych „dobrych ludzi".

To przecież „pies wyprowadził człowieka na ludzi" — powiedział Pawłow. Zostańmy więc nimi w pełnym tego słowa znaczeniu i niech będzie słychać tylko psie warczenie.

Jeśli ktoś spotka biednego, zbłąkanego psa, niech będzie na tyle ludzki i odwiezie go do schroniska dla bezdomnych zwierząt (Marmurowa) lub odprowadzi do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Za to się nie płaci.

Autor (autorka) jest zdania, żeby mieć psa trzeba to uzgodnić z resztą lokatorów. Ale wtedy z lokatorami powinno się uzgodnić również to czy można mieć dziecko, czy nie, bo to przecież też hałas (i to jaki), czy wolno mieć samochód, bo to z kolei również hałas i zanieczyszczanie środowiska. Sąsiad alkoholik robiący awantury też powinien mieć na to zezwolenie lokatorów.

To, co autor (autorka) propnuje, to jest ograniczeniem swobody obywatelskiej!

W imieniu psów, które nie potrafią się bronić

ANNA MARCINIAK

„Z KARABELĄ NA ZWIĄZKI ZAWODOWE"

W związku z opublikowanym artykułem pt. „Z karabelą na związki zawodowe" w tygodniku „Odgłosy" nr 39 z 29 września 1984 r. organizacja związkowa działająca przy Państwowym Zakładzie Ubezpieczeń w Łodzi, celem przedstawienia stanowiska i pozycji związku zawodowego w sprawie wyjaśnia co następuje:

Podstawy prawne regulujące kwestię wynagrodzeń pracowniczych w PZU są następujące: dla ogółu pracowników (poza pośrednikami):

— Uchwała Rady Ministrów, natomiast dla pośredników ubezpieczeniowych stałych, zgodnie z zarządzeniem Rady Ministrów z dnia 10.03.1972 r. (Dz. U. nr 9 poz 5 § 8) — w sprawie pośrednictwa ubezpieczeniowego — Decyzja Ministra Finansów.

Z powyższego wynika, że warunki płac dla wszystkich pracowników PZU ustalone są przez naczelne organa administracji państwowej i z chwilą ich wydania obowiązują w skali całego kraju.

Istotne uprawnienia pracowników regulowane przez naczelne organa administracji państwowej powinny być konsultowane z takim organem związku, który mógłby wypowiedzieć się w tej kwestii w skali krajowej. Niestety, aktualne wówczas struktury związkowe nie wypełniły luki, która zaistniała po rozwiązaniu CRZZ. Obecnie zadanie to przejęła Federacja Związkowa. W sytuacji prawnej i faktycznie istniejącej ówcześnie, forma zawiadomienia związku o konieczności wypowiedzenia warunków płacy — z dniem 31.03.1983 r. — wszystkim pośrednikom ubezpieczeniowym stałym — w trybie art. 42 Kodeksu Pracy — była właściwa, ponieważ spełniała rolę, jaką mógł w tej sytuacji odegrać związek zawodowy tzn. wystąpić ewentualnie z pismem do Ministra Finansów o zmianę norm prowizyjnych.

O konieczności wypowiedzenia warunków płacy pośrednikom ubezpieczeniowym — zgodnie z okólnikiem nr 16/83 Naczelnego Dyrektora PZU, który został doręczony przed wprowadzeniem Decyzji Ministra w życie, powiadomiono związek zawodowy, którego przedstawiciel brał udział w naradzie zorganizowanej przez Dyrektora Oddziału Wojewódzkiego w dniu 24.03.1983 r. Wypowiedzenie warunków płacy pośrednikom ubezpieczeniowym w trybie art. 42 Kodeksu Pracy — Inspektoraty PZU dokonały z dniem 31.03.1983 r. Żaden z pośredników nie zwrócił się do związku zawodowego z interwencją, iż były one prawnie bezskuteczne, gdyż zostały wydane z obrazą art. 39 Kodeksu Pracy.

Proces toczył się na tle obrazy art. 42 Kodeksu Pracy a nie art. 38 — ponieważ zdaniem procesujących się pośredników wprowadzone ostatecznie w życie z dniem 1.07.1983 r. — Zarządzeniem nr 26/83 Naczelnego Dyrektora PZU z dnia 9.06.1983 r. — stawki prowizyjne wymagały zastosowania drugiego wypowiedzenia zmieniającego.

Zarządzeniem tym wprowadzono w życie zatwierdzone przez Ministra Finansów — zmienione na korzystniejsze stawki prowizyjne w stosunku do poprzednio proponowanych w wypowiedzeniu z dnia 31.03.1983 r.

Forma powiadomienia związku zawodowego przez Dyrekcję Oddziału Wojewódzkiego była w tej sytuacji formą właściwą, ponieważ wszystkie indywidualne wystąpienia pracodawcy o zmianę umowy o pracę tej grupie pracowników — w trybie art. 42 Kodeksu Pracy — zawierałyby tę samą podstawę prawną wypowiedzenia warunków płacy.

Zaznaczamy, że chociaż współpraca z niektórymi kierownictwami naszych jednostek nie zawsze układa się właściwie — to jednak w takich przypadkach związek zawodowy potrafił sam bronić słuszności swego stanowiska w sprawach pracowniczych. W razie konieczności możemy się zwrócić o pomoc do Federacji Związkowej, działającej od lutego 1984 r. — której nasz związek jest członkiem. W dotychczasowej działalności związkowej nie było potrzeby korzystania z powyższego.

Prosimy o opublikowanie naszego stanowiska.

Za Zarząd:
MIROSŁAW JARANOWSKI
(przewodniczący)
ANDRZEJ KALIŃSKI
(wiceprzewodniczący)
JUSTYNA KRYSTYNA
(wiceprzewodnicząca)
IWONA DĄBROWSKA
(sekretarz)

„BOHATERSKI DYWIZJON OBROŃCÓW WARSZAWY"

Szanowny Panie Redaktorze!

Proszę uprzejmie Szanownego Pana Redaktora o spowodowanie zamieszczenia sprostowania w następnym numerze „Odgłosów", pomyłek zaistniałych z winy korektorów, w moim artykule: „Bohaterski Dywizjon Obrońców Warszawy", wydrukowanym w nr 42 poczytnego tygodnika „Odgłosy" na dzień 20 października br.

W pierwszym akapicie siódmy i ósmy wiersz brzmi: „...którym rodziły się wszystkie nasze „Karasie" (P-23), lecz by-..." Tymczasem powinno być: „...którym rodziły się wszystkie nasze dywizjony bombowe. Dokładnie trzy tygodnie od po-..." Niedopatrzenie to zmienia całkowicie sens treści akapitu. Poza tym, w trzecim akapicie, trzeci wiersz brzmi: „...skich dywizji z lotniska Swin-...", a powinno być: „...skich dywizjonów z lotniska Swin-..."

Nie chcąc się narażać osobom czyhającym na takie potknięcia, co zresztą Panu Redaktorowi nie jest obce, proszę uprzejmie o możliwie szybkie sprostowanie tych potknięć korektorskich, za co serdecznie Panu dziękuję.

kreślę się z szacunkiem
ZBIGNIEW JAN CHOJNACKI

ZBIGNIEW JAN CHOJNACKI

(2)

Bohaterski dywizjon „Obrońców Warszawy"

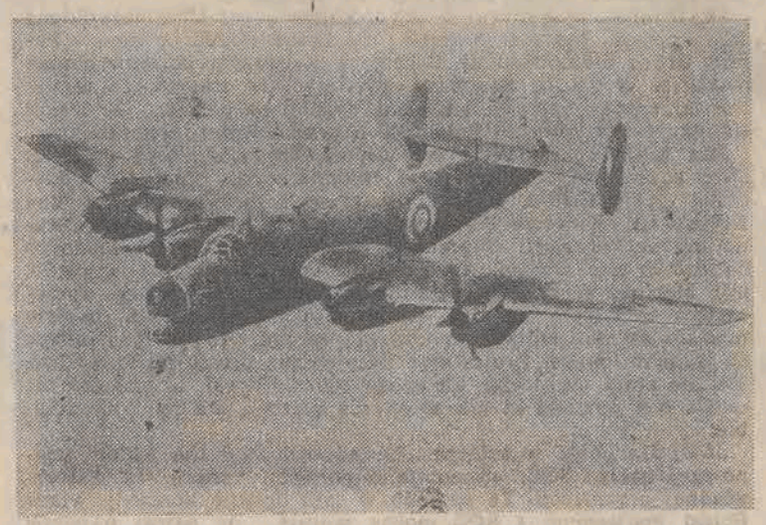

Czterosilnikowy samolot bombowy Handley-Page „Halifax"

Z nowej bazy, nocą z 15 na 16 grudnia wystartowała pierwsza wyprawa do Polski. Lot w obu kierunkach trwał jedenaście i pół godziny, ale halifaxom nie starczyło paliwa, aby dolecieć do Sidi Amor, dokąd dolatywały tylko liberatory, więc zmuszone były do międzylądowania na lotnisku Brindisi dla uzupełnienia benzyny. Zresztą, na szczęście Polacy nie gościli długo w północnej Afryce, bo już 22 grudnia 1586 Eskadra wykonała grupowy przelot do południowych Włoch, na nowe lotnisko Campo Cassale, koło Brindisi.

Z tego lotniska było znacznie bliżej do Polski. Samoloty pokonywały trasę w obu kierunkach w dziewięć i pół godziny, a więc w czasie o pięć godzin krótszym, niż z Sidi Amor. Wytypowano trzy trasy południowe: nad Adriatykiem, Dalmacją, Chorwacją, jeziorem Balaton, Budapesztem i Tatrami — wiodła trasa nr 3. Natomiast trasa nr 4 przebiegała nad małym dalmatyńskim portem Bar, Czarnogórą, Węgrami i Karpatami, zaś nad Albanią, Serbią, Węgrami i Karpatami, prowadziła trasa nr 5. Niewątpliwie najkorzystniejszą była trasa nr 3, bo najkrótsza, z dwoma doskonałymi punktami orientacyjnymi, jakimi były jezioro Balaton i polskie Tatry. Niestety, w końcu kwietnia 1944 roku trzeba było z niej zrezygnować, z powodu niezwykle silnej koncentracji niemieckiej obrony przeciwlotniczej: artyleryjskiej i myśliwskiej, w rejonie Balatonu oraz Budapesztu. Z Campo Cassale odległość do Krakowa wynosiła około tysiąca kilometrów, do Lwowa — tysiąc sto, a w okolice Warszawy — od tysiąca dwustu pięćdziesięciu do tysiąca pięciuset kilometrów, w zależności od trasy, którą przelatywały załogi.

Na uzupełnienie 1586 Eskadry przybyły w grudniu dwa liberatory, przyprowadzone lotem z Anglii, przez załogi: ppor. Bohuszewicza i por. Duńskiego. 31 grudnia 1943 r. w eskadrze było dziesięć kompletnych załóg oraz trzy „Halifaxy" Mk. II i trzy „Liberatory" LR MK.V. — dalekiego zasięgu.

Nowy rok 1944 rozpoczął się dla 1586 Eskadry tragicznie, podobnie, jak rok 1941 w 301 dywizjonie bombowym Ziemi Pomorskiej. 2 stycznia stracono dwa liberatory. Przyczyna obu wypadków były bardzo niepomyślne warunki atmosferyczne, a przede wszystkim huraganowy wiatr. W obszarze Morza Śródziemnego nie posiadano nowych liberatorów, przystosowanych do lotów zrzutowych, więc uzupełnienie eskadra otrzymała dopiero w kwietniu. Były to dwa „Liberatory" LR Mk.V. Później odebrano również ze składnicy algierskiej w Maison Blanche, kolejne „Liberatory" Mk.VI, przystosowane do akcji specjalnych. Pilotem czwartego liberatora był kpt. pil. Zbigniew Szostak, a piątej maszyny — kpt. pil. Michał Goszczyński. Należy nadmienić, że dopuszczenie do lotów na liberatorach uważano za wyróżnienie.

W roku 1944 wzrosło zapotrzebowanie na loty do Polski i innych krajów, co znacznie wzmogło wysiłek załóg 1536 Eskadry. W nocy z 5 na 6 stycznia wykonano z Campo Cassale pierwszy lot do Polski, a potem organizowano kolejne wyprawy do kraju, korzystając z długich, zimowych nocy, aby dostarczyć jak najwięcej zaopatrzenia bojowego dla walczącego podziemia. Najwięcej zrzutów dokonano w kwietniu i maju. Natychmiast wciągnięto do wypraw nad Polskę nowe liberatory. Dolot odbywał się trasą nr 3, wiodącą przez Adriatyk, potem maszyny kierowały się na charakterystyczny przylądek na wybrzeżu dalmatyńskim, tzw. „Cycek" (na prawo od portu Hercegovi), przez Czarnogórę do załomu Dunaju, w kształcie litery delta, na prawo od miasta Novi Sad, nad Nizina Węgierską, pomiędzy Balatonem i Budapesztem, Słowacją, nad polskimi Tatrami, na prawo od Krakowa i „Wisłodromą" do Warszawy.

W nocy z 3 na 4 kwietnia zrzucono koło Mińska Mazowieckiego I grupę lotników — oficerów i podoficerów — wśród których byli piloci, nawigatorzy, strzelcy i personel techniczny, przeszkolony w Anglii w pilotażu, nawigacji i obsłudze technicznej niemieckich samolotów, ponieważ liczono się z ich zdobyciem w czasie planowanego powszechnego powstania i użyciem ich przeciw Niemcom. II grupę lotniczą, płk. pil. Jana Białego (pierwszego dowódcę 304 dywizjonu bombowego Ziemi Śląskiej), w skład której wchodziło czterech oficerów lotnictwa, zrzucono 28 kwietnia o godzinie 4.15, około piętnastu kilometrów od Lublina. Pilotem liberatora był chor. Stanisław Kłosowski, a nawigatorem — mjr obs. Stanisław Król, dowódca 1586 Eskadry. W tym okresie dokonano też największego dotychczas zrzutu, przy jednorazowym użyciu dziesięciu halifaxów i liberatorów, na zrzutowisko „Krokodyl" w lasach janowskich. Uczestniczyły w tej akcji maszyny polskie, brytyjskie i południowoafrykańskie.

29 maja wystartowała z lotniska Campo Cassale dziwna trójka samolotów, która uformowała się w szyk dopiero nad Adriatykiem. Niżej, na przodzie klucza, leciała brytyjska transportowa dakota, a nad nią, nieco z tyłu, osłaniały ją dwa polskie liberatory — GR—R nr EV978, kpt. pil. Michała Goszczyńskiego i GR—S nr BZ890, kpt. pil. Zbigniewa Szostaka. Obydwa olbrzymy leciały z lekko wychylonymi klapami, na małych obrotach silników, ponieważ prędkość dakoty była znacznie mniejsza od prędkości liberatorów. Niezwykły widok powoli sunącego klucza o tak dziwnym składzie maszyn zaszokował Niemców do tego stopnia, że chociaż maszyny były doskonale widoczne, nie odezwało się ani jedno działo podczas przelotu nad Jugosławią. O zmierzchu samoloty rozstały się nad Dunajem. Szybko oddalające się liberatory poleciały na wykonanie swych zadań w Polsce, a zadanie konwojowanej dakoty nie było wówczas znane polskim załogom liberatorów. Dopiero o wiele później dowiedziano się, że dakota lądowała w rejonie Zaborowa pod Tarnowem, na lądowisku „Motyl", w ramach akcji Most II.

Wiosną 1944 roku przeprowadzono również zuchwałe zrzuty dla partyzantów, na pole położone w pobliżu lotniska Lwów — Skniłów, obsadzonego przez niemiecką Luftwaffe.

Nocą z 30 na 31 maja dokonano ostatniego zrzutu zbiorowego sześciu cichociemnych, z halifaxa, w okolicy Łańcuta. Od lipca zrzucano skoczków wyłącznie z liberatorów, które były znacznie szybsze i zapewniały skoczkom większą wygodę lotu. Zaś halifaxy wykorzystywano tylko do transportu zasobników, wyrzucanych na spadochronach i paczek zrzucanych bez spadochronów.

Wiosenny bilans wypraw 1586 Eskadry przedstawiał się imponująco. W kwietniu wykonano pięćdziesiąt dwa loty do Polski i czterdzieści dwa loty do innych krajów, a w maju siedemdziesiąt dwa loty do Polski oraz sześćdziesiąt sześć lotów do innych krajów. Wykonanie tak dużych ilości lotów w tych miesiącach odbyło się dzięki otrzymaniu dodatkowych trzech halifaxów. Z powodu krótkich nocy loty do Polski wstrzymano w czerwcu, ale kontynuowano loty do Jugosławii, Grecji i północnych Włoch, zaliczając sto sześćdziesiąt dziewięć lotów bez strat. W połowie czerwca na stanie 1586 Eskadry było dziewięć „Halifaxów" Mk. II/s.IA. oraz Mk.V, z dziewięcioma kompletnymi załogami i jedną zapasową oraz trzy „Liberatory" Mk VI, z niepełną obsadą dwie i pół załogi.

Dotychczasowy dowódca 1586 Eskadry Zadań Specjalnych, mjr. obs. Stanisław Król oraz jego pilot chor. pil. Stanisław Kłosowski zostali odznaczeni za męstwo i ofiarne, skuteczne loty nad Polskę Złotymi Krzyżami Orderu Virtuti Militari, odchodząc na odpoczynek międzyoperacyjny, a dowództwo eskadry przyjął mjr. obs. Eugeniusz Arciuszkiewicz, który dowodził eskadrą do końca wojny.

W drugiej połowie 1944 roku wprowadzono do nawigacji na obszarze Polski, system radarowy „Rebeka-Eureka", który umożliwiał wykonywanie zrzutów w ściśle określonych miejscach, a szczególnie w warunkach ograniczonej widoczności, przy braku charakterystycznych punktów topograficznych, jak i w rozległych połaciach lasów.

Ze względu na krótkie noce w lipcu, załogi 1586 Eskadry latały do innych krajów, wykonując dziewięćdziesiąt dziewięć lotów, ale w połowie miesiąca znów podjęto wyprawy do Polski, które stały się niebezpieczniejsze, niż dotychczas, ponieważ w rejonach Budapesztu, Krakowa, Nowego Sącza i Dęblina Niemcy nagromadzili duże ilości reflektorów, artylerii przeciwlotniczej oraz myśliwców nocnych, polujących na załogi, latające do Polski. Mimo to wykonano do Polski trzydzieści siedem lotów.

Nocą z 24 na 25 lipca polski „Liberator" B.Mk.VI aż do zmroku eskortował dakotę z mieszaną załogą brytyjsko-polską lecącą na operację Underwritter (Most III), po części broni „V" (Vergeitugswaffe — broni odwetowej) zdobyte przez polski ruch oporu.

Latem stan maszyn w eskadrze był niepokojący. Samoloty po intensywnych lotach, trwających od sześciu do jedenastu godzin były zużyte i nosiły ślady licznych trafień, a załogi były już wyczerpane zbyt dużym nasileniem lotów. Niektórzy lotnicy wykonali drugą lub trzecią turę lotów operacyjnych i odchodzili na przerwę międzyoperacyjna. Na początku lipca w eskadrze było tylko siedem kompletnych załóg z dużym doświadczeniem bojowym, ale i te kończyły już swoje tury operacyjne. W drugiej połowie miesiąca rozpoczęto wymianę personelu latającego. Z Wielkiej Brytanii przybywały nowe załogi, wyszkolone na halifaxach, zastępując latające od wielu miesięcy nad Polską. Były to przeważnie załogi młode, bez doświadczenia, a te, które nawet miały doświadczenie, nie znały warunków pracy w eskadrze, przyzwyczajone do pomocy nawigacyjnych, których tutaj nie było, nie potrafiły latać w złych warunkach atmosferycznych czy w górach, gubiły się i błądziły, znacznie powiększając straty eskadry.

1 sierpnia 1944 roku wybuchło powstanie warszawskie, które nie tylko zaskoczyło dowództwo 1586 Polskiej Eskadry Zadań Specjalnych, ale i dowództwo RAF-u oraz sztab wojsk sprzymierzonych, z którymi nie uzgodniono tej akcji w Warszawie. Nie uzgodniono nawet daty rozpoczęcia powstania z brytyjskim Wydziałem Działań Specjalnych (Special Operation Executive), zajmującym się wywiadem, akcjami sabotażowymi i współpracującym z wszystkimi armiami podziemnymi w okupowanych krajach Europy. Sprawę lotów nad Warszawę komplikowała również sytuacja wojskowa w Polsce, ponieważ Warszawa leżała już na terenach objętych działaniami Armii Radzieckiej. Wszystkie zamierzone poczynania wojskowe dowództwo RAF-u musiało uzgodnić z dowództwem radzieckim. Ponadto działania inwazyjne na zachodzie Europy, angażowały każdego lotnika i nie można było liczyć na zasilenie 1586 Eskadry nowymi załogami.

W 1586 Eskadrze Zadań Specjalnych było tylko siedem halifaxów, których pilotami byli: kpt. Szrajer, ppor. Florian ppor. Kwiatkowski, chor. Owsiany, chor. Szmaciarz i sierż. Lewandowski. Z posiadanych maszyn, jeden halifax był w trakcie przekazania do remontu, a drugi w czasie prób po remoncie. Zaledwie pięć załóg było przeszkolonych na halifaxach, nie posiadając większego doświadczenia w operacjach zrzutowych. Oprócz halifaxów na stanie eskadry były trzy liberatory. Z tego dwie maszyny obsadzone były nowymi, młodymi załogami, a tylko jedna miała doświadczoną załogę kpt. pil. Zbigniewa Szostaka, latającą od szeregu miesięcy ze zrzutami nad Polskę i do innych okupowanych krajów. W noc poprzedzającą wybuch powstania warszawskiego, gdy nic nie wiedziano o jego rozpoczęciu, wszystkie załogi 1586 Eskadry poleciały ze zrzutami w różne regiony Polski. Dwie maszyny, z powodu wadliwego funkcjonowania silników zawróciły z trasy, jedną zestrzelili Niemcy nad Węgrami, a pozostałe, z powodu pogarszających się warunków atmosferycznych, nie doleciały do placówek w kraju. Jednym słowem, wyprawa zakończyła się zupełnym fiaskiem. Osłabiona jednostka nie była przygotowana do działań na większą skalę.

W takiej sytuacji wstrzymano wszystkie urlopy w 1586 Eskadrze i zatrzymano lotników, którzy już wylatali swoje kolejki lotów bojowych i powinni przejść na zasłużony odpoczynek. Pośpiesznie naprawiano samoloty. Mechanicy nie spali po kilkanaście godzin, aby jak najlepiej przygotować maszyny do trudnych lotów nad Warszawę. Ponieważ warunki atmosferyczne w dniach 2 i 3 sierpnia nie pozwalały na podjęcie lotów do stolicy Polski, załogi eskadry wykonały tylko trzy loty do północnych Włoch. Pierwszą wyprawę do Warszawy zorganizowano dopiero nocą z 4 na 5 sierpnia a uczestniczyło w niej czternaście samolotów, w tym sześć polskich — trzy halifaxy i trzy liberatory z 1586 Eskadry Zadań Specjalnych.

Tej nocy celem zrzutów były: plac Krasińskich, Ogród Saski i cmentarz żydowski. Trzy polskie liberatory i jeden halifax poleciały nad miasto, a pozostałe halifaxy dokonały zrzutów nad Puszczą Kampinoską i Lasem Kabackim. Zrzuty wykonano na małych wysokościach od stu do stu pięćdziesięciu metrów nad ziemią, przy wychylonych klapach i wysuniętych podwoziach oraz prędkości około dwustu dziesięciu kilometrów na godzinę. Odtąd startowały kolejne wyprawy z lotniska Campo Cassale, z pomocą powstańczej Warszawie. Często latano nad Warszawę po kilka nocy z rzędu. Lotnicy nie szczędzili siebie i maszyn.

Loty nad powstańczą Warszawę wymagały wyjątkowych walorów pilotażowych, nawigacyjnych, wytrzymałości fizycznej i psychicznej, a przede wszystkim niesłychanej odwagi.

8 sierpnia do 1586 Eskadry przybyło sześć nowych, kompletnych załóg, 11 sierpnia, następne dwie załogi i 25 sierpnia jeszcze cztery załogi. Niestety, nie przeszły one specjalnego przeszkolenia, a niektóre z nich nie ukończyły nawet pierwszej kolejki lotów bojowych w dywizjonach bombowych. Toteż włączenie takich załóg do lotów operacyjnych nad Warszawę, powodowało znaczniejsze straty od przeciętnych.

Z wyprawy nad Warszawę wykonanej nocą z 12 na 13 sierpnia, z kilku halifaxów powrócił tylko jeden — GR-N nr JD230 — kpt. nawig. Romana S. Chmiela, który dokonał zrzutu z wysokości dwustu metrów, w okolicy placu Krasińskich, przy czym podczas dolotu nad cel, w chmurach dymu pożarów, o mało nie zderzył się z mostem Poniatowskiego. Po przeanalizowaniu pierwszych strat załóg w lotach nad Warszawę, dowództwo RAF-u kilkakrotnie zawieszało loty nad stolicę Polski, jak również wydało szereg zarządzeń w celu zapobieżenia całkowitemu wyniszczeniu jednostek specjalnych, do których należała także 1586 Eskadra.

W czasie wielkiej wyprawy nad Warszawę — kilkudziesięciu samolotów polskich, brytyjskich i południowoafrykańskich — w nocy z 14 na 15 sierpnia 1586 Eskadra straciła pierwszego liberatora. W drodze powrotnej z tej akcji, wczesnym rankiem 15 sierpnia, po stoczonej, zaciekłej walce z niemieckimi myśliwcami, z których jednego załoga liberatora zestrzeliła w rejonie wsi Mieszkowice koło Bochni, liberator kpt. pil. Zbigniewa Szostaka, celnie trafiony przez Niemców, eksplodował w powietrzu i cała załoga zginęła: kpt. pil. Zbigniew Szostak, kpt. nawig. Stanisław Daniel, sierż. pil. Bielicki, chor. Malczyk, sierż. strz. Dubowski, sierż. mech. pokł. Rutkowski i sierż., rtg Witek. Kpt. pil. Zbigniew Szostak był najmłodszym przedwojennym pilotem P.L.L. „LOT". Za loty bojowe na wellingtonie posiadał już Srebrny Krzyż Orderu Virtuti Militari i czterokrotnie Krzyż Walecznych. 15 września 1944 r. odznaczono pośmiertnie kpt. pil. Zbigniewa Szostaka Złotym Krzyżem Orderu Virtuti Militari, którym to odznaczeniem uhonorowano tylko ośmiu polskich lotników w Wielkiej Brytanii.

W połowie sierpnia na stanie 1586 Eskadry pozostał tylko jeden liberator, ale pod koniec miesiąca jednostka otrzymała uzupełnienie i znów posiadała trzy maszyny tego typu. W sierpniu 1586 Eskadra operowała bardzo intensywnie, pełnym wysiłkiem załóg i maszyn, wykonując osiemdziesiąt lotów ze zrzutami nad powstańczą Warszawę, trzy loty nad inne zrzutowiska w Polsce i czternaście lotów do północnych Włoch, tracąc osiem załóg, w tym siedem w lotach nad Warszawę.

Wszystkie loty do Polski były koordynowane przez placówki Oddziału VI Sztabu Naczelnego Wodza, działające we Włoszech pod kryptonimem „Jutrzenka", a znajdujące się w miejscowościach Latiano i Ostunia, gdzie był nasłuch radiowy i otrzymywano informacje z Polski. W tych miejscowościach znajdowały się również punkty zborne cichociemnych, wyczekujących na loty przerzutowe.

W ostatnich dniach sierpnia stan 1586 Eskadry uzupełniono dziewięcioma halifaxami, a po tygodniu dostarczono jeszcze dziewięć maszyn tego typu. Samoloty „Halifax" Mk. II/S.IA oraz Mk.V załogi polskie odbierały z Maison Blanche w Algierze. Powiększono również stan osobowy personelu latającego do siedemnastu kompletnych załóg i jednej zapasowej. Mimo to intensywne loty sprawiły szybkie zużycie się maszyn oraz wyczerpanie załóg i we wrześniu 1586 Eskadra nie była już zdolna do takiego wysiłku, jak w sierpniu. Wykonano tylko siedemnaście lotów do Warszawy oraz dwadzieścia pięć lotów do innych krajów Europy południowo-wschodniej. Ostatnią wyprawę ze zrzutami dla powstańców warszawskich, przeprowadzono w nocy z 20 na 21 września. Kontynuowanie lotów do stolicy Polski uniemożliwiła fatalna pogoda. Od 1 sierpnia do 21 września 1586 Polska Eskadra Zadań Specjalnych straciła aż siedemnaście załóg w lotach nad Warszawę, a pomagające w tej operacji jednostki brytyjskie, przy wykonaniu stu sześnastu lotów nad powstańczą Warszawę, straciły aż dziewiętnaście załóg. W polskiej 1586 Eskadrze Zadań Specjalnych powstanie warszawskie przeżyły tylko dwie załogi, latające nad Warszawę od początku do końca powstania. Podczas powstania warszawskiego jednostka polska oraz pomagające jej jednostki brytyjskie wykonały około dwustu lotów, zrzucając ponad czterdzieści ton uzbrojenia i ekwipunek, z czego mniej niż połowę przejęli powstańcy, dużą część przechwycili Niemcy, a reszta zginęła w płonących budynkach Warszawy lub utonęła w Wiśle.

W październiku wznowiono loty do Polski oraz kontynuowano loty do Czechosłowacji, Austrii Bułgarii, Jugosławii i Grecji, niosąc pomoc tamtejszym ruchom oporu i armiom podziemnym. Do Polski wykonano dwadzieścia lotów ze zrzutami, a do wymienionych krajów dwadzieścia osiem lotów. W listopadzie 1586 Eskadra otrzymała uzupełnienie w załogach i sprzęcie oraz przywrócono jej etat pełnego dywizjonu, a w dowód zasług w lotach nad powstańczą Warszawę, nadano jej nazwę: 301 Dywizjonu Ziemi Pomorskiej im. Obrońców Warszawy, zachowując jednak charakter jednostki specjalnego przeznaczenia. W listopadzie i grudniu 301 dywizjon wykonał trzydzieści pięć lotów do Polski oraz dziewięćdziesiąt dziewięć lotów do innych krajów.

Ostatnie dwa loty do Polski ze skoczkami wykonano na liberatorach nocą z 26 na 27 grudnia 1944 r., zrzucając z pierwszego samolotu sześciu cichociemnych w rejonie Nowego Targu, a z drugiego pięciu członków Brytyjskiej Misji Wojskowej na placówki odbioru koło Żarek, w rejonie Częstochowy. Natomiast ostatnią operacją zrzutową, w której uczestniczyło kilka halifaxów, przeprowadzono w nocy z 28 na 29 grudnia, w kieleckim i krakowskim, pomiędzy miejscowościami Pińczów — Busko — Miechów. Dla uniknięcia ewentualnych kolizji w przyfrontowym obszarze działań powietrznych, trasy i czasy tych wypraw uzgodniono z dowództwem lotnictwa radzieckiego. Dolot odbywał się szlakiem powietrznym, zbliżonym do trasy nr 5: nad Adriatykiem, Czarnogórą, określonym mostem na Dunaju (w części Jugosławii, oswobodzonej przez Armię Radziecką), następnie nad Węgrami i oswobodzoną częścią Polski, aż do rejonu Lublina gdzie wykonywano zwrot o dziewięćdziesiąt stopni na zachód i przelot bramą powietrzną nad frontem na Wiśle. Potem samoloty odlatywały do rejonów wyznaczonych zrzutowisk.

W styczniu 1945 r. dywizjon zaliczył tylko dziewięć, a w lutym osiemdziesiąt sześć lotów do innych krajów południowej Europy. 15 marca 301 Dywizjon Ziemi Pomorskiej im. Obrońców Warszawy przeniesiono do Transport Command (Lotnictwa Transportowego). Wysłużone samoloty przekazano Brytyjczykom, pozostawiając je na lotnisku Campo Cassale, a lotnicy polscy udali się koleją do Neapolu, aby stamtąd statkiem przez Gibraltar powrócić do Anglii.

Najaktywniejszymi lotnikami polskiej jednostki byli: nieżyjący kpt. pil. Zbigniew Szostak, mjr. obs. Stanisław Król oraz lotnicy, którzy wojnę przeżyli: kpt. pil. Jan Cholewa, mający na swym koncie trzydzieści dwa loty do Polski, w tym siedem nad powstańcza Warszawę oraz kpt. pil. Michał Goszczyński, który był nad Polską trzydzieści razy.

W okresie od listopada 1941 r. do końca lutego 1945 r. wysiłek bojowy jednostki w służbie zadań specjalnych przedstawia się następująco: 423 loty do Polski w 3.892 godzinach oraz 912 lotów w 6.041 godzinach do innych krajów. Łącznie wykonano: 1.335 lotów w 9.933 godzinach, zrzucając dla ruchu oporu w Polsce i innych krajach 1.577 ton materiału wojennego oraz 693 skoczków. Poległo 167 lotników, 18 zaginęło, a 49 dostało się do niewoli. Straty łączne wynoszą 234 lotników, co stanowiło 33 i pół załogi, a więc pięciokrotnie więcej, niż wynosił etatowy stan jednostki. Z wypraw do Polski nie powróciły 24 załogi, a 9 załóg z wypraw do innych krajów. Jeżeli do tego smutnego bilansu dodamy straty dywizjonu 301, poniesione w służbie Bomber Comand (Lotnictwa Bombowego), to jednostka w czasie całej swej działalności straciła 420 lotników, w tym poległych aż 323 lotników, a więc poniosła największe straty z wszystkich polskich dywizjonów, w służbie Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii. Dodać należy, że w jednostce tej, pod różnymi nazwami, poległo 55 absolwentów przedwojennej Szkoły Podoficerów Lotnictwa dla Małoletnich w Bydgoszczy i Krośnie.

Służba w jednostce zadań specjalnych była najbardziej niebezpieczna ze wszystkich jednostek lotniczych, operujących w składzie Polskich Sił Powietrznych, a mimo to bohaterscy polscy lotnicy zgłaszali się do niej ochotniczo, aby walczyć o wolność Ojczyzny i pomagać tym, którzy na tę pomoc najbardziej czekali — armiom podziemnym całej Europy, walczącej ze znienawidzonym wrogiem. Spełnili swój obowiązek z honorem, jak na prawdziwych lotników przystało.

RYSZARD BINKOWSKI

Zakażenie rury

Na rynku mówią, że kiedy tutaj było miasto wydzielone na prawach powiatu miejskiego, to nad Wartą była jeszcze wiocha. Tutaj zawsze było więcej mieszkańców, fabryk i szkół. Teraz nie ma nawet za co wybudować szpitala, a Sieradz ma nawet pałace, przyłączył do swoich włości okoliczne wsie i pod względem obszaru figuruje na mapie jako licząca się metropolia wojewódzka.

W połowie października kraj się dowiedział, że czterdziestotysięczna Zduńska Wola jest największym miastem przemysłowym w województwie sieradzkim i blask stolicy jakby przybladł.

Stało się to za sprawą wodociągu miejskiego. A jak w rurach coś trzaśnie, to wyłącza się wodę, potem się ją puszcza i z kranów wali przez jakiś czas płyn przypominający barwę herbaty z bufetu „Warsu" z domieszką rdzy.

Z wodociągu w Zduńskiej Woli wywaliło się tyle brudu, że dostrzeżono go gołym okiem nie tylko w Sieradzu, ale i w Warszawie.

11 października na ostatniej stronie „Głosu Robotniczego" ukazał się następujący anons: „Ważne dla Zduńskiej Woli. Przedsiębiorstwo Komunalne w Zduńskiej Woli informuje odbiorców z wodociągu miejskiego, że dostarczana woda nadaje się do picia wyłącznie po przegotowaniu".

Woda miała być chlorowana, co powinno zmienić jej smak i zapach. W ten sposób Przedsiębiorstwo Komunalne ostrzegało, że z wodą coś nie gra. Nie było powodu do paniki, ale zduńskowolanie przeczytali i zrobiło to na nich wrażenie.

Ogłoszenie zamieszczono pośród nekrologów.

W poniedziałek 15.X na łamach „GR" ukazała się informacja obwieszczająca w tytule, że w Zd. Woli chloruje się wodę. Żadna sensacja, bo w Polsce tu i ówdzie wodę chloruje się na co dzień. Istotne było to, co bezimienny rozmówca powiedział autorowi notatki. Otóż ów anonim stwierdził, że jeśli zdarza się awaria wodociągu, to do rur mogą się przedostać zanieczyszczenia. Wtedy włącza się urządzenie zwane chloratorem, zanieczyszczenia są neutralizowane i problem znika. Teraz w Zduńskiej Woli również zdarzyła się awaria, do sieci dostały się zanieczyszczenia, ale chlorator był niesprawny.

Autor notatki skonstatował, że komuś zabrakło wyobraźni i stąd całe nieszczęście.

Mnie natomiast nasunęło się kilka pytań. Kiedy i gdzie nastąpiła awaria wodociągu? Skąd się wzięły zanieczyszczenia? Czy kiedykolwiek były w Zduńskiej Woli takie zanieczyszczenia? Kiedy ostatnio chlorowano tam wodę?

Odpowiedź nadeszła tego samego wieczora. Włosy zjeżyły się na głowie. Radio i telewizja podały, że Zduńska Wola od kilku dni pozbawiona jest wody, która uległa zatruciu.

I wówczas spotkało mnie wielkie szczęście. Zadzwonił do mnie osobiście mój szef.

— Pojedziesz do Zduńskiej Woli — rzucił na przydechu, wielce zemocjonowany.

Ponieważ według kartotek milicyjnych jestem już stary, po latach reporterskiej rajzy prawa noga odmawia mi posłuszeństwa, tak że nie mogę dojść do lekarza (i dlatego nigdy tam nie byłem) więc pomilczałem chwilę z nadzieją, że szef pchnie do ataku młodego reportera, po czym spytałem:

— A po co?

— Oglądałeś dziennik telewizyjny?

— Tak, ale...

— Woda może być spod Męki, gdzie sypią popioły! — zagrzmiał szef. — A poza tym jest awaria, jasne?

— No, spróbuję...

W słuchawce zabrzmiał dźwięk przypominający łoskot przyboju na dzikich skałach. To falowała zjeżona czupryna mojego szefa.

Pojechałem.

Rankiem, we wtorek 16 października znalazłem się na dworcu w Zduńskiej Woli. Spodziewałem się ujrzeć jakiegoś omdlałego zawiadowcę stacji, ale nic z tych rzeczy. Ulica Słowackiego pusta, cicha, spokojna, bloki mieszkalne obok jakby wymarłe.

Na szybie wystawowej cukierni Janusza Fidlera biała klepsydra: „Na polecenie Sanepidu (skażenie wody) zakład nieczynny do odwołania. Zamówienia na sobotę nie będą realizowane (odbiór pieniędzy we wtorek)".

Bar — smażalnia kat. V Haliny Olejnik. „Na podstawie decyzji Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Zd. Woli z dn. 11.X.84 r. bar zostaje zamknięty na czas nieograniczony do odwołania z powodu niezdatności wody".

Obok, jako podkładka, imienne pismo maszynowe, ostemplowane przez wojewódzki Sanepid. Białe klepsydry na szybach barów, kawiarni, restauracji, ciastkarni, piekarni, nieczynna jedna masarnia. Dowiaduję się, że zamknięto placówki zbiorowego żywienia oraz produkujące żywność z obawy, że będzie się w nich używać do zmywania surowej wody. Jednakże zakłady czerpiące wodę z własnych, lokalnych ujęć, nie musiały przerywać pracy.

Kolej pracuje bez zakłóceń, ponieważ stacja Karsznice korzysta z wodociągu PKP.

Słyszę, że na tym interesie tracą przeważnie ajenci i właściciele prywatnych zakładów spożywczych. Nie napijesz się, człowieku, w przytulnym lokalu nawet po trzynastej.

Ale jest dziewiąta i oto na ulicy Browarnej pojawia się facet w zawadiacko przekrzywionym berecie. Ma twarz wygnanego z raju anioła. Zamiast boleć nad nędzą człowieczą, podśpiewuje dziarsko w rytm swego chwiejnego kroku.

— Panie — pytam — co z tą wodą?

— A jest, jest! Zaprowadzę do źródła, kolego?

— Bóg zapłać, sam trafię.

Ściągnął beret na drugie ucho, łypnął przekrwionym okiem.

— Ty, a ty skąd?

— Z Pabianic.

— Wpuścili?

— Uhm.

— Cholera! Wokół miasta stoi kordon wojska. No tak, ale oni nie wypuszczają tych skażonych...

Faktycznie, widziałem wojsko. W pociągu siedziałem na jednej ławce z porucznikiem który jechał do pracy.

Myślałem, że zobaczę na ulicach beczkowozy oblężone przez tłumy spragnionych, karetki wożące na sygnale zatrutych, ale nic mi się, psiakrew, nie sprawdza. Woda jest nawet na ulicy. Kałuże jak małe bajorka, zasypują je żółte liście.

Ale kolejki, owszem, widać. Przeważnie do rzeźnika. A jedna do Motozbytu.

U rzeźnika dyskusja.

— Kochana, ja ci mówię, że wszystkie dzieci wywieźli do szpitala zakaźnego w Wieluniu.

— A po co? Przecież wodę można pić. Ja piję...

— He, he! Do czasu. A jedno cygańskie dziecko już zmarło...

Emeryt w pilśniowym kapeluszu toczy wokół bystrym okiem zza okularu w drucianej oprawce.

— Nie wierzę ich propagandzie — przemawia tonem proroka. — Wszystko kryją, psiakrew! A faktem jest, że osiemdziesiąt osób choruje na czerwonkę. Są już ofiary śmiertelne...

— A ja słyszałam, że dur brzuszny.

— Panie, Sieradz zatruł Zduńską Wolę, nie ma to tamto...

Zakręciło mi się w głowie. Przytrzymując się płotów, murów i drzew, by dać wytchnąć obolałej nodze, dowlokłem się do ulicy Łaskiej 13, gdzie mieści się Wojewódzka Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna z siedzibą w Zduńskiej Woli. Sekretarką odbierała akurat telefon wzywający dyrektora stacji, Józefa Hillebranda, do wojewody sieradzkiego. Na mój widok dyrektor począł narzekać na inwazję prasową. Informacje w gazetach już były, więc po co ten nalot? Jeszcze nie wiedziałem, że w Sieradzkiem będą się stykać na każdym kroku z nową interpretacją prawa prasowego, toteż powiedziałem nieśmiało, że skoro szef nie ma czasu, to może upoważnić pracownika do udzielania mi informacji. J. Hillebrand miał jednak sprawę wody w małym palcu i najlepiej, jakby sam ją wyjaśnił. Zaproponowałem, że pojadę z nim do Sieradza i w drodze udzieli mi informacji, na co dyrektor się zgodził. Ale kiedy wyszedł gdzieś na chwilę, do sekretariatu wtargnął z niespodziewaną dla mnie odsieczą młody reporter z „Życia Warszawy". Dyrektor mając dość użerki z prasą, skierował nas do szefowej działu higieny komunalnej, mgr Teresy Lafery.

Pani Teresa jako niedawna solenizantka była w pogodnym nastroju. Otaczały ją kwiaty — wyraz wdzięczności tych, co dzięki pani Teresie nie zostali zatruci.

Z wyjaśnień mgr Lafery wynika czarno na białym, że 3 października w próbkach wody z wodociągu miejskiego znalazły się ślady silnego zanieczyszczenia. Źródła nie udało się ustalić, stwierdzono jednak, że chodzi o zanieczyszczenie bakteriologiczne. Prezentowało grupę bakterii coli, które rozprzestrzeniły się znacznie, o czym świadczyły próbki wody z różnych punktów wodociągu. Bakterie coli nie zagrażają bezpośrednio życiu, ale ich infekcja stanowi zagrożenie dla zdrowia. Powiadomiono więc Głównego Inspektora Sanitarnego.

Wojewódzki inspektor sanitarny podjął decyzję o zamknięciu wodociągu. Ale do tego nie doszło. I chyba dobrze się stało, bo dopiero wtedy byłaby infekcja. Zatkana kanalizacja, przepełnione ubikacje, zaduch w małym, dwupiętrowym szpitalu, gdzie łóżkami zastawione są przejścia i korytarze.

Sanepid zadecydował o zamknięciu zakładów zbiorowego żywienia i produkujących żywność. Do szpitala, Państwowego Zakładu Opieki Społecznej, żłobków i przedszkoli wodę dowożono z hydrantu w pobliżu ujęcia na peryferiach, gdzie woda była czysta. Z tym, że czysta woda z ujęcia ciągniętą była wątpliwej czystości wężami do wątpliwej czystości beczkowozów i magazynowana w nie przygotowanych na ten cel zbiornikach.

W kilka godzin po zamknięciu zakładów Przedsiębiorstwo Komunalne rozpoczęło chlorowanie. Proces chlorowania przedłużał się, ponieważ bakterie nie dają się pogonić i nie chcą rosnąć z godziny na godzinę, w związku z czym pierwszy odczyt robi się po 24 godzinach, zaś końcowy wynik można uzyskać po trzech dobach i dopiero wówczas stwierdzić, czy surowa woda jest już zdatna do picia, czy też jeszcze nie.

Tak więc PK wciąż płucze i chloruje końcówki sieci, a pracownicy Stacji jeżdżą po mieście i zbierają próbki z hydrantów. Pojechałem z nimi i straciłem pudełko zapałek. Pożyczyłem je pracownikowi, który miał na drucie tampon waty, moczył w denaturacie, podpalał i odkażał przed pobraniem próby wylot ulicznego hydrantu.

Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Ale ludzie wiedzą swoje i na boku snują własne komentarze. Mówią:

— Woda śmierdzi, bo mieszają ze ściekami.

— W wodociągach, proszę pani, pływają żywe szczury!

— Akurat! Szczurze udka wylatują z hydrantów!

Są to szczury tresowane, które prują kraulem w rurach pod wysokim ciśnieniem. Jednak niektóre to ciśnienie rozrywa na kawałki. Sęk w tym, że nikt jakoś nie przedstawił dowodu rzeczowego. Dlatego ja też wiem swoje. Kiedy wszedłem do pani Lafery, zobaczyłem na biurku filiżankę kawy.

— Przepraszam — spytałem — skąd pani bierze wodę?

— Z kranu. Chce się pan napić?

— No, skoro pani już doświadczyła...

Napiłem się i żyję.

Jest kilka faktów bezspornych. W dniu, kiedy odkryto zanieczyszczenie bakteriologiczne, nie było awarii wodociągu. Owszem awarie zdarzały się, ale nie można określić, która stała się źródłem skażenia.

Od kilkunastu lat Sanepid nie notował zanieczyszczeń bakteriologicznych, w związku z czym wody nigdy nie chlorowano. Wodę czerpie się ze studni głębinowej poza miastem. Odżelaznia się ją stale, do czego służą cztery odżelaźniaki, ale nigdy nie stosowano chlorowania.

Nikt nie zna informatora, którego słowa pomieszczono w notatce „GR" z dn. 15.X.84 r.

Nikt nie wie, kto podał złowieszczą wiadomość, którą tego wieczora przekazały centralne stacje radia i telewizji. Albo powstały zakłócenia i zniekształcenia na łączach, albo ktoś użył tej zakażonej rury do dezynfekcji w sposób, powiedzmy, niewłaściwy. Był to strzał z grubej rury.

Gdyby się czerpało wodę powierzchniową, mogłyby się do niej dostać ścieki lub inne paskudztwa z fabryk. O sabotażu nie ma mowy, bo jak wpuścić do rur pod ciśnieniem bakterie? Ale kiedyś, przy naprawie rury, mogło się dostać trochę błota. W odłączonym sektorze odłożyło się jakieś paskudztwo, podgniło, a potem ruszyło z wodą. Pewnie dlatego milicja zainteresowała się wykazem awarii wodociągu. Milicjanci też ludzie, z powodu brudnej wody mają kłopoty ze swoją stołówką.

Ale ustalenie źródła zanieczyszczeń to ciężka sprawa. Wodociąg miejski ma budowę pierścienia, działa w układzie zamkniętym. Tu ciśnienie większe, tam niższe, więc zanieczyszczenie przemieszcza się, jak chce. Dzięki chlorowaniu woda staje się jednak coraz lepsza.

Mimo to w poniedziałek 15 października naczelnik miasta powołał specjalną komisję do zbadania przyczyn skażenia wody. Jednym z członków komisji jest mgr Barbara Błaszczyńska.

— Co ustaliła komisja?

— Jeszcze nic konkretnego. Dzisiaj mamy zebrać się ponownie. Wczoraj naczelnik kazał zrobić herbatę z tej „zatrutej" wody. Napili się wszyscy...

Wszyscy żyją, więc komisja może patrzeć pogodnie w przyszłość. Zresztą tak, jak większość mieszkańców Zduńskiej Woli. Nie było żadnego zatrucia ani wypadku śmiertelnego. Ludzie pytali, kiedy woda będzie dobra, kiedy ruszą stołówki itp. Albo czy wodę do zmywania trzeba gotować, a jak gotować, to czy pod przykrywką, czy bez. Ano, bez pokrywki wyparuje trochę chloru, ale bakteriom to nie pomoże. Jedna pani pytała, jakie choroby są w wodzie i czy można się kąpać. Figlarz jej doradził, że można, ale z zaciśniętymi ustami Jeden pan zapytał, czy można się golić, a drugi założył rozwód, ponieważ żona odmówiła mu stosunku po kąpieli z obawy, że on ją zainfekuje.

Na ujęciu wodnym robotnicy kończą drugą studnię głębinową. W jednym z pomieszczeń cztery akwaria, w których pluskają kolorowe rybki. Jasny dowód, że z wodą w porządku.

Inż. Dębski, mistrz ujęcia wodnego, w tym roku ukończył studia. Miał pracować w oczyszczalni ścieków, toteż w tym nie próbował się specjalizować. Ale ponieważ były mistrz ujęcia zmarł nagle na zawał, więc przyszedł tutaj. O pracy w chlorowni nie miał zbyt wielkiego pojęcia. A że w Zduńskiej Woli nigdy nie chlorowało się wody, więc Przedsiębiorstwo Instalacyjne z Łodzi wykonało chlorator byle jak, po czym przekonało zmarłego później inżyniera, że powinien przyjąć ten chlorator. Prawdę mówiąc, to w takiej sytuacji nie było nawet wystarczających zapasów chloru, a to, co było — dawno zwietrzało.

Inż. Bogdan Lejman, kierownik Zakładu Wodno-Kanalizacyjnego:

— Dziewiątego po południu otrzymałem decyzje o podjęciu chlorowania. Z chloratorem było źle. Przedsiębiorstwo Robót Instalacyjnych oświadczyło, że gwarancja minęła rok temu, więc nie będzie nic robić. Ale protokołu pogwarancyjnego nie było. Stracony dzień. Nazajutrz obejrzałem w Sieradzu działanie chloratorów. Bo u nas tego się nie używało, czysta woda idzie z pokładu górnej kredy. Po południu nakazano mi zamknąć wodociąg. Nie zgodziłem się, bo wynikłyby jeszcze większe kłopoty...

— A więc, jak piszą w gazecie, chlorator był niesprawny. Brak wyobraźni, tak?

— Chwileczkę! Jedenastego, czyli w dniu zamknięcia przez Sanepid wszystkich placówek, chlorator pracował. Był podłączony prowizorycznie, ale działał sprawnie...

Teraz można sobie pogdybać. Gdyby wyłączono wodociąg, pobrano próbki, potem puszczono wodę i znów pobrano próbki, być może udałoby się zlokalizować odcinek, na którym powstało źródło zanieczyszczenia. Długie chlorowanie zniszczyło źródło zanieczyszczenia.

Rzecz jasna, nie wprowadzono mnie do komisji, która zaczęła obradować u naczelnika miasta. Nie sądzę, aby komisja w ciągu godziny ustaliła źródło i przyczyny zanieczyszczenia. Wojewoda sieradzki uznał, że źródło tkwi w ludziach. Na wniosek wojewody naczelnik Zduńskiej Woli wymówił pracę dyrektorowi Przedsiębiorstwa Komunalnego, Zdzisławowi Cechowskiemu oraz młodemu inżynierowi, Jerzemu Dębskiemu. Dębski przeżył w ten sposób chrzest bojowy na stażu, po czym na znak protestu wypił szklankę surowej wody. Bogdan Lejman otrzymał karę dyscyplinarną.

Jan Misiak, kierowca furgonetki marki żuk:

— Sieradz odgrywa się na Zduńskiej Woli. Wojewódzki Sanepid podlega wojewodzie, więc zwala wszystko na miejskie przedsiębiorstwo komunalne. Zdaje się, były już zanieczyszczenia po awariach, ale Sanepid tego nie badał...

Nie stwierdziłem, aby istniał jakiś antagonizm pomiędzy Sanepidem i Przedsiębiorstwem Komunalnym. W mieście wprawdzie cuchnie chlorem, ale jak zapewnił tego samego dnia dyr. J. Hillebrand, udało się zlokalizować sektor ze źródłem zanieczyszczenia, którego poziom systematycznie spada. Nie ma więc mowy o klęsce ekologicznej.

Wokół pałacyku Złotnickich, dawnych właścicieli miasta, ze starych drzew opadają miękko złociste liście. Jest to zjawisko normalne. Jesień idzie przez Zduńską Wolę.

Samowystarczalni

Nie mam czasu dosłownie na nic — poskarżył mi się mój przyjaciel, nauczyciel — polonista. Nie pamiętam, kiedy z żoną byłem w kinie, w teatrze... Zdziwiłem się. Ma przecież zawód, przy którym spędza w pracy połowę godzin mniej, niż przeciętny obywatel. Nie o to chodzi — powiedział — stajemy się powoli samowystarczalni... Tu nastąpił przydługi wywód. Na przykład samochód pożera nie tylko pieniądze, ale i czas. Fiacik mały — subiekcji dużo. Na wstawianie go do warsztatu z byle usterką przyjaciela nie stać. Biega więc za częściami, a potem oczywiście dłubie w nim. Żona się denerwuje, że nie pomaga jej przy zakupach. Z praniem dla pięcioosobowej rodziny też podołać nie może. Od kiedy usługi zdrożały, zaczęła robić przepierki w domu, na starej „Frani". Pralki automatycznej nie zdążył kupić — zdrożała. Zresztą wcale nie nosili się z takim zamiarem, dwa razy w miesiącu wozili bieliznę do pralni i wystarczyło. A teraz klops! Jest pielęgniarką, pracuje w szpitalu i wspólnie z mężem nauczycielem na nią już nie usklada. Dobrze, że choć przed paru laty kupili ten samochodzik, sfatygowany bo sfatygowany, ale jechać można. Trójka dzieciaków ma po rowerze też nie najnowszym i następny kłopot — do nich też brakuje części. Chłopcy szukają po całym mieście oski, główki, dętki. A ona siedzi, łata, sztukuje. Ze starych, bawełnianych podkoszulek szyje majtki dla całej rodziny. Leży tego już dziesięć par, ale nosić nie mogą, gumy nie ma. Nici też jej się kończą. Stała w zeszłym tygodniu prawie godzinę w kolejce, ale już nie sięgnęła jej ani jedna szpulka. Jak złamie się ostatnia igła do maszyny, znowu będzie trzeba biegać w sobotę na rynek, bo przecież normalnie w państwowym sklepie nie dostanie. Ile zabiegów wymaga wyprodukowanie jednej pary gatek. Pewnie, że wolałaby kupić, ale gdzie? Nabyła dwie pary, po 250 złotych sztuka w butiku, ale rozeszły się po pierwszym użyciu. Popękały w szwach, poleciały oczka — były widocznie szyte stępioną igłą owerlocka wszystko poprzecinane! Już się zdążyła wyspecjalizować w szyciu. Nawet spodnie dla chłopaków jej niestraszne. Zdobyła sztruks i uszyła. Pacjentka, która kiedyś leżała na jej oddziale pomogła załatwić. Inna chora, ale to już przed laty, wprowadziła ją w arkana sztuki krawieckiej. Teraz jak znalazł. Synowie mają portki nie gorsze od tych z Pewexu, a ona przynajmniej dziesięć tysięcy w kieszeni. Córce też wszystko uszyć potrafi. Są samowystarczalni, no prawie... Hydraulika, elektryka, stolarza, już od kilku lat nie było w mieszkaniu. Potrzeba jest najlepszą nauczycielką, zresztą nawet w telewizji są jakieś kąciki porad, pełno jest czasopism, książek, w których znajdzie się sposób na wszystko. I pan profesor szkoły średniej, co kiedyś siedział tylko w zeszytach, książkach, gazetach, chodził po wystawach, a do teatrów jeździł nawet do stolicy, teraz dłubie nie tylko w samochodzie, ale i w wyłącznikach świetlnych, potrafi również naprawić zepsuty syfon w klozecie, wymienić lampę w telewizorze. Nawet w czasie wakacji zajął się przez cały miesiąc dziećmi. Zabrał je ze sobą na obóz harcerski. Co za oszczędność pieniędzy. Dzięki temu mogli potem wszyscy razem wyjechać na dwutygodniowe wczasy nad morzem. A w czasie nieobecności męża i dzieciaków napełniała weki — będą zimą ogórki kiszone, kompoty, wymalowała też mieszkanie, oczywiście brat jej pomógł...

Przygląda się żonie mój przyjaciel. Postarzała się jakoś przez te ostatnie trzy lata. Do fryzjera chodzi i do kosmetyczki też. Tyle że to jej niewiele już pomaga. Przemęczona. Nocami pracuje, albo w szpitalu, albo w domu. Wszędzie wszystko musi być na czas — i obiad, i czyste ubranie. W pracy też ledwo ze wszystkim nadąża, zwłaszcza jak na noc zostaje sama, bez salowej. Taka stara nie jest, czterdzieści dwa lata, a zdarza się, że igły sama nawlec nie może, ręce jej się trzęsą.

Zresztą mój przyjaciel również czuje się nie najlepiej. Nie to żeby był chory — ale jest jakiś nadwątlony psychicznie — powiedział. Ciągle mu się zdaje, że czegoś nie zrobił, coś pozostało i to bardzo ważnego. Zupełnie jak w latach szkolnych przed ważną klasówką z matematyki, z której nie był celującym uczniem. Ale jak to się dzieje? Wybrał przecież fach, który lubi, jest doskonale przygotowany — skończył filologię polską i klasyczną. Swego czasu nawet drukował — trochę twórczości własnej, trochę przekładów. Dziś nie pamięta, kiedy miał w ręku książkę. Gazetę przegląda pobieżnie. O dziennik telewizyjny ledwo zahaczy okiem. Filmów z reguły nie ogląda zawsze w czymś dłubie, lub poprawia zeszyty. Najgorzej czuje się w pracy. Zwyczajnie boi się dyskusji ze swoimi licealistami. Wie, że z wieloma sprawami są bardziej na bieżąco niż on. Kiedyś nawet któryś z uczniów wygrzebał jego starą pisaninę. Nie bardzo wiedział co powiedzieć, gdy klasa przyparła go do muru, dlaczego teraz nic nie drukuje. Jakoś wybrnął, z twarzą, tak mu się przynajmniej wydawało. Na zakończenie naszej rozmowy wyznał, że właśnie czuje się jak książka zjedzona przez mole i myśli jak tu wcześniej pójść na emeryturę. Może wtedy będzie miał więcej czasu dla „ducha". Bił się w piersi, że nie jest już najlepszym nauczycielem, „jedzie" tylko dzięki dwudziestoletniej praktyce, jest najwyczajniejszym rutyniarzem. Dziwi się tylko kolegom, zwłaszcza tym młodszym, nie obarczonym rodzinnymi obowiązkami; oni też traktują pracę beznamiętnie, zginął gdzieś zapał, dobre tradycje. A przecież to liceum było najlepsze w województwie, wyszli z niego ludzie znani w kraju, poważani. On też jest jego wychowankiem, ale jakoś mu „nie poszło" — uważa, że w swoim zawodzie już nic dobrego nie zrobi. Martwi się tym, ale najbardziej o żonę. Idzie na swój ciężki oddział chirurgiczny wiecznie przemęczona. A jak się kiedyś pomyli? Tyle się słyszy ostatnio o wypadkach w szpitalach. On, jeśli błędu w zeszycie nie zauważy, nie rozwinie dyskusji na temat ostatniego wydania „Pegaza", dziury w niebie nie będzie. Ale ona, jeśli weźmie nie tę ampułkę? Czasem woli nie myśleć. Zresztą sama mu się przyznała, że najbardziej boi się ostrych dyżurów, marzy o spokojnej pracy w przychodni — Coś ty Małgośka — pociesza ją zwykle w takich momentach, w domu też ciągle dyżurujesz na ostro, a nie zdarzyło ci się jeszcze wsypać soli do herbaty i póki tego nie zrobisz, możesz z czystym sumieniem iść do pracy — tam też się nie pomylisz...

MŚCIWÓJ ZASADNY

W kręgu fantastyki

ANDRZEJ KRAKOWSKI

Namiestnik

Mokry znów pędził przez Miasto na skrzydłach wielkiego natchnienia. Szaleństwo płonęło w nim z tak ogromną potęgą, że nie czuł ani trochę zmęczenia. Wszystkie mięśnie i nerwy sprawowały się tak niezawodnie, że miał prawo być z siebie zadowolony. Gdzieś na margines jego wielkich spraw wyostrzone zmysły rzucały mu widmo ulic Miasta, a to go jeszcze bardziej rozpalało, bo ulice te były spokojne.

— Dokąd poszła manifestacja? — zapytał w biegu jakiegoś przechodnia, ale tamten wzruszył tylko ramionami, jakby nigdy o żadnej manifestacji nie słyszał. Mokry pobiegł dalej, śmiejąc się ze złośliwą ironią.

Prowadziło go coś, co odkrył w sobie niedawno i natychmiast nazwał ósmym zmysłem geniusza i prowadziło go nieomylnie. Już wkrótce usłyszał gwar i hałas przeróżnych instrumentów, więc pobiegł w tamtym kierunku.

Główną ulicą Miasta, bezładną, ogromną gromadą szedł tłum manifestantów. Niektórzy z nich szli na nogach, inni na rękach, jeszcze inni jechali wierzchem na grzbietach różnych stworzeń, albo na barkach swoich silniejszych przyjaciół. Część manifestantów miała trąby albo piszczałki, pozostali bili w werble lub hałasowali po prostu wyjąc i krzycząc.

Ubrani byli tak jak się komu podobało, albo wcale nie byli ubrani, a w ogóle czuli się wolni i chcieli, żeby każdy o tym wiedział. Zaczepiali wszystkich przechodniów i usiłowali zwrócić na siebie uwagę, ale mieszkańcy Miasta zbyt byli zaambarasowani swoimi sprawami, żeby się mieszać do cudzych, więc niewielu mogło się przyglądać kolorowemu pochodowi, a już zupełnie nikt nie znalazł czasu i ochoty, żeby się zastanawiać, co też to wszystko ma znaczyć.

Ponad głowami ludzi różnobarwnym łopotem powiewały transparenty i flagi. Niezdarnymi czarnymi kulfonami szczerzyły się buntownicze napisy w rodzaju: „Pieprzę utylitaryzm", albo bardziej wymyślne: „Pieprzę nienawiść i miłość", „Urodziłem się żeby stworzyć piekło", „Czyńmy miłość i wojnę", „Kocham tylko Zosię", „Mam w dupie Radę" i wiele, wiele innych równie awangardowych deklaracji.

Mokry po masce samochodu, który musiał się właśnie zatrzymać, wskoczył na jego dach i wybuchnął śmiechem tak głośnym, że manifestanci od razu go zauważyli. Na dwie minuty hałas się spotęgował, lecz zaraz po tym powitaniu zapanowała cisza, w której brzmiał tylko rechot poety. Stał on na dachu samochodu i wytykając palcem poszczególnych ludzi albo ich transparenty, pokładał się ze śmiechu. Nawet kiedy zaczął już mówić, musiał przerywać od czasu do czasu, żeby jeszcze trochę się pośmiać.

— Co robicie, przyjaciele i dokąd idziecie za tym wyleniałym baranem!? — zapytał, wskazując Paparę, który opuścił swoją chorągiewkę i stał z głową zwieszoną na piersi. Stojący najbliżej niego odsunęli się przezornie i tylko trzech mężczyzn o trochę zmęczonych spojrzeniach pozostało wraz z Paparą w pustym kręgu.

— Co chcecie zdziałać, nosząc w tę i z powrotem te swoje kolorowe kartoniki? — kontynuował poeta. — Czy po to otworzyły się dla was bramy wolności, żebyście przez nie poszli na ten swój idiotyczny spacer? Czy nie umiecie godniej dostąpić zaszczytu, który was spotkał? Wyrzućcie w jasną cholerę te swoje wycinanki, bo nikt nie zwrócił na nie uwagi. Stańcie na wysokości zadania i bądźcie wolni! Wolni! Rozumiecie!? Przecież to słowo nie może być dla was pustym dźwiękiem! Manifestować mogliście zawsze, a dziś pora robić to, czego nigdy nie robiliście. Chyba każdy z was marzył kiedyś, chociaż przez chwilę, żeby zrobić coś okropnego. Dziś wolno wam robić wszystko, a wy się bawicie w korowody. Czy jest tu ktoś, kto nie chciał nigdy rozbić szybki przycisku alarmowego, kto nie chciał napluć, gdzie napisane „nie pluć", kto nie chciał pociągnąć za hamulec bezpieczeństwa w pociągu? A wszystko to głupstwa w porównaniu z tym, co wolno wam dzisiaj robić. Przed wami stoi to, czego zawsze — świadomie albo podświadomie nienawidziliście. Przed wami Miasto razem z jego mieszkańcami, domami, maszynami, razem z jego przeklętym spokojem, z jego obrzydliwą zgodą na wszystko...

— Oto realizują się wasze marzenia, a wy nie macie w tej chwili prawa się ich wstydzić. Nic już nikogo nie zdziwi i mamy moralny obowiązek wobec siebie samych, żeby pozwolić sobie na wszystko.

W oczach tłumu powoli, w miarę oracji Mokrego, rozpalał się ogień, który płonął w źrenicach poety. Zrozumieli go wreszcie i jeszcze tylko przez chwilę walczyli z własnym przerażeniem. Potem gruchnęła owacja i sypnęły się na bruk ulicy nikomu już niepotrzebne sztandary.

— Żeby wszystko poszło sprawnie — krzyczał radośnie poeta — musimy rozkręcić wszystkie szyny tramwajowe i zamknąć wszystkie wylotowe ulice. Ruszajcie w imię wolności! Ruszajcie, bracia, ruszajcie!

Zeskoczył z samochodu, który ktoś rozbił tymczasem i klepiąc się dłońmi po udach, przecisnął się w stronę Papary.

— No, co. Prowadź ich teraz — powiedział, stając oko w oko ze staruszkiem. Papara zmierzył go spojrzeniem nie tyle złym co zmartwionym.

— Wykorzystałeś śmierć Konopnego lepiej niżby to zrobiono w fabryce — rzekł ze smutną ironią, a Mokry pokiwał głową.

— Tak. Konopny był dobrym człowiekiem.

— Bo pożytecznym dla ciebie. A ty przecież nienawidzisz wszystkiego, co pożyteczne.

Mokry machnął ręką w odpowiedzi.

— Co do mnie, synku, odchodzę — oświadczył Papara z westchnieniem.

— Twoja sprawa. Nie chcesz korzystać z tego, co dziś stworzyłem?

— Nie. Ja wykorzystałem już swoje. Teraz kolej na ciebie. Ja zbudowałem Miasto, potem ono zbudowało mnie, a teraz kolej na ciebie.

Staruszek odwrócił się i odszedł, a szalony tłum rozstępował się przed nim jak morze.

Krok w krok za Paparą postępowali trzej mężczyźni, którzy go przedtem nie odstąpili i wkrótce całą czwórkę można było zobaczyć na drodze wiodącej do lasu. Zatrzymali się jeszcze przed przestąpieniem granicy Miasta i Papara badawczym spojrzeniem zmierzył swych towarzyszy. Stali przed nim poważni, skupieni i młodzi, czekając na to, co powie.

— Tak, tak — odezwał się wreszcie. — Tutaj mnie właśnie wyrzuciła moja dobra fala, którą wzbudziłem za młodu. Teraz, na starość przyjdzie mi po prostu pracować...

— O nie, stary, nigdy do tego nie dopuścimy — zawołał jeden z chłopaków. — Wszyscy od dziecka wiemy, ile dla nas zrobiłeś i mamy teraz obowiązek odwdzięczyć ci się. Będziemy pracować na ciebie.

Papara, jak pod ukłuciem noża, skrzywił się na dźwięk słowa „obowiązek", ale zaraz przełknął je gładko.

— Prawdę mówiąc, nie mam ochoty zabraniać wam tego, na co macie właśnie ochotę — powiedział, nie patrząc im w oczy, a oni ucałowali go szczerze i wszyscy czterej ruszyli w dalszą drogę.

Przed nimi, hen ponad lasem, było trochę jaśniejsze niebo i musieli mrużyć oczy przed promieniami słońca, które już się chyliło ku zachodowi. Jeden z młodych ludzi niósł na ramieniu piłę, drugi siekierę, a trzeci torbę najprawdopodobniej z gwoździami. Papara miał w ręku tobołek z żywnością dla wszystkich, a prócz tego niósł swój niewielki transparencik, na którym było napisane po prostu: „Pieprzę futerały". Szedł w stronę lasu energicznie i żwawo, wyprzedzając swych towarzyszy o jakieś niecałe pół kroku.

Miasto było spokojne i Mokry nic na to poradzić nie umiał. Przeklinał w duchu Paparę, gdyż wydawało mu się, że to on właśnie zaszczepił tym ludziom obojętność. Nikt nie kiwnął nawet palcem, żeby przeciwdziałać poczynaniom kontestatorów. Każdy robił swoje i nic go innego nie obchodziło. Pozbawieni tramwajów i samochodów, ludzie udawali się do pracy pieszo, pozbawieni zakładów i maszyn, zabierali się bez drgnienia powiek do ich odbudowywania, pozbawieni życia — padali cicho i miękko, jakby nikomu nie chcieli przeszkadzać...

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Równie cichutko, jak oni wszyscy, zachowywała się Anna ukryta pod swoim przebraniem. Stała oparta o mur jakiegoś budynku i obserwowała wysiłki szalonych burzycieli, których gwar tonął w melodii codziennego życia Miasta.

— Ich prawie wcale nie widać — nadawała w swym sprawozdaniu dla Rady. — Nie ma już grupy Papary i jego samego też nie ma. Jest tylko jedna zwariowana grupa i ta się do tego stopnia rozproszyła, że nawet śladu po niej nie widać. Mokry miota się po ulicy tuż obok mnie i nie ma jeszcze ciągle tego, co chciał dzisiaj osiągnąć. Owszem, co jakiś czas podbiega do niego któryś z kontestatorów i chwali się czego dokonał, ale Mokry zbywa takiego gestem dłoni i czeka, ciągle czeka...

Nagle ujrzała tuż przed sobą jego twarz. Była zła i ociekała drwiącym grymasem triumfu. Poeta zbliżał się przyczajonym krokiem dzikiego, krwiożerczego zwierzęcia.

— Idzie do mnie!!! — krzyknęła Anna i w tej chwili nienawistna dłoń zdarła jej z twarzy firankę. Miniaturowy aparacik nadawczy upadł na bruk i roztrzaskał się migotliwymi igiełkami.

— Kogo ja widzę! — zawołał Mokry i zaraz wyprostował się czujnie, bo nad Miastem rozległ się zgrzyt. Wszelki ruch zdrętwiał i ustał, jakby zamienił się w gigantyczne ucho. Dzikość i wyuzdanie ustąpiły na moment ze wszystkich twarzy, pozostawiając na jednych zwyczajną ciekawość, a na innych nieinteligentne zdziwienie. Rozgestykulowane przed sekundą postacie, teraz zastygły w bezruchu. We wszystkich spojrzeniach przygasły iskry, które dotąd nadawały półmrokowi pozorów metalicznego połysku i wszystko się stało matowe. W posępnej ciszy zmatowiałego w ten sposób zmierzchu zabrzmiał ze wszystkich megafonów smutny baryton szefa Rady:

— Uwaga, uwaga! Rada do wszystkich obywateli Miasta. Uwaga uwaga, obywatele! W związku ze stwierdzeniem naszej bezradności i nieprzydatności komukolwiek, w chwili obecnej w pełnym składzie podajemy się do dymisji. Twórcom nowego porządku życzymy sukcesów pożytecznych i godnych ich aspiracji. Żegnamy — a potem jeszcze na przydechu — Anno, trzymaj się dzielnie, skończyłem.

Zanim jeszcze cisza rozmyła się w zwyczajny poszum Miasta, rozległ się okrzyk Mokrego:

— Nie wolno nam ich wypuścić! Zabierzcie Annę i za mną!

Usłyszało go kilka osób i rzuciło się spełnić polecenie. Psychopata, który od pewnego czasu nie odstępował Mokrego ani na chwilę, porwał dziewczynę za rękę i powlókł ją w stronę budynku Rady. Zanim dotarł z nią jednak na drugie piętro, Mokry zdążył już przeszukać wszystkie pokoje i stwierdzić, że nikogo już w nich nie zastał. To go doprowadziło do jeszcze większej niż poprzednio wściekłości. Oczy zwęziły mu się do rozmiarów szczelin niewidocznych zupełnie spod rzęs.

— Uciekli. Dobrze! — powiedział, siadając na biurku. — Ale mamy tu jeszcze ją — wskazał palcem Annę, która już po raz drugi tego dnia zapatrzyła się w niebo za oknem i pozornie nic ją innego nie zajmowało.

— Co z nią zrobimy? — zapytał psychopata i oblizał się głośno jak pies.

— Najpierw wy się nią zajmijcie, ale chciałbym, żeby została dla mnie żywa — powiedział złowieszczo poeta.

Usiadł na jakimś krzesełku i połączył się z Krysią. Była zdyszana i nie miała zbyt wiele czasu na rozmowę. Mokry słuchał jej nieuważnie, bo jednocześnie nadstawiał uszu w stronę pomieszczenia, gdzie rozprawiano się z Anną. Przyjął pośpieszny meldunek o postępach w poczynaniach grupy kobiet, zanotował orientacyjne dane o ilości rozbitych samochodów, przykazał nie ustawać w ataku i, zapomniawszy o jakimkolwiek miłym słowie dla Krysi, przerwał z nią połączenie, żeby zaraz tego pożałować.

Został sam w pustym pokoju, a nie chciał jeszcze wracać do głównego lokalu Rady. Nie miał teraz nic do roboty i musiał się borykać z nie zawsze wesołymi myślami.

Żeby nie stracić rozpędu, i żeby się nie zasiedzieć, zaczął chodzić od ściany do ściany i planować dalsze posunięcia. Jednocześnie próbował na podstawie odgłosów zza drzwi wywnioskować czy jego ludzie zrobili już to, na co mieli ochotę i czy jest już nareszcie pora na jego pełne złości działanie. Minęło jednak prawie pół godziny, zanim ustały ciężkie oddechy i niepokojące stękania. Wtedy Mokry zacisnął zęby i z hałasem otworzył drzwi.

Anna leżała na podłodze i uśmiechała się do swych marzeń. Jedna jej noga była w straszny sposób wykręcona do tyłu, a głowę, twarz i ramiona pokryły zasychające już strużki kału.

Sprawcy tego wszystkiego stali nad nią z pochylonymi głowami i bardzo wyraźnie było po nich widać, że nie są zachwyceni swoim dziełem. A jednak, gdy Mokry zapytał, czy wszystko u nich w porządku, potwierdzili z udanym zadowoleniem i wyszli.

Poeta miał twarz już zupełnie niesamowitą, kiedy nerwowym krokiem zaczął się przechadzać po pokoju i zbierać się w sobie do czynu. Nie bardzo wiedział jak zacząć, ale w pewnym momencie zatrzymał się obok leżącej i powiedział jakby z namysłem:

— Dużo ci właściwie zawdzięczam.

— Tak? — zdziwiła się z ironią. — Nie narzekam na brak rewanżu.

— Och, rewanż dopiero się zacznie.

— Jestem gotowa.

— Sama wiesz, że zasłużyłaś na więcej, niż dostałaś do tej pory.

— Nadmiar grzeczności.

— Zabiłaś mi przyjaciela...

— To cię najmniej obchodzi.

— ...i zabiłaś go bez powodu.

— Po prostu chciałam mu pomóc. Możliwe nawet, że go kochałam...

— Ty!? Ty nikogo nie umiesz kochać oprócz Rady i jej ideałów. Nie rób teraz z siebie boginki, która uszczęśliwia ludzi uderzeniem młota. Zabiłaś Konopnego przez zazdrość, bo ty przez całe życie służyłaś tylko jednej bzdurnej sprawie, a on umiał sobie znaleźć jakieś wyjście kiedy się przekonał, że przegrał, że się przeliczył, że jego ideały były mrzonką sprzed lat. Zabiłaś go, bo sobie zadrwił z twojej fanatycznej konsekwencji, z twoich przekonań i z twojej wydumanej miłości. Teraz ja muszę go pomścić...

— Ty się nie będziesz mścił za Konopnego. Nie możesz przeboleć tego, że pogardziłam twoją szanowną, a nic niewartą osobą i nadal nią gardzę...

— Dosyć tego gadania. Nadeszła pora. — Podszedł nerwowo do okna i wyjrzał na ulicę. — Na ulicach jest już pełno benzyny i ropy. Teraz trzeba to wszystko zapalić.

— Rób swoje, wielki człowieku.

— A, nie! Ty zrobisz to za mnie. TY właśnie będziesz pochodnią, która dokona mojego dzieła.

Anna wzruszyła tylko ramionami i znów się pogrążyła w marzeniach, a poeta zaczął wyciągać jakieś szmaty z komody. Owinął Annę brudnym kokonem, przy czym poddawała mu się bez oporu i tylko jej twarz mieniła się szybkozmiennymi cieniami. Gdy skończył, polał szmaty benzyną i wyciągnął z kieszeni zapałki.

— Teraz krzycz — powiedział. — Krzycz tak, żebym wiedział jak bardzo cierpisz. Szlag trafił twoje ideały. Rada cię zostawiła na lodzie. Twoje życie poszło na marne. Nasrano ci wreszcie na głowę i teraz sama spalisz swoje Miasto. Krzycz, wyj, rzygaj swoją konsekwencją! Dziś ja tobą pogardzam... — Potarł zapałkę o draskę i przyłożył płomyczek najpierw do stóp Anny, a potem do obu jej dłoni.

— Krzycz teraz głośno, ile sił! — Sam krzyczał, a Anna leżała bez słowa. Zakasłała tylko, gdy gryzący dym buchnął jej w twarz i zaraz potem straciła przytomność. Mokrego ogarnęło szaleństwo.

— Krzycz, dziwko, pokaż jak bardzo cię boli! — Zawodził, prosił i groził. Kopał płonący tobołek i padał przed nim na kolana. Nie doczekał się ani jednego dźwięku. Na koniec, nie zważając na ból, chwycił zwęglone częściowo ciało i przez okno rzucił je na ulicę.

Pochodnia, spadając rozgorzała w półmroku ognistym warkoczem i przygasła nagle, uderzając o bruk. Potem wolniutko leniwym płynnym dywanem rozścielił się wokół niej płomień i ogarnął wszystkie ulice.

Mokry wybiegł z budynku Rady tylnym wyjściem i przez podwórka, po dachach komórek i domów dotarł do samej krawędzi Miasta, gdzie wszedł na wierzchołek pagórka. Patrzył w dół i, w miarę jak dokonywało się jego dzieło, ogarniało go apatyczne zmęczenie. Wiedział już, że nawet płomień nie wywoła krzyku, który tak bardzo chciał słyszeć. (..)

Nie opodal klęczał jakiś ksiądz i modlił się, żegnając Miasto znakiem krzyża. Poeta roześmiał się z cicha, ale duchowny to usłyszał.

— Nie ma się z czego śmiać, mój synu — powiedział tonem kazania. — Tam w dole, ludzie umierają ze swoim bogiem.

— A jaki to bóg, ojcze?

— Powiem ci i raduj się w swoim sercu, bo dopiero dziś to odkryłem, a ty usłyszysz to jako pierwszy i też zarazem ostatni. Myślałem zawsze, że jest jeden Bóg. Ten, w którego ja wierzę, ale teraz widzę, że każdy ma swojego boga, równie dobrego jak mój. Ci tam, w dole, umierają ze swoim.

— Nie wiem co to za bóg.

— Ich bogiem były celowość, pożytek i sens każdego istnienia. Byli mu wierni do końca, dlatego trafią do grona aniołów. I nawet śmierć ich jest święta, bo też była komuś potrzebna, a przez to i pożyteczna.

— A komu tu może być potrzebna ich śmierć? — mruknął Mokry z pogardą, spoglądając znużonym wzrokiem w dół.

— Oczywiście tobie, mój synu — odparł po chwili ksiądz.

— Mnie już nic nie jest potrzebne. Ja chciałbym tylko się przespać. Chodźmy, ojcze, zabierajmy się z tego ponurego miejsca, bo zaczyna się robić gorąco. Płomienie podchodzą już pod wzgórze...

— Nie, ja stąd nigdzie nie pójdę. Mój Bóg każe mi kochać tych ludzi tak zwaną miłością bliźniego, więc umrę dzisiaj razem z nimi.

— Ale to nie ma żadnego sensu, stary! — zawołał poeta, który się nagle przestraszył, że zostanie sam nad pożogą. — To nie żadni bogowie! To ludzka odwieczna natura. To nieugięte prawa historii, przyrody... sam nie wiem czego jeszcze. To prawa, które każdej epoce przydają jednego szaleńca, żeby miłością lub nienawiścią doprowadził do wielkiej katastrofy. Tak musi być, żeby się nie zachwiała równowaga, żeby nie było nas za dużo, żeby nie było za dobrze, zbyt monotonnie, żeby gdzieś ulokować ludzką potrzebę odmiany, buntu, sprzeciwienia się temu, co zastaliśmy na świecie...

Krzyczał tak tonem rozpaczliwej perswazji, ale już było za późno. Do pagórka podpłynęła właśnie fala ognia i nim się Mokry zorientował — modląc się ciągle i klęcząc, ksiądz kaszlnął, oklapnął i spłonął.

(Fragment powieści „Zgoda")

1

Lewym okiem

A papierek gdzie?

Kronika Filmowa nakręciła parominutową wstawkę na temat obywatela Ryszarda Ziemby z Rzeszowa. „Tu i Teraz" poświęciło mu duży artykuł na dwie kolumny. Taka wstawka kosztuje kilkadziesiąt tysięcy złotych, taki artykuł — też kilka tysięcy. Ileż jeszcze trzeba będzie wydać pieniędzy, żeby zwrócić wreszcie uwagę „miarodajnych czynników" na horrendalną bzdurę i nadkruszyć jej warowne mury? Żeby coś drgnęło, żeby choć trochę posunąć się w kierunku zdrowego rozsądku?

Obywatel Ryszard Ziemba jest według świadectwa najlepszych specjalistów i ekspertów niezwykle uzdolnionym artystą-introligatorem. Oprawia w unikalny sposób stare druki, kompletuje własnym niemałym kosztem kolekcję eksponatów, które zilustrują powszechną historię słowa pisanego. Nikt mu w tym nigdy nie pomagał, ale pomińmy już nawet to ewidentne marnotrawstwo talentów i pracowitości. Chodzi o to, że ob. Ziemba nie jest członkiem Związku Plastyków i dlatego po prostu się nie liczy! A nie jest *członkiem Związku, bo nie istnieje w tym związku komisja*, która mogłaby „zweryfikować" dzieła sztuki introligatorskiej, czyli napisać kilka drętwych słów i podpisać się pod nimi. Zwłaszcza te podpisy są ważne, to wymruczenie zaklęcia, ten magiczny gest stwarzający dopiero prawdziwego artystę.

Horrendalna sprawa. Obywatel Ziemba chciał w czynie *społecznym* zakonserwować i oprawić *stare jakieś*, średniowieczne kodeksy dla Biblioteki Jagiellońskiej. Ba, nie ma *dyplomu* ukończenia technikum sztuk plastycznych, nie mówiąc o *dyplomie* Bardzo Ważnej Uczelni. Kodeksy powierzono więc spółdzielni plastyków za wieleset tysięcy złotych, przy czym z góry wiadomo, że Ziemba wykonałby tę pracę o niebo lepiej.

Zagraniczne biblioteki interesowały się fotokopiami dzieł Ryszarda Ziemby i samą jego działalnością. Ktoś chciał coś zamówić i zapłacić. Ministerstwo Kultury i Sztuki odpowiedziało — zapewne „zgodnie z przepisami" — że to niemożliwe, bo brak weryfikacji zawodowej... To już zatrąca o manię, ten chorobliwy kult papierka. A przecież akurat właśnie w dziedzinie sztuk pięknych, i to zarówno tych „wyzwolonych, jak poezja, malarstwo, muzyka, jak i tych „stosowanych", jak grafika, lutnictwo, introligatorstwo i w ogóle do perfekcji doprowadzone, zamiłowaniem sycone rzemiosło — właśnie tu formalne wykształcenie i jeszcze bardziej formalna weryfikacja doprawdy nic nie znaczą! Nic! Nikt dotąd na szczęście nie weryfikuje poetów i można być jednym z nich, mając patent rolnika, murarza, dentysty i elektryka prądów słabych albo i „patent" złodzieja, jak Villon. Skąd więc ten bałwochwalczy kult Komisji we wszystkich innych specjalnościach? Skąd te pełne niechęci i lekceważenia ataki aktorów „po szkole" na „amatorszczyznę" ludzi, którzy teatr robią z zamiłowania i iskry bożej i robią to czasem stokroć lepiej od tamtych? W roku 1931 pisał mądry Boy Żeleński w recenzji ze „Sztuby" Leczyckiego: „jeśli nie zda matury (mowa o bohaterze sztuki), nie będzie się mógł dostać do Szkoły Sztuk Pięknych, nie będzie mógł być malarzem. A aktorstwo? Też coraz więcej oparkania się formułkami egzaminów. I jakby na ironię reżyserował tę sztukę mistrz Solski, stary analfabeta, uciekinier z drugiej czy trzeciej klasy, chluba polskiego teatru..."

Czy obrazów Nikifora nie wolno sprzedawać — zwłaszcza za granicę — bo ich twórca nie był członkiem Związku? A jednocześnie — ileż ewidentnej szmiry i paskudztwa wychodzi z rąk zweryfikowanych „artystów" i członków kilku związków jednocześnie, ile idiotycznych tekstów piosenek słyszy się na wszelkich występach — a wszystkie ze stemplami tuzina komisji, wszystkie spod pióra „zawodowców", jakże lekceważąco wyrażających się o „amatorach", bo tamci nie są w ZAKR-ze i nie mają kont w ZAIKS-ach!

Indywidualny nabywca kupi zawsze za własne pieniądze to, co będzie chciał, co mu się podoba, co mu odpowiada; nie będzie pytał o legitymację autora. Inaczej nabywca uspołeczniony: on wydaje pieniądze społeczne, nie swoje. Więc woli nie mieć żadnego zdania, a za to mieć podkładkę dla przyszłej kontroli. Kupiłem ten obraz, bo rachunek wystawiła spółdzielnia i miałem prawo uważać go za piękny. Zatrudniłem tego aktora, bo skończył szkołę, więc już można, chociaż stokroć wolałbym tamtego z Domu Kultury...

No to już niech będą te komisje. Ale niech się kręcą, niech szukają prawdziwych talentów i otwierają im drogi, zamiast zamykać! Niech namawiają nieśmiałych i popierają niezaradnych. Niech... Niech dzieła świadczą, tylko i wyłącznie, nic innego! Niech świadczą najpierw wobec komisji, a potem także — o komisji. Że jest potrzebna, mądra, twórcza i pożyteczna.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2

Nagłe zastępstwo

Seksualny Janosik

Felietonistka Błazucka zmieniła barwy. Zdarza się, każdemu wolno. Tym niemniej rodzi się kilka pytań. Błazucka odeszła z pisma ateistów, gdzie miała stały felieton, który między innymi miał służyć sprawie laicyzacji społeczeństwa w ten sposób, że zdradzał kulisy życia erotycznego tej młodej, niezwykle przystojnej dziennikarki. Życia bujnego i wolnego. Miało to bulwersować mieszczucha, który nie wyplątał się z erotycznych zakazów zakodowanych w myśleniu religijnym. To dla ew. przeciwników. Dla „swoich" Błazucka miała coś innego. „Żyję sobie wolno i na luzie" — zdawała się pisać — „życie jak chcecie, przecież jesteśmy wolni".

Teraz Błazucka przeniosła teksty, podpisy i nawet nadtytuł „Płeć i charakter" do pisma, które także ma określony profil. Swobodę erotyczną — owszem — „Rzeczywistość" akceptuje, ale zdaje się wyznaczać jej klasowe granice. Swoboda erotyczna i wolna miłość wśród ludności rolniczej na Warmii — proszę bardzo, proletariacka krzepa, zdrowy, ludowy seks. „Rzeczywistość" chwali Skiroławki przeciw wszystkim zgniłym liberalnym estetom, którym marzy się jakaś tam subtelność i wyrafinowanie. Tak w sferze seksu, jak w sferze literatury erotycznej...

Wolna miłość w dziewiętnastowiecznej Anglii? Owszem, też może zdobyć akceptację redaktora Pardusa, wszelakoż pod jednym warunkiem, który — na szczęście spełniał D. H. Lawrance. Otóż heroiną tego romansu jest wprawdzie arystokratka, za to jej partner jest prostym robotnikiem rolnym (drwalem czy pastuchem, nie pamiętam...). Jeśli robotnik rolny robi takie rzeczy z hrabiną, to w porządku. Przyprawianie rogów przedstawicielom wrogich klas społecznych jest słuszne i sprawiedliwe, ba! przybliża zwycięstwo rewolucji. Każdy akt seksualny wykonany przez drwala czy pastucha z arystokratką to krok w kierunku odebrania warstwom posiadającym wartości dodatkowej, upaństwowienia przemysłu i reformy rolnej. Bohater Lawrance'a to nasz człowiek, taki seksualny Janosik.

Tymczasem wolna miłość w wykonaniu sfer przemytniczo-spekulacyjnych albo rzemieślniczo-badylarskich spotyka się z ostrym potępieniem tygodnika „Rzeczywistość". Pod piórem Żeromskiego naszych czasów, Mieczysława R. Olbromskiego powstają w tej redakcji przejmujące opisy orgiastycznych zabaw elity kryzysu. Szampan, trawka, klejnoty, ekscesy seksualne. Wszystko to w blasku złota albo jeszcze lepiej w basenie. Rzecz jasna w prywatnym basenie, w prywatnym ogrodzie jakiegoś zwyrodnialca.

Linia programowa polityki erotycznej tygodnika „Rzeczywistość" jest jasna i prosta: Seks dla ludu — tak! Seks dla postburżuazyjnych elit — nie! Co w wykonaniu proletariatu jest zdrowe i czyste, to brudne łapy burżuja zaraz skażą i zbrukają, zarażą i doprowadzą wolność do rozwiązłości.

Jak w tych ramach pomieścić Błazucką? Jak Błazucką pogodzić z Olbromskim i sprzedać w jednym opakowaniu?

Wyjście jest. Redaktor Pardus musi zaprzysiąc swoją nową współpracownicę, że nigdy, przenigdy nie ofiaruje ani krzty swego serca, ani grama swego zachwycającego ciała nikomu, kto ma jakiekolwiek prywatne przedsiębiorstwo, kto przemycił do Bułgarii choćby jedną tubkę kremu Nivea, kto w sposób niegodny i nieuczciwy zarobił choćby złotówkę, choćby jednego (tfy!) centa...

Anna Błazucka będzie odtąd kochała wyłącznie szlachetnych ludzi pracy: robotników, chłopów i postępowych inteligentów. Robotników najlepiej zrzeszonych w nowych związkach zawodowych, chłopów najchętniej skolektywizowanych. A już na kontakty z inteligentami będzie uczulona wyjątkowo: żaden lekarz uprawiający czarną praktykę, żaden pracownik nauki dorabiający u prywatnego rzemieślnika, żaden urzędnik co wziął łapówkę!

Będę teraz felietony Błazuckiej czytał z jeszcze większym zainteresowaniem. Nie tylko z zainteresowaniem. Ze zdwojoną czujnością. Już zaczyna mi się Błazucka wydawać nieco podejrzana. Oto w jednym z ostatnich utworów pisze o romansie, który przeżyła z młodym lekarzem imieniem Grześ. Grześ w niedzielę zawiózł panią Annę samochodem do swego mieszkania. Wyraźnie brak tu bardzo istotnych informacji: czy mianowicie samochód doktora Grzesia to był mały fiat czy też może srebrny volkswagen najnowszy model? Czy spółdzielcze M-2 ma Grześ umeblowane regałami typu Kowalski czy też może był to własnościowy nadmetraż wypełniony przedmiotami zbytku jak np. fotele i dywany? Czym Grześ poczęstował Annę? Kieliszkiem wódki pod wdzięczną nazwą „Vistula" czy może martelem z pewexu? Co jej podarował na pamiątkę szalonej nocy? Parę rajstop midi czy też może kolię z brylantami, na jaką — jako żywo — nie stać szarego pracownika ZOZ?

Dziesiątego listopada br. upływa termin prenumeraty tygodników na rok przyszły. Jeśli nie uzyskam od redaktora Pardusa żadnych gwarancji dotyczących klasowo-seksualnej czystości jego nowej współpracownicy, zastanowię się nad kontynuacją prenumeraty „Rzeczywistości"...

ANDRZEJ KAROL

3

Sport

60 strasznych minut

Nieuchronnie zbliżał się występ naszych wspaniałych piłkarzy w eliminacjach do mistrzostw świata, a... optymizmu nie było. Ten i ów próbował budować zawiłą konstrukcję myślową, sugerując, że gdyby Polacy przegrali w meczu z Grecją na własnym boisku, to Antoni Piechniczek całą winę zrzuci na kluby. Komentator „Rzeczypospolitej" ciesząc się, że „rusza pociąg do Meksyku", zapewniał, że w meczu z Grecją mamy dwa atuty: gramy u siebie, a Grecy są jednym ze słabszych zespołów w Europie. Czyżby uważał, że polski zespół należy do grupy potentatów europejskiego futbolu?

Nim doszło do 60 strasznych minut na boisku w Zabrzu, młodsi koledzy piłkarzy z kadry narodowej spotkali się w Krakowie z młodszymi piłkarzami reprezentacji narodowej Grecji. Trener naszej młodzieżowej nadziei w piłce nożnej, Henryk Apostel mecz określił jako makabryczny. Polacy wygrali, bo... im pomogli Grecy. Obrońcy greckiej drużyny podawali na naszych napastników, a bramkarz ciągle wypuszczał piłkę z rąk. Jak w tej sytuacji Grekom udało się strzelić honorowego gola nie jest dla mnie tajemnicą. Nasi bowiem nie tylko grali fatalnie, ale zaczęli też lekceważyć przeciwnika. Obrońca, Jarosław Myśliński, niezbyt dokładnie odbił piłkę, zmylił tym bramkarza Jarosława Bako i... był gol.

5:1 dla piłkarskiej młodzieży i fatalny styl gry niczego dobrego nie wróżyły. No i zaczęło się. Polacy grali nieskładnie, nie było w tym widać żadnej myśli taktycznej, żadnej koncepcji. Nie było zgrania między zawodnikami i poszczególnymi formacjami naszej drużyny. No, i stało się to, co w takiej sytuacji stać się musiało. Grecy zdobyli gola. Zrobiło się już ponuro. Śląska publiczność zamilkła. Rozległy się zasłużone gwizdy. Aż przykro było patrzeć, że w tym kompromitującym widowisku biorą udział Zbigniew Boniek i Władysław Żmuda. Każde dziecko — jeśli się piłką nożną interesuje — wie, że zawodnicy tej miary co Zbigniew Boniek czy Władysław Żmuda, aby mogli pokazać swoje umiejętności, muszą mieć z kim grać.

Od 60 minuty wszystko się zmieniło i Polska wygrała ten mecz 3:1. Dariusz Szpakowski — sprawozdawca telewizyjny — powiedział, że trzeba szybko zapomnieć o pierwszej połowie. Nie zgadzam się. Przeciwnie. Trzeba właśnie o tej pierwszej połowie pamiętać przede wszystkim i wyciągnąć z niej wnioski.

Antoni Piechniczek przejął drużynę przygotowywaną do mistrzostw świata w Hiszpanii przez Ryszarda Kuleszę. Sukces na hiszpańskim Mundialu jest więc też zasługą Kuleszy. Do eliminacji w mistrzostwach Europy Antoni Piechniczek przygotowywał zespół już samodzielnie i nie odniósł sukcesu. Warto o tym pamiętać. Teraz wystawił drużynę, która wprawdzie wygrała, ale której dalsza przyszłość w mistrzostwach świata wcale nie jest taka pewna. Trzeba jeszcze wygrać mecz rewanżowy w Grecji, później spotkać się z Belgią i Albanią. Przy takim przygotowaniu drużyny zdarzyć się może wszystko. „Ruszył pociąg do Meksyku" — jak to ładnie zatytułowano komentarz w „Rzeczypospolitej", ale wcale z tego nie wynika, że polscy piłkarze muszą bezapelacyjnie być pasażerami tego pociągu. Trzeba na to zasłużyć ciężką pracą.

Czyją winą była zła — skandaliczna — gra w pierwszej połowie? Jej ojców znalazłoby się wielu, ale mało kto zechce się sam przyznać. Po pierwsze — nie bardzo rozumiem, dlaczego Antoni Piechniczek, z uporem maniaka, wystawia do gry Andrzeja Buncola, skoro wróble na dachu ćwierkają, że obiecujący ten zawodnik już dawno przestał być obiecujący. Zastąpienie go przez Jana Karasia zmieniło obraz gry. Po drugie — nie wiem, czy Antoni Piechniczek umie porozumieć się z klubowymi trenerami, ale jeśli polscy piłkarze nie nauczą się strzelać do bramki w swoich klubach, to nie nauczą się również tego na zgrupowaniach kadry. Po trzecie wreszcie — taką będziemy mieli kadrę, jaką mamy ligę. A jaką mamy ligę przekazały nam spotkania pucharowe. Mistrz kraju wyeliminowany, wicemistrz przegrywa mecz na wyjeździe i nie prezentuje zbyt wysokiego poziomu. Już niedługo przekonamy się, co wart jest Widzew i co warta jest Wisła, i czy potrafią przejść kolejną rundę spotkań pucharowych. Ja im wielkich szans na to nie daję.

Kto więc w tej sytuacji ma stanowić o sile naszej kadry. Druga liga, trampkarze może? Proszę poparzeć na ligowe spotkania, na taktyczne remisy, które piłkarzy urządzają, na podkładanie się przeciwnikowi. Czy w takiej atmosferze można wychować bojowych, agresywnych piłkarzy? A później sprawozdawca telewizyjny, z naiwnością dziecka, powiada, że greccy zawodnicy zapowiadali w wywiadach, że będą bronili swojej bramki i atakowali z kontry, a oni tu cały czas atakują. A co mieli może wszystkim, kto chce i nie chce opowiedzieć, jak zagrają? Naiwność i bezmyślność ogromną są siłą. Niestety!

Gdy oglądałam mecz w Zabrzu, ciągle wydawało mi się, że nad boiskiem Górnika unosi się cień Kazimierza Górskiego. Jego wpływ na grecką piłkę jest przecież niemały. Ja bym tego cienia nie lekceważyła. Czas wziąć się do pracy, panowie piłkarze!

BOGDA MADEJ

4

Felieton pesymistyczny

Chamstwo — bez cła...

Szanowny Panie Redaktorze.

Chwytam znów za pióro, by donieść panu o jednym wielce ciekawym spotkaniu, jakie odbyłem wczoraj z dyżurnym lekarzem. Właśnie po nim pozwolno mi korzystać ze wspomnianego przyboru do pisania, tyle że przechowuję go u Halinki, znaczy się siostry przełożonej, bowiem mieszkam teraz z samymi nowicjuszami i mogliby mi atrament wypić. A wszystko po to, by tu dłużej zabawić i nie dać się zwolnić...

Zasnąć nie mogłem, bom jeszcze w głowie miał niesympatyczną przygodę żony, która mi się w czasie widzenia rozbeczała, opowiadając o niesamowitym (dla niej oczywiście) wydarzeniu w autobusie. W zatłoczonym Ikarusie, przy ostrym hamowaniu, zbity tłum poleciał do przodu i małżonka również. Omal nie nadepnęła stojącego obok starszego mężczyzny. Profilaktycznie przeprosiła, a on w odpowiedzi bluznął w jej stronę stekiem słów uważanych dawniej za plugawe. Cham zionął taką nienawiścią i walił słownikiem, wobec którego przysłowiowy szewc mógłby w Wersalu wycieczki oprowadzać. Moją zamurowało kompletnie, uciec nie było gdzie, pasażerowie — to już niestety, klasyka — namiętnie oglądali widoczki za oknem. Bojąc się, że lada moment cham ją uderzy, co obiecywał, na pierwszym przystanku wysiadła, płacząc jak dzieciak...

Wyszedłem do przełożonej na papierosa i szklaneczkę „ulunga". W ciszy i spokoju, bo już tak przed północą było, narzekaliśmy na zdziczenie i upadek tak zwanych dobrych obyczajów, gdy zjawił się Łysol. Jeden z sympatyczniejszych lekarzy, przezywany tak przez pensjonariuszy z racji wysokiego czoła. Wyciągnął małą paczkę kawy, więc Halinka znów wodę wstawiła, a on zaciągnął się chciwie Carmenem i wątek zręcznie podchwycił:

— Panie Stefanie, chamstwo pleni się doskonale, przecież i do nas coraz gorsi klienci trafiają, a są wśród nich i dyrektorzy, i lepiej też. To jest nawet temat na małą rozprawkę: zachowanie chama psychopaty, chama z konieczności, chama przypadkowego i jeszcze innego, którego atuty poznajemy dopiero po wypiciu wódeczki. Najgorsze, że w każdej grupie przybywa zawodników, a nie wszyscy mamy dość siły, sprytu, odwagi, by na co dzień dać sobie z nimi radę. Ale wczoraj zaskoczyła mnie pewna kobitka...

— No, no — zachęciliśmy doktora oboje.

— Z moją Tuslą, brodaczem monachijskim, wyszliśmy jak zwykle na wieczorny obchód. Patrzę — pani w wieku może po trzydziestce z dzieckiem w wózku i jakiś drobny pijaczek wlecze się za nią. Lezie, obrzympalec, bluźni ostro w jej kierunku, wygraża. Ona nic, choć mam wrażenie, że już dość długo tak ją nęka. Psa mam pod ręką, w razie czego spróbujemy padalca przepłoszyć. Ale mamuńcia dała sobie radę sama. Sięgnęła do wózka po składaną parasolkę, zebrała się w sobie i jak nie palnie do natręta: — Uważaj jak ja ci przypier..., luju jeden!!! Facet dostał skrzydeł, prysnął przez trawnik niczym sprinter gubiąc beretik...

— Tak, tak, są takie dziewczyny — pani Halina dumnie wyprężyła fartuszek na wysokości piersi — trzeba tylko mieć charakter i znać specjalistyczną terminologię. — Całe szczęście, że są jeszcze mężczyźni, na których działają inne atuty — poprawiła zalotnie loka nad czołem i założyła nogę na nogę. Obaj z doktorem z przyjemnością patrzyliśmy na zgrabne kolanko i biegnące gdzieś tam, hen, wyżej smagle udo. Czajnik zaczął gwizdać i musieliśmy przerwać lustrację.

— Chamstwo to już zaawansowane stadium — zacząłem i ja się mądrować — ale ile po drodze etapów pośrednich, niewiele mniej uciążliwych: prozaiczna głupota, tumiwisizm, lekceważenie innych, złośliwe cwaniactwo. Wystarczy potem do tych cech dolać kroplę agresji i...

— Ma pan rację — wszedł mi w słowo doktor podając słoik z cukrem — ale ja osobiście najbardziej lękam się ludzkiej bezmyślności, głupoty, której pokłady zalegają wokoło. I jeszcze groźna cecha: ignorancja drugiego człowieka, wręcz jego zdolności myślenia, rozumowania. Choćby ta ostatnia zmiana taryf celnych...

— A co ma piernik... — oboje z siostrą przełożoną byliśmy wyraźnie zaskoczeni.

— No jak to, patrzcie — Łysol rozparł się wygodniej i zaczął wyliczać na palcach — kawa, guma do żucia, sprzęt radiowy, telewizyjny, samochody. Jest tych rubryk od cholery. Cło zdrożało, rozumiem, forsę trzeba z rynku ściągnąć, trudno. Ale niech mi nikt na małym ekranie czy w gazecie nie robi przysłowiowej wody z mózgu, a w przypadku samochodów tłumaczenia są godne przedszkolaka. Ponoć wzrosło cło po to, by nie ściągano do kraju rozsypujących się ruin, co za tym idzie — nie uszczuplano wątłych zapasów części zamiennych, a rodacy ustawiali się w kolejce do placówek „Polmotu".

— Przecież w „Polmozbycie" nie ma części do zachodnich wozów... — błysnęła znajomością rzeczy pani Halinka.

— ...ale nam się sugeruje, że ich właściciele wykupią części do tarpana czy syreny-bosto. Pomijam już fakt, że kilkuletnie volkswageny czy fordy sprawują się lepiej niż nowe fiaty czy polonezy, to przecież w razie awarii taki posiadacz mercedesa zostawia potrzebne nam marki lub dolary w specjalistycznych sklepach (kupując po cenie „nieco" wyżej niż hurtowa...). Tak zwany eksport wewnętrzny też nie za bardzo skoczy, bo mając dwa tysiące „zielonych" nie będę latał do „Polmotu", tylko kupię sobie lekko używane cacko choćby w którejś z firm polonijnych tym się zajmujących.

— Przepraszam, a czym pan jeździ, doktorze? — rzuciłem niedyskretnie.

— Ja? Pierdopędem, to znaczy maluchem oczywiście — Łysol zrezygnowany machnął ręką i poprosił siostrę o kilka tych zielonych pigułek. Na uspokojenie. Łyknęliśmy wszyscy, po trzy na głowę.

STEFAN ŻYCIOWY

ZBIGNIEW NIENACKI

Raz w roku w Skiroławkach

O tym, że każdy otrzyma to, czego chce, jeśli się będzie o to bardzo starał

— Z brązową czy rudą? — zapytał chłopiec.

— Z rudą. I z małym orzeszkiem w łapkach.

Doktor postawił na stole butelkę z wiśniakiem. Powiedział niepewnie:

— Prawdopodobnie na święta i na Nowy Rok będzie u mnie panna Brygida...

— To ją też zaprosimy, prawda, Bogumił? Dla niej wytnij małą sarenkę.

— Raczej klacz dwuletnią. Długonogą, z dużym zadem i wydatnym przodem — sarkastycznie oświadczył doktor.

— No, wie pan — Halina udała oburzenie. — Zaprosił ją pan do siebie, a teraz w ten sposób o niej pan mówi?

— To był pomysł Gertrudy. Czy znajdą się w tym domu jakieś kieliszki? Do diabła, od dwóch godzin mam ochotę się napić i nie znajduję chętnego!

Halina przyniosła z kuchni tacę z kieliszkami oraz talerz ciastek.

— Niech się pan nie wykręca, doktorze. Każdy wie, że Gertruda nie zrobi niczego bez pana zgody — stwierdziła Halinka, nalewając wiśniak do dwóch kieliszków: dla doktora i Porwasza. Ona sama nigdy nie piła.

— Z Brygidą będzie pan miał dobrze — oświadczył malarz. — Jest ładna i z dzieckiem. Wprawdzie dziecko nie jest jeszcze tak odchowane jak nasze — pogłaskał po głowie chłopca. — Ale co gotowe, to gotowe! Trzeba bowiem panu wiedzieć, doktorze, że nawet maleńka jaskółka już dupę z gniazda wystawia, a człowiek wciąż robi pod siebie. Wiem o tym dobrze, gdyż z Halinką hodowaliśmy małą jaskółkę.

— Brygida posiada dobry zawód, świetnie zarabia. Nie wiem, jaka z niej gospodyni, ale i tak domem zajmie się Makuchowa — rozważała sprawę Halinka.

— A jaki ma wóz — zachwycił się Porwasz. — Takim jechać do Paryża, to byłaby frajda! Baron Abendteuer przysłał mi trochę grosza i poprosił o kilka obrazów. Gdybym miał samochód Brygidy, a nie swego grata, zaraz po Nowym Roku wybrałbym się z Halinką do Paryża.

— A ja myślałem, że baron Abendteuer nie istnieje — mruknął doktor.

— Co takiego? — obraził się Porwasz. — Przyniosę książkę telefoniczną miasta Paryża. Pokażę panu jego nazwisko i adres, a także numer telefonu.

— Nie musisz, Bogumił, niczego udowadniać — oburzyła się pani Halinka. — Nie sądzę, aby doktor chciał cię obrazić. Nie musisz się także wstydzić, że twoja znajoma handlarka obrazami przysłała ci piętnaście tysięcy, zamawiając dwa płótna. Skończyłeś także obraz świętego Augustyna. Proboszcz Mizerera chwalił go. Jeśli zdobędziesz się na to, aby w niedzielę pojechać ze mną na nabożeństwo, szybko ci za niego zapłaci rada kościelna.

— Nie pojadę — uparł się Porwasz. — Aldonie odeślę pieniądze. Piętnaście tysięcy za dwa obrazy? To żart w obecnych czasach. Żebym zdobył taki samochód jak ma panna Brygida.

— Przestań — zgromiła go Halinka. — Urządzimy pięknego Sylwestra, doktorze. Zaprosimy Brygidę, pana, Joachima, Turleja, panią Basieńkę i Nepomucena. Potańczymy przy magnetofonie, a potem, jak co roku, usadowimy się w pana samochodzie i hajda przez wioskę. Hej, hej...

— Hej! Hej! — odkrzyknął doktor.

Opróżnili butelkę do połowy. Halinka poszła spać a oni, Porwasz i doktor, wypili resztę wiśniaku.

— Hej! Hej! — Porwasz swoim kieliszkiem trącił kieliszek doktora.

— Hej! Hej! — radował się doktor, żegnając malarza.

Na dworze po kilku krokach zupełnie wytrzeźwiał. Wiał silny wiatr, sypał gęsty śnieg, na szosie tworzyły się coraz wyższe zaspy. Ciemność stała się tak gęsta, że doktor, choć drogę znał na pamięć, kilka razy wpadł na drzewo przydrożne i o mało nie stłukł sobie okularów na nosie.

Na podwórku nie było samochodu Brygidy. Cały osypany śniegiem wszedł do kuchni, bo tam paliło się światło. Gertruda wyciągała z piekarnika blachy z ciastem, w wózeczku spało dziecko Brygidy. Joachim znajdował się już chyba w swoim pokoju na górze.

— Zdejm futerko i czapkę. Zimnem na dziecko dmuchasz — zwróciła mu uwagę Makuchowa.

Posłusznie zastosował się do tego polecenia. Powiesił okrycie w sieni i wrócił do ciepłej kuchni.

— Gdzie jest Brygida? — zapytał.

— Pojechała do Trumiejek. Musi z domu zabrać jeszcze kilka rzeczy dla siebie i dla dziecka. Od jutra otrzymuje kilka dni urlopu z lecznicy.

— Czy wiesz, co się dzieje na dworze? Straszna zadymka. Ona utknie gdzieś w drodze i zamarznie.

— Wyjechała przed śnieżycą. Miała przenocować u siebie w domu. A ty, co? Piłeś? Z kim?

— Z każdym po trochu. Jutro mam wolny dzień i nie muszę być trzeźwy — ziewnął.

Chciała mu podać kolację, ale nie czuł głodu. Zaraz poszedł do swej sypialni i rozebrał się. Stwierdził, że ma świeżą pościel. Powlekała ją chyba Brygida, bo poduszka pachniała jej perfumami. Leżąc w łóżku miał przez chwilę wrażenie, że ona leży obok niego. Zapewne dotykała tej poduszki uperfumowanymi dłońmi, a może przytuliła do niej twarz. Tak pomyślał i zaraz zasnął.

Obudził go ostry sygnał telefonu. Za oknem mocno świeciło słońce, co świadczyło, że pora była przedpołudniowa. Zanim wygrzebał się z łóżka i wyszedł do salonu, Makuchowa już podniosła słuchawkę.

— Są aż tak wielkie zaspy, że nie możesz dojechać swoim samochodem? — dziwiła się. — Rozumiem, twój samochód jest za niski. To nic. Poczekaj, aż pługi przetorują drogę. Mała już jadła dwa razy, siedzi w kuchni i razem gotujemy różne smaczne potrawy... Nie, nie musisz się o nią martwić. I nie śpiesz się. Ja już sama dokończę sprzątania.. Do widzenia, Brygido.

Doktor stał w drzwiach sypialni i słuchając Gertrudy, czuł, że wzbiera w nim gniew. Nie odezwał się jednak ani słowem. Poszedł do łazienki, gdzie z powodu porannej kąpieli Joachima, a także chyba prania, które zrobiła Makuchowa, woda w elektrycznym bojlerze była zaledwie letnia.

Ogolony i ubrany, a także bardzo głodny (Joachim wstał wcześnie i zapewne dawno zjadł śniadanie, z pokoju na piętrze dochodziły dźwięki jego skrzypiec) doktor zjawił się w kuchni. Chcąc uspokoić narastającą w nim irytację, zapalił na czczo papierosa.

— Nie pal! Tu jest dziecko — zgromiła go Gertruda.

Posłusznie zgasił papierosa w popielniczce. Nie warto się było sprzeczać o drobiazgi. Zresztą miała rację, nie pozwalając palić przy dziecku.

Usmażyła mu jajecznicę, posmarowała chleb, podała szklankę z herbatą. Ale nie w salonie, jak zwykle, tylko przy stole kuchennym.

— Słyszałem, co mówiłaś Brygidzie przez telefon — powiedział uporawszy się z jajecznicą. — Osiągnęłaś swój cel i ta kobieta jest ci już tutaj niepotrzebna. Brygida jest głupia, naprawdę głupia. Mylisz się jednak sądząc, że ze mnie zrobiłaś głupca.

— Nie rozumiem o czym mówisz — burknęła Gertruda, wałkując ciasto na makaron. — To jedno wiem, że wczoraj wypiłeś za dużo i teraz jesteś w złym humorze.

— Masz rację. Jestem w złym humorze. Zarazem nigdy tak jasno jak w tej chwili nie przenikałem siebie i ciebie, Gertrudo. Przez całe lata musiałem ci opowiadać o wszystkich moich kochankach, abyś ty mogła się wzbogacić moim i ich życiem. Tylko o Annie nigdy nie powiedziałem ci ani słowa i dlatego wiem, że ją nienawidziłaś, i uradowała cię jej śmierć. Nie mówiłem ci także o Justynie, dlatego i ona budzi w tobie nienawiść.

— Justyna chciała cię zabić. Gdybyś mi o niej szepnął choćby słówko, ostrzegłabym cię przed nią. Ona mi się zwierzała, że żyje z Kłobukiem.

— Domyślałem się, że nie zniesiesz pod tym dachem żadnej innej kobiety poza tobą, dlatego również nigdy nie zwierzałem się tobie z moich uczuć do Brygidy. Co się stało, że raptem zapragnęłaś dzielić ten dom i mnie z tą właśnie kobietą? Czy dlatego, że bywając u niej i wysłuchując jej zwierzeń, znowu zaczęłaś wzbogacać się o cudze życie? Nie, Gertrudo. To wyjaśnienie wydaje mi się zbyt łatwe. Wiedz tedy, że za chwilę pojadę swoim samochodem po Brygidę i przywiozę ją tutaj, choćbym miał przekopać się przez wszystkie zaspy świata.

To mówiąc wstał od stołu, zamknął za sobą drzwi kuchni, w sieni narzucił kurtkę futrzaną i wyprowadził z garażu swój stary gaz z przednim i tylnym napędem.

Gertruda wyszła na zaśnieżone podwórze. Otworzyła drzwi szoferki i powiedziała doktorowi:

— Dobrze czynisz, że jedziesz po nią, Janku. Ale nie mów jej tego, co mnie powiedziałeś. Ona może to źle zrozumieć i stanie się wobec mnie ostrożna i nieufna. Ty także nie miej do mnie żalu i nie myśl, że cię chciałam oszukać. Będziesz miał pod swoim dachem najpiękniejszą kobietę w całej okolicy. A co najważniejsze, ta kobieta kocha cię bez granic, kocha miłością ślepą. Tylko ja, Gertruda, tak ciebie kochałam. Odtąd wszyscy będziemy szczęśliwi: ja, ty, ona, a może i Joachim, bo nareszcie znajdzie tu prawdziwy dom rodzinny.

Za wsią doktor trzykrotnie wpadł w zaspy, odrobinę rozjeżdżone przez traktory i ogromne samochody z drzewem. Najwyższe zaspy ominął jadąc polami, skąd wiatr zwiał śnieg na drogę.

Brygida nie spodziewała się go. Gdy otworzyła drzwi — jak gdyby przeraził ją widok doktora. A kiedy rozkazał jej pakować rzeczy i zbierać się z nim, a na dodatek napomknął o wspólnym Sylwestrze w domu Porwasza, na krótką chwilę musiała usiąść w fotelu, tak pod nią nogi nagle osłabły. Potem zebrała się w sobie, rozstawiła na podłodze walizki i zaczęła w nie ładować najróżniejsze rzeczy dla siebie i dziecka. Robiła to bez składu i ładu, byle jak wszystko upychając. Klęcząc na podłodze obok walizek chwilami zamierała, jak gdyby ciągle nie mogła się oswoić z jego u niej obecnością, z faktem, że po nią przyjechał przez zaspy śnieżne i że spędzą razem nie tylko święta, ale i Sylwestra. Bała się myśleć o czymś więcej i za przyczyną owego radosnego lęku ruchy jej były chaotyczne, dłonie przestały być sprawne. A do tego miała świadomość, że ona klęczy, a on stoi nad nią i obserwuje ją uważnie z takim samym wyrazem twarzy, jakby miał ochotę pochylić się ku niej, wyciągnąć ręce i podnieść ją z podłogi — upokorzoną, poniżoną poprzez radość, której nie potrafiła ukryć.

— Mam balową suknię z lamy z gołymi ramionami — odezwała się. — Ale chyba nie wypada na prywatne przyjęcie ubierać się tak okazale? Może wystarczy biała bluzka z koronkami?

A on zaczął mówić krótkimi zdaniami, tonem, w którym nie słyszała głosu czułości. Każde słowo brzmiało jak uderzenie bata:

— Jesteś piękną kobietą. Na świecie wiele jest rzeczy pięknych, ale bezużytecznych. Pomogę ci zrozumieć, że piękno kobiety zostało stworzone ku radości mężczyzny. Prawdopodobnie będziemy razem szczęśliwi, choć być może od czasu do czasu popłaczesz sobie w kącie mojego domu. Zastanów się, czy warto żyć z takim człowiekiem jak ja?

Pochyliła twarz nad otwartą walizką i odrzekła:

— Przyjechałeś po mnie, przedzierając się przez zaspy. Zrobiłeś to dlatego, żeby mnie upokorzyć nawet swoim wyznaniem. Kiedy pewnego dnia przestaniesz mnie upokarzać, będę wiedziała, że nie jestem ci potrzebna.

I jeszcze bardziej pochyliła twarz nad walizką, aby nie widział na jej ustach triumfującego uśmiechu.

* * *

W domu na półwyspie paliły się światła niemal we wszystkich oknach na parterze. Przez uchylony lufcik w salonie w białą od śniegu noc z lekkim mrozem wypływało ciepło i coraz donośniejsze głosy ludzkie. Ukryty za pobielonym pniem wiśni odwieczny Kłobuk chłonął te dźwięki jak radosną muzykę życia, trwającego mimo zimy i nocy. Nie zaglądając w okna wiedział, kiedy mówi pisarz, kiedy śmieje się Halinka Turoniowa lub łagodnie szemrzą słowa doktora — każdy z tych głosów był mu dobrze znany i przyjazny. Kłobuk lubił tych ludzi na sposób Starego Boga; był o nich zazdrosny, ale i im życzliwy; groźny i łaskawy; wybaczający, ale i mściwy; zatroskany, ale niekiedy zupełnie obojętny. Czuł się tworem ich tęsknot i pragnął, aby owe tęsknoty nieustannie wzlatywały ku niebu z rozsypanymi po nim gwiazdami, gdyż z nich to rodziły się ptaki — wszystkie, nie tylko on.

Trzasnęły drzwi od frontu. Na ścięty mrozem śnieg wyszła ostrożnie Gertruda Makuch i skierowała się ścieżką ku bocznej furtce. Pod grubą chustką niosła coś dużego i ciężkiego; trzymała to, jak drogocenną wazę. Ale obok furtki przystanęła i jak każdego wieczoru i ranka pozostawiła na kołkach w płocie dwie kromki chleba dla Kłobuka lub sójki, zależy, który z ptaków okaże się szybszy i bystrzejszy.

Jej dom stał nie opodal, z dachem pokrytym bielą śniegu. W izbie przy piecu na małym zydelku siedział Tomasz Makuch i patrzył w półotwarte drzwiczki od paleniska, gdzie ogień trawił brzozowe polana. W izbie było ciepło, bo kazała mu przez cały dzień utrzymywać ogień pod płytą. Usłuchał jej, zawsze robił to, co mu rano nakazała, nigdy mniej ani nigdy więcej. Potrafił jedynie wykonywać jej rozkazy, na żadną własną myśl nie było go stać, ponieważ wszystkie jego myśli wyssał ogromny smutek, który w sobie od lat odczuwał. Smutek zrodzony w latach niewoli, ale ochrzczony przez doktora łacińską nazwą jednostki chorobowej.

Gertruda zbliżyła się do nakrytego lnianą serwetą stołu, wyjęła spod chustki grube zawiniątko, położyła je na stole i wydobyła z niego śpiącą dziewczynkę.

— Spójrz, Tomaszu, znowu mamy dziecko — oświadczyła z ogromną czułością. — Od jutra przeniesiemy się do domu Janka, bo musimy obydwoje być blisko naszego dziecka. Jeszcze dziś zniesiesz ze strychu drewniane łóżeczko, które pozostało po małym Joachimie. Nie bój się, Tomaszu, i podejdź tu bliżej. To dziewczynka. Bardzo mała dziewczynka. Odtąd nie będziesz siedział samotnie w domu i wyglądał przez okno na drogę. Razem ze mną zajmiesz się wychowaniem dziecka. Będziesz musiał nosić dużo drew do pieców i palić w nich, żeby tej drobinie było bardzo ciepło. Ona już trochę chodzi i zaczniesz ją prowadzić za rękę po domu i po ogrodzie. O tak, czeka cię wiele zajęć i wiele radości. Pamiętam, jak cieszyłeś się, gdy chodziłeś na spacer z Joachimem. To dla ciebie i dla siebie wystarałam się o to dziecko.

Tomasz Makuch posłusznie podniósł się z zydelka i zajrzał Gertrudzie przez ramię na śpiącą dziewczynkę.

— Nie pytaj mnie, Tomaszu, ile trudu kosztowało mnie to dziecko. Najważniejsze jednak, że je mamy. Justyna też chciała mieć dziecko, ale jej Kłobuk nie wysłuchał. Ja zaś zawsze zostawiałam Kłobukowi kromkę chleba na kołku na płocie. Dla nas okazał się znacznie łaskawszy. Pamiętaj, Tomaszu, że tylko ludzie młodzi mają małe dzieci. Dlatego i my będziemy znowu młodzi, ty i ja. To będzie dla ciebie wielka radość patrzeć na nie, rozmawiać z nim, ocierać mu łzy z oczu i liczyć jego uśmiechy. Może to i trochę uciążliwe, że będziemy musieli przenieść się do Janka, jak wówczas, gdy przywiózł on małego Joachima. Ale przecież sam rozumiesz, że musimy być bardzo blisko niego. Brygida pozwoliła, aby łóżeczko z dzieckiem znajdowało się w naszym pokoju, ponieważ, gdy się w nocy obudzi, to ja będę do niego wstawała, albo ty, jeśli zechcesz. Tak się składa, że Brygida ma wiele pracy, ponieważ jest lekarzem weterynarii. Tak samo zajęty jest Janek. Zresztą tych dwoje zajmie się sobą, a nam pozostawią to dziecko. Jak słyszysz, dobrze to wszystko umyśliłam, żebyśmy obydwoje mogli być znowu szczęśliwi. Czy pamiętasz, jak płakałeś, kiedy nam odebrano małego Joachima? Tej dziewczynki nikt nam już nie odbierze. Ona będzie nasza, tylko nasza, choć ani Brygida, ani Janek nigdy się o tym nie dowiedzą. Wyznam ci szczerze, że z Janka ostatnio ani ja, ani ty nie mieliśmy żadnego pożytku. Zamknął się w sobie, stał się nieposłuszny. Joachima zaś nam zabrano. Dlatego nie pytaj, ile trudu kosztowało mnie to dziecko, ile razy musiałam jeździć do Trumiejek, aby Brygidę nauczyć pokory i odebrać jej dumę. Jeszcze trudniej przyszło mi postępować z Jankiem, bo on jest od niej mądrzejszy. Ale i tak zmusiłam go, żeby po Brygidę pojechał dziś przez zaspy śnieżne, i, co dziwniejsze, oświadczył się jej. Tak, tak, Tomaszu, nie jest łatwo o dziecko w naszym wieku! Czy wiesz, jak ono ma na imię?

Tomasz przecząco pokręcił głową, że nawet nie domyśla się, jak ma na imię ta mała dziewczynka.

— Beatka, Tomaszu. Z matki Brygidy i ojca Jana Krystiana Niegłowicza. Ale tak naprawdę, to ona będzie Gertrudy i Tomasza Makuchów.

Dziewczynka obudziła się i w milczeniu ciekawie przyglądała się nastroszonym wąsom Tomasza Makucha.

— Poznała cię, Tomaszu! — ucieszyła się Gertruda. — Poznała i polubiła od pierwszego wejrzenia. Popatrz uważnie, jakie ma malutkie dłonie i maciupeńkie paluszki. Nie widziałeś paluszków u jej nóżek, ale zapewniam cię, że są równie piękne i malutkie. Och, dużo trudu kosztowało mnie to dziecko! Ma już prawie roczek, Tomaszu, a o takie dziecko kobiecie najtrudniej. Nie chcę, żebyś wciąż siedział sam w domu i patrzył przez okno. Nigdy nie przyszło ci na myśl, żeby postarać się o dziecko. Wciąż tylko ja i ja muszę te sprawy brać na swoją głowę. No, rusz się teraz, ubierz się i wróć ze mną do domu Janka, bo trzeba ze strychu zdjąć łóżeczko Joachima. Wysprzątałam już pokój i nawet w nim napaliłam. Ale muszę przenieść tam naszą pościel i wiele innych rzeczy. Warto jednak ponieść tyle trudu, bo szczęście, Tomaszu, nie przychodzi bez wysiłku.

Podjęła ze stołu kruchą ludzką istotę i swoimi silnymi ramionami przytuliła ją do piersi. Spojrzała na Tomasza i ujrzała, że po raz pierwszy od wielu lat uśmiecha się. Ma na twarzy uśmiech, choć Janek powiedział, że nigdy nie będzie się uśmiechał, gdyż jest chory na smutek. Janek jest dobrym doktorem, ale przecież i on czasami mówi przeróżne głupstwa. Jak choćby takie, że stara kobieta nie może mieć dziecka. Ona, Gertruda, ma roczną dziewczynkę, gdyż się o nią postarała. Wszystko można mieć na świecie, jeśli się człowiek o to będzie starał.

KONIEC

Rys. Janusz Szymański-Glanc

JUŻ ZA TYDZIEŃ

„Rapier Napoleona"!

— nowa powieść sensacyjno-obyczajowa.

NR 43 (1387) XXVII, 27 PAŹDZIERNIKA 1984 R.